

WYCENIANIE ŻYCIA
Zbiórki na leczenie
– pomoc czy oszustwo?

GEN PRZEMOCY
Niemiecki biskup: W Kościele
istnieją struktury zła

AMERYKA 2019
Coraz dalej
od demokracji

W RAJSKIM BUFECIE
Czym nas karmią
programy kulinarne

Kraków 13 stycznia 2019 nr 2 (3627)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Donald Tusk: ostatnie starcie

**POŻEGNANIE
BISKUPA
PIERONKA**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425





weź, wspieraj!

Kupując prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”, **bezpośrednio wspierasz** suwerenność naszego pisma, warunek rzetelnego i niezależnego dziennikarstwa.

Wpłacając darowiznę na rzecz Fundacji Tygodnika Powszechnego, masz swój wkład w ważne projekty **reporterskie i wydawnicze**. Robiąc zakupy w internecie, możesz wspierać nasze działania nawet **bez wydawania pieniędzy**.



faniMani

TYGODNIK POWSZECHNY

Wejdź na powszech.net/prenumeruj i wybierz najlepszą dla siebie opcję prenumeraty – roczną, kwartalną, z wydaniem specjalnym, w opcji ekonomicznej lub priorytetowej.

faniMani.pl

Pod artykułami na www.TygodnikPowszechny.pl znajduje się przycisk, dzięki któremu możesz szybko i w prosty sposób przekazać nawet symboliczną kwotę na rzecz naszej Fundacji, która przeznaczy ją w całości na projekty wydawnicze, np. magazyn „Książki w Tygodniku”. Liczy się każda wpłata!

To nic nie kosztuje! Twoja darowizna zostanie przekazana podczas zakupów w internecie, jeśli tylko zainstalujesz w przeglądarce wtyczkę Fani Mani i wskażesz Fundację Tygodnika Powszechnego jako tę, z którą **sprzedający przez internet dzieli się zyskiem z transakcji**. Sprawdź na powszech.net/wspieram

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia	300 zł	

NOWA OFERTA!

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE”
W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	429 zł
Pokolenia + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK
POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation

KS. ADAM

Boniecki: Struktury zła

NAJBARDZIEJ DRAMATYCZNA W PUBLIKOWANEJ przez nas rozmowie z ordynariuszem diecezji Hildesheim, bp. Heinerem Wilmerem, jest konstatacja, że nie można już, jak dawniej, powiedzieć: „w Kościele są pojedynczy grzeszni ludzie, ale Kościół jako taki jest czysty i bez skazy”. Okazało się, że taki nie jest. „Musimy się pożegnać z takim przekonaniem i przyjąć do wiadomości, że w Kościele jako wspólnocie istnieją »struktury zła«” – mówi biskup. Mówi wręcz, że są one „wpisane w DNA Kościoła”.



Oczywiście Kościół jako tajemnica wiary jest święty świętością Chrystusa, jest widzialnym znakiem, sakramentem Jego obecności i narzędziem Ducha Świętego w jednoczeniu człowieka z Bogiem przez Słowo i sakramenty. Choć w swym ziemskim wymiarze, jako wspólnota ludzi, będąc świętym Kościołem, w który wierzymy, jest jednocześnie świętym Kościołem grzesznych ludzi. Kiedy jednak ta grzeszność przybiera w Kościele postać „struktur zła”, zagrożona jest nasza wiara w święty Kościół powszechny. Nic więc dziwnego, że dziś uwaga papieża i ludzi Kościoła skupia się na tych strukturach, sięga nawet w daleką przeszłość, by rozpoznać przyczyny zła i je wyeliminować. Identyfikuje się przestępców i osoby odpowiedzialne za brak odpowiednich reakcji na zło. Najistotniejszym problemem pozostają jednak właśnie owe „struktury zła”.

Papież Franciszek widzi korzenie owych „struktur zła w Kościele” w klerykalizmie, często widocznym we wspólnotach, w których doszło do nadużyć seksualnych. Stwierdza, że na skutek klerykalizmu, to jest „niewłaściwego sposobu rozumienia władzy w Kościele (...) tworzyliśmy struktury bez korzeni, bez pamięci, bez ciała i twarzy, w ostatecznym rachunku – bez życia”. Klerykalizm bowiem „nie tylko odbiera osobowość chrześcijanom, ale także dąży do pomniejszania i niedoceniania łaski chrzcielnej, którą Duch Święty zaszczerpił w sercach naszego ludu”. A klerykalizmowi „sprzyjającemu popełnianiu wielu

złych rzeczy, które teraz potępiamy”, sprzyjają „zarówno sami kapłani, jak i świeccy” (cytaty z „Listu do Ludu Bożego” papieża Franciszka).

Biskup Wilmer w zamieszczonym u nas wywiadzie ani razu nie używa słowa „klerykalizm”, ale na pytanie o program naprawy stwierdza: „to oczywiście, że aby powstrzymać zło w Kościele, potrzebujemy skutecznej kontroli władzy w Kościele. Potrzebujemy podziału władzy, potrzebujemy systemu »checks and balances«, czyli rozdzielania władzy

między wzajemnie kontrolujące się organy. To jest konkretne zastosowanie tego, co mówi papież: „Nie sposób wyobrazić sobie nawrócenia działania kościelnego bez aktywnego udziału wszystkich członków ludu”.

„Synodalność” – to było najczęściej padające słowo na ostatnim Synodzie Biskupów. Synodalność papież przeciwstawia klerykalizmowi, rozumiejąc przez to przezwyciężenie dysproporcji udziału w życiu Kościoła duchownych i świeckich.

Zmiana systemu, w którym władza na wszystkich kościelnych szczeblach, od parafii po Stolicę Apostolską, spoczywa w rękach kleru, jest przedsięwzięciem trudnym. Oprócz zmian w prawie i organizacji Kościoła konieczna jest zmiana mentalności od stulecia kształtowanej na wzorach monarchii lub systemów feudalnych.

Diabeł tkwi w szczegółach: np. w przekazaniu świeckim zarządzania kościelnymi finansami albo udziale świeckich w wyborze biskupa. Z Kościołem świadczącym usługi dla ludności i pozostającym w wyłącznej gestii duchowieństwa mamy (pozornie) mniej kłopotów. Wystarczy – mówimy – że przy kościelnych urzędach istnieją ciała doradcze świeckich (zwykle bez wpływu na decyzje), że na Synodzie Biskupów (poświęconym rodzinie) była niewielka reprezentacja świeckich (której głosu zbyt poważnie nie potraktowano).

No to mamy, jak mamy.

© P

TP

Klucz do Miasta Krakowa na aukcji WOŚP!

Dzięki uprzejmości pani ALEKSANDRY CHMIELEWSKIEJ z Gdańska, która zwyciężyła w naszej licytacji 2 lata temu, Klucz do Miasta Krakowa po raz kolejny trafia na aukcję na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Zachęcamy do udziału!

Klucz, który otrzymaliśmy z okazji 70-lecia „TP”, umieszczony jest w eleganckim etui; widnieje na nim napis „CRACOVIA URBS CELEBERRIMA”. Wewnątrz futerału znajduje się oryginalna grawerowana tabliczka z gratulacjami dla „Tygodnika Powszechnego” od prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego. Waga: 500 g, długość: 21 cm.

Całkowity dochód z aukcji zostanie przeznaczony na cele Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

weź, licytuj na powszech.net/wosp

TEMAT TYGODNIKA

12 Donald Tusk – ostatnie starcie

ANDRZEJ STANKIEWICZ

*To będzie jego rok – bez względu na to, jakie decyzje podejmie.***16 Co cię nie zabije, to cię wzmocni**

MAREK WAŚ

Status samca alfa polskiej polityki zapewnił mu sposób, w jaki podnosił się z kolejnych porażek projektów, którym dawał twarz.**22 Gdy życie wisi na pasku**

MAŁGORZATA SOŁECKA

Zbiórki społecznościowe na leczenie stają się trzecim filarem finansowania opieki medycznej w Polsce.**25 Kogoś trzeba wybrać**

ROZMOWA

Z S. BARBARĄ CHYROWICZ, ETYKIEM:

*Kiedy nie mogą pomóc wszystkim, pomagam jednemu z wielu, nikogo przez to nie krzywdzę.***32 Gen przemocy**

ROZMOWA

Z NIEMIECKIM BP. HEINEREM WILMEREM:

Nadużywanie władzy tkwi w DNA Kościoła. Nie możemy już dłużej zbywać tego problemu stwierdzeniem, że jest to zjawisko rzekomo peryferyjne.**54 Przeszczep pokoju**

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

*Co czwarty przeszczep serca w Izraelu to operacja „mieszana” – między żydowskim dawcą i arabskim biorcą lub odwrotnie.***72 Drugie życie reportera**

MICHAŁ SOWIŃSKI

Maciej Zaremba Bielawski stał się światowej klasy dziennikarzem, bacznie patrzącym na ręce państwu opiekuńczemu.**86 Rajski bufet**

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Widz telewizji kulinarnej nie jest jak backpackersi czy wczasowicze z pięciogwiazdkowych kurortów w Hurghadzie. Nigdzie nie jedzie, tylko ogląda. Ale spojrzenie też nie jest niewinne.

6 Trump porzuca Syrię

MARCIN ŻYŁA

6-10 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Gdy życie wisi na pasku

MAŁGORZATA SOLECKA

25 Kogoś trzeba wybrać

ROZMOWA Z S. BARBARĄ
CHYROWICZ, ETYKIEM

28 Melina live KRZYSZTOF STORY:

*Patostreaming, nowa polska
specjalność na YouTube*

■ ■ WIARA

32 Gen przemocy

ROZMOWA Z NIEMIECKIM
BISKUPEM HEINEREM WILMEREM

36 Gdzie znaleźć pociechę

PIOTR SIKORA: *Mamy odruch
szukania pocieszenia w wierze. Może
się jednak zdarzyć, że nie tylko go nie
odnajdziemy, ale i tracimy wiarę*

■ ■ ŚWIAT

50 W domu Mądrości Bożej

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI: *Sobór
kijowski to początek drogi do jedności
ukraińskiego prawosławia.
Dokąd prowadzi ta droga
w wymiarze politycznym?*

54 Przeszczep pokoju

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

57 Ameryka, republika oligarchiczna

PIOTR TARCZYŃSKI

■ POŻEGNANIE BISKUPA PIERONKA ■



GRAZYNA MAKARA

40 Ksiądz od brzdąca

MAREK ZAJĄC

43 Na drogach do Unii

ARTUR SPORNIAC

44 Alfabet Pieronka

Opracował MACIEJ MÜLLER

46 Żegnaj, Tadeuszu

KS. ADAM BONIECKI: *Oceniać kogoś to zawsze
ryzyko. On często ryzykował, zwykle oceniał
jednak trafnie – a to zainteresowani znoszą
na ogół najgorzej.*

■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER

39 SZYMON HOŁOWNIA 71 WOJCIECH BONOWICZ

84 JAN KLATA 85 PAWEŁ BRAVO

90 STANISŁAW MANCIEWICZ

90 BARTOSZ MINKIEWICZ

Na okładce: DONALD TUSK

Fotografia: BOGDAN KRĘŻEL / FORUM

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

■ ■ OPINIE

60 Bunt wzgardzonych

ROZMOWA Z PROF. FRANKIEM
FUREDIM, SOCJOLOGIEM: *Przy okazji
brexitu wielu ludzi pierwszy raz
od dawna dostrzegło, że demokracja
coś dla nich znaczy*

■ ■ HISTORIA

64 Cudzoziemiec, który czuł Polskę

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI: *Opowieść
o człowieku, który musiał balansować
między begunami swych tożsamości*

■ ■ NAUKA

68 Umysły i kąty

MATEUSZ HOHOL I MARCIN
MIŁKOWSKI *o geometrii – fundamencie
matematyki i wzorcu ścisłego myślenia*

■ ■ KULTURA

72 Drugie życie reportera

MICHAŁ SOWIŃSKI

76 Uratowany przez rap

ROZMOWA Z MARCINEM
GUTKOWSKIM, RAPEREM: *Czasem
myślę, że chcę pokazać młodym, którzy są
tacy jak ja 20 lat temu, żeby uważali*

80 Gra w klasy JAKUB MAJMUREK

o serialu „Romanowowie”

82 Czarna plamka ANITA PIOTROWSKA

*o filmie „Walka. Życie i zaginiona
twórczość Stanisława Szukalskiego”*

83 Warto zobaczyć w TV

84 Spowiedź outsidera

LEKTOR o „Zbiegach okoliczności”
Konstantego Jeleńskiego

■ ■ ZMYŚŁY

86 Rajska bufet

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Futbol jest okrutny

Kwestia szacunku, czyli dlaczego będę płakał po trenerze Tottenhamu
– **MICHAŁ OKOŃSKI** o tym, czemu najstydniejszy piłkarz Anglii
zagrał w piątek wieczorem na małym prowincjonalnym boisku.
www.okonski.blog.tygodnikpowszechny.pl

➔ Woś się jeży

Pierwszego stycznia euro skończyło 20 lat. Wspólny pieniądz miał być
pierwszym krokiem w kierunku unijnego superpaństwa – **RAFAŁ WOŚ**
pisze, że w praktyce przemienił się w swoje przeciwieństwo.
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONASWIATA

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ
TYGODNIA



TRUMP PORZUCA SYRIĘ

Niezależnie od tego, kiedy Amerykanie opuszczą Syrię, wiele stron tej wojny już dziś postępuje tak, jakby Zachód stracił tam jakiegokolwiek znaczenie.

MARCIN ŻYŁA

CZASEM ROZKŁAD SIĘ MOŻNA POZNAĆ PO ROZkładzie lotów: wśród dyplomatów słabsi fatygują się do silniejszych, a tracący pozycję do tych, którzy rozgrywają. W sprawach Syrii nie jest nowością, że często lata się dziś do Moskwy. Ale że coraz mniej można załatwić w Waszyngtonie – to już zmiana z ostatnich dni.

Powód to prezydent Donald Trump, który zapowiedział wycofanie amerykańskich żołnierzy z Syrii oraz, przy okazji, zredukowanie o połowę kontyngentu w Afganistanie. Ogłosił w ten sposób – wbrew radom generałów i sekretarza obrony Jima Mattisa (który później

podał się do dymisji) – że dwie najważniejsze misje zagraniczne USA zmierzają ku końcowi. W Syrii chodzi o co najmniej dwutysięczny kontyngent, który w północnej części kraju od 2015 r. szkolił i pomagał Kurdom walczyć z tzw. Państwem Islamskim (prócz Amerykanów stacjonują tam jeszcze siły specjalne z Wielkiej Brytanii i Francji). Wprawdzie dżihadysty bronią się już tylko na skrawku terytorium, jakie zajmowali jeszcze trzy lata temu, jednak wojskowi ostrzegają, że jeszcze długo pozostaną groźni. Kolejne wypowiedzi Trumpa zdają się sugerować, że Bliski Wschód i Afganistan po prostu go znudziły. Syria? „Nie

Syryjscy Kurdowie demonstrują przeciwko decyzji o wycofaniu wojsk USA z kraju, Qamishli, 28 grudnia 2018 r.

mówimy o wielkim bogactwie. Mówimy o piasku i śmierci”. Konsekwentne budowanie tam przez Teheran swej pozycji militarnej? „Iran może robić w Syrii, co chce”. Sowiecka inwazja na Afganistan w 1979 r.? Doszło do niej, gdyż „terroryści wjeżdżali do Rosji. [Rosjanie] mieli prawo tam być”. Tak mówił Donald Trump, a Ronald Reagan przewracał się w grobie.

Nawet John Bolton, doradca prezydenta USA ds. bezpieczeństwa, wysłany pilnie w minionym tygodniu do Tel Awiwu – jakby w celu zapewnienia, że Trump nie myśli tak, jak myśli – osiągnął niewiele. Benjamin Netanjahu go przyjął, ale dla premiera Izraela równie ważny był telefon do Władimira Putina, z którym rozmawiał o oddziałach irańskich tuż za swoją granicą. Większość stron wojny w Syrii już teraz zachowuje się tak, jakby USA (i w ogóle Zachód) mieli tu w przyszłości stracić wszelkie znaczenie. Kurdowie rozmawiali właśnie w Moskwie z delegacją prezydenta Baszara al-Asada. Żądali gwarancji bezpieczeństwa, bo to oni są w najgorszej sytuacji: po wycofaniu się Stanów Turcja – obecna wojskowo w Syrii – nie wyklucza ofensywy na terytorium, gdzie funkcjonuje dziś kurdyjskie państwo.

W takich okolicznościach wojnę wygrywają Asad i ten, kto nim rządzi – Putin. Odpowiedzialność za Syrię spoczywa już niemal wyłącznie na Kremlu. Wojna dogasa (jeśli za „dogasający” można uznać konflikt, w którym w 2018 r. zginęło prawie 20 tys. ludzi), ale powstaje po niej kastowe państwo, w którym alawici, szyici i chrześcijanie – sojusznicy reżimu – staną wyżej od sunnitów; gdzie do władzy będzie można się zbliżyć wyłącznie dzięki korupcji i nepotyzmowi; a aparat terroru Asada będzie tępić wszelką opozycję.

Aby w takiej sytuacji panował spokój, władza musi mieć pieniądze. Rosja nie będzie płacić za odbudowę Syrii, choć utrzymanie się na pozycji rozgrywającej będzie ją w najbliższych latach kosztowało miliardy rubli. Przynajmniej tu, pierwszy raz, Syrii mógłby pomóc Trump. Skoro okazał się gorszym strategiem od Putina, niech chociaż, jako wytrawny biznesmen, przypomni mu: dotowanie nieudanych projektów zwykle kończy się kląpą. ©P

Wojna w Donbasie: bilans piątego roku

STU TRZYDZIESTU PIĘCIU: tylu żołnierzy ukraińskich zginęło w 2018 r. – według szacunków fundacji Wracać Żywy – na froncie wojny rosyjsko-ukraińskiej, który od wiosny 2014 r. przecina wschodnią Ukrainę (straty drugiej strony nie są podawane publicznie). Większość poległych miała po dwadzieścia kilka lat – jak Sabina Halicka, 23-letnia sanitariuszka, która zginęła udzielając pomocy cywilom w miasteczku Krymskie, gdy miejscowość ostrzelała rosyjska artyleria. Armia ukraińska straciła też ok. 100 zabitych poza frontem (straty niebojowe to ofiary wypadków czy samobójstw), a także łącznie ok. 1000 rannych. Straty wśród cywi-

łów w 2018 r. to co najmniej 43 zabitych i ok. 180 rannych.

Wojna w Donbasie ma charakter pozytywny, od 2015 r. linia frontu nie zmieniła się zasadniczo. Ogromna większość zabitych i rannych żołnierzy to ofiary snajperów, artylerii i min (uwagę zwraca wysoki odsetek ofiar snajperów).

Ale ofiary tej wojny to nie tylko polegli i ranni. Ukraińscy wolontariusze zwracają uwagę, że wielu zdemobilizowanych weteranów (jest ich już 330 tys.) wróciło ze schorzeniami fizycznymi i psychicznymi. Choć brakuje danych na temat syndromu pourazowego (PTSD), wyobrażenie o jego skali daje liczba samobójstw: co miesiąc życie odbiera sobie kilkunastu weteranów. Od początku wojny odnotowano co najmniej 1100 takich samobójstw.

©P WOJCIECH PIĘCIAK



FEDERICO SCOPPA / AFP / EAST NEWS

Lampedusa: apel katolików o solidarność

NA KANALE LA MANCHE brytyjskie i francuskie służby przechwyciły w ostatnich dniach kilka kolejnych łodzi z migrantami. Od października już 434 osoby, w większości Irańczycy, próbowały w ten sposób dostać się do Anglii. Londyn sfinansował drony do obserwacji wybrzeża Francji, a że rzecz dzieje się w kontekście brexitu i dyskusji o bezpieczeństwie granic, prasa bulwarowa ochrzcza już sytuację mianem „brytyjskiego kryzysu migracyjnego”.

Tymczasem w Święto Trzech Króli parafia katolicka na Lampedusie ogłosiła apel

o solidarność ze znajdującymi się na Morzu Śródziemnym. Kilka dni temu należący do niemieckiej organizacji Sea Watch statek podjął z niesprawnej łodzi u wybrzeży Libii 32 migrantów (na zdjęciu jeden z nich) i do dziś w sztormowej pogodzie czeka na morzu na pozwolenie wejścia do portu; 17 migrantów jest w podobnej sytuacji na statku Sea-Eye. „Odrzucamy logikę tych, którzy, żerując na konfliktach pomiędzy ubogimi, usprawiedliwiają nadużywanie władzy sprawiedliwością, a najgorszy rodzaj nacjonalizmu – bezpieczeństwem” – napisali parafianie z Lampedusy, odnosząc się do polityki „zamkniętych portów” szefa włoskiego MSW Mattea Salvini. O solidarność z migrantami zaapelował papież Franciszek. ©P ŻYM

PiS odstąpił od przemocy

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



WSENSIE POLITYCZNYM PRZEDSTAWIONA, A PÓTEM wycofana propozycja nowelizacji ustawy o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie to świadectwo chaosu w obozie władzy. Oto grupa urzędników resortu rodziny poza kontrolą szefostwa, a nawet – jak donosi „Rzeczpospolita” – w tajemnicy przed powołanym przez siebie specjalnym zespołem niezależnych ekspertów, napisała projekt ważnej ustawy. Mierny pod każdym względem: logicznym, prawnym, interpunkcyjnym. Zakładał m.in. konieczność wyrażenia zgody przez ofiarę na wszczęcie tzw. procedury Niebieskiej Karty (choć jej istotą było dokumentowanie podejrzenia przemocy niezależnie od tego, czy ofiara boi się zeznawać), a także zmianę definicji samej przemocy tak, by nie mieściło się w niej... pobicie jednorazowe.

Przy okazji łatwo o złudzenie, że to, co urzędnicy usiłowali zepsuć, jest wzorcem dobrego prawa. Nie jest: przepisy nadal nie chronią wystarczająco ofiar, a w dodatku zawierają istotne luki (np. brakuje definicji przemocy ekonomicznej). Rząd PiS tych usterek nie naprawi. Dobrze, że partia władzy odstąpiła przynajmniej od legislacyjnej przemocy i wycofała się z kuriozalnej propozycji. ©

Film ZDF przed polskim sądem

SPRAWIEDLIWOŚCI stało się zadość, przynajmniej formalnie: 28 grudnia krakowski Sąd Okręgowy wydał wyrok w sprawie, którą niemieckiej stacji ZDF wytoczył 94-letni Zbigniew Radłowski, weteran AK. Sąd orzekł, że film „Nasze matki, nasi ojcowie” z 2013 r. zawierał „nieuprawnione sugestie dotyczące rzekomego współdziałania AK w przeprowadzeniu Holokaustu”, i skazał ZDF na przeprosiny (oraz niewielką grzywnę).

To słuszny wyrok – nawet jeśli jego wymiar praktyczny będzie ograniczony, bo ZDF sprzedała film do ponad 80 krajów. Miał on wielkie znaczenie dla masowych wyobrażeń o postawach Niemców i Polaków: udzielając niemieckim „ojcom i matkom” świeckiego rozgrzeszenia (przez umiejscowienie ich po stronie ofiar), ZDF puściła w świat wizerunek AK jako bandy zbrodniczych antysemitów. Siłę emocjonalnej bomby atomowej miała scena, gdy akowcy zdobywają niemiecki pociąg, a stwierdziwszy, że transportuje Żydów, zostawiają ich w zamkniętych wagonach i odchodzą.

ZDF twierdziła, że oparła się na faktach, ale nie przedstawiła źródeł mówiącego o takiej zbrodni. Przed sądem przywoływano już tylko „wolność sztuki”. Jednak wolność artystyczna nie usprawiedliwia fałszowania historii. ©

KRAJ W SKRÓCIE

CZŁOWIEK PREMIERA. Nowym wiceministrem cyfryzacji został były szef Młodzieży Wszechpolskiej Adam Andruszkiewicz, który kilka lat temu podczas demonstracji w Białymstoku (zdjęcie poniżej) wykrzykiwał o „pedalskiej warszawie”, a jako poseł dał się zapamiętać z pobrania prawie 70 tys. ryczałtu na paliwo, choć do Sejmu dojeżdżał koleją. Opozycja – powołując się m.in. na jego wypowiedzi o Białorusi – uważa Andruszkiewicza za agenta wpływu Moskwy.



M. KOŚC / AGENCJA WSCHÓD / REPORTER

CZŁOWIEK NIEMCÓW. Agentem wpływu jest, jak się zdaje, również Donald Tusk, i to w dodatku agentem Berlina: „Przy wyborze na stanowisko przewodniczącego RE nie był reprezentantem Polski. Z przebiegu wydarzeń wynika, że był reprezentantem Niemiec, choć może nieformalnym” – powiedział dziennikowi „Polska” szef dyplomacji Jacek Czaputowicz.

CZŁOWIEK PREZESA. Szefowa departamentu komunikacji i promocji NBP Martyna Wojciechowska nie jest niczyją agentką – nie musi. Z wykształcenia rusycystka, wedle zgodnych informacji mediów zarabia ok. 80 tys. zł miesięcznie. Czy nie za wiele? „To już w naszym kraju atrakcyjne dziewczyny nie mogą zajmować eksponowanych stanowisk, żeby nie snuć nieetycznych domysłów?” – odpowiada pytaniem pełnomocniczka prawna NBP.

CZŁOWIEK WOLNOŚCI. Gdyby to od nas zależało, co najmniej tyle samo wyptacilibyśmy Piotrowi Gliškiemu za wzruszające wyznanie w okolicznościowym (w związku z przyznaniem mu tytułu „Człowieka Wolności” tygodnika „Sieci”) wywiadzie: „Jako minister kultury mam obowiązek obalać rozmaite przeszkody duszące wolność, i to robię. Mam ambicję stworzenia kultury dla wszystkich, spluralizowania jej”.

Rachunek za afront dyplomatyczny

MAREK RABIJ



JESTEM RACZEJ SPOKOJNY O EFEKT DZIAŁANIA Komisji Europejskiej w sprawie ustawy obniżającej ceny energii elektrycznej w Polsce – powiedział marszałek Senatu Stanisław Karczewski, pytany o zastrzeżenia Brukseli wobec tego aktu prawnego. Marszałek zapewne ma rację. W sporze Unii z Polską eurokraci raczej nie zechcą dolewać do politycznego ognia tak wybuchowego paliwa jak zakaz udzielenia pomocy publicznej polskim dostawcom energii elektrycznej, który uderzyłby po kieszeniach polskie rodziny. W sprawie cenników za prąd rząd PiS-u hamletyzował wprowadzić przez wiele miesięcy i w końcu podjął najgorszą z możliwych decyzję o podwyżkach, którymi obciąży budżet (tj. podatników), ale dla przeciętnego Polaka ostatecznie liczy się to, że za prąd nie zapłaci o 30-40 proc. więcej.

Łatwe do odczytania są też intencje rządu, który ulgę w rachunkach postanowił zafundować nam w taki sposób, by jednocześnie podnieść ciśnienie eurokratom. Ustawodawstwo unijne dopuszcza pomoc publiczną dla przedsiębiorstw, o ile zostanie ona zgłoszona Komisji Europejskiej do zatwierdzenia. Z tego obowiązku zwolniono tylko wsparcie dla małych i średnich przedsiębiorstw i wybranych branż – np. firm zajmujących się ochroną środowiska lub badaniami. Koncerny energetyczne nie załapują się do żadnej z tych grup, stąd wniosek, że rację ma też rzeczniczka Komisji, iż „takie działania winny być notyfikowane, by Komisja mogła się im przyjrzeć”.

Gdyby Bruksela chciała powiedzieć polskiemu rządowi „nie”, miałaby zatem do tego prawo. Bo czym, jeśli nie narzędziem pomocy publicznej, byłby Fundusz Wypłaty Różnicy Ceny? Ale w roku wyborów do europarlamentu byłoby to zbyt wielkie ryzyko. Co nie znaczy, że ten dyplomatyczny afront Unia puści płazem. Zapewne zapłacimy za niego rachunek w kolejnej sprawie, w której pozycja Warszawy w relacjach z Unią sprowadza się jedynie do bycia „notyfikowaną”. ©



Pochód w nowoczesność

2256 MONARCHÓW przeszło przez 752 polskie miejscowości, a ich orszaki liczyły nawet 1,2 mln uczestników (na zdjęciu w Zielonej Górze). To kolejny sukces frekwencyjny: w 2012 r. orszaków było 24, w 2016: 420, w 2017: 515, a rok temu: 644. Zaczęło się od pomysłu rodziców z warszawskiej szkoły Stowarzyszenia Sternik, by szkolne jasełka przenieść na ulice Warszawy. Pomysł spotkał się z odzewem mieszkańców, a organizacje imprezy w kolejnych latach przejęła Fundacja Orszak Trzech Króli. – To forma przeżywania religijności poza kontekstem liturgii – zauważa ks. Andrzej Draguła, znawca kultury popularnej i socjologii religii. – Podobnie jak pochodząca ze

średniowiecza procesja Bożego Ciała, mająca podstawy nie biblijne, ale związane z objawieniami prywatnymi.

Orszaki Trzech Króli (którym podstaw biblijnych odmówić nie można) również mają odległą genezę. – Np. w renesansowej Florencji istniało Bractwo Trzech Króli, organizujące pochody pod patronatem książy Medyceuszy – przypomina ks. Draguła. – Trudno w mieście przestrzegać zwyczajów zrodzonych w rzeczywistości agrarnej, jak procesja po polach w Dni Krzyżowe. Nic dziwnego, że religijność miejska szuka nowych form. Orszaki „chwyciły”, bo odpowiedziały na niezaspokojoną potrzebę przeżywania wiary w formie łączącej *festum* (każdy orszak zaczynał się mszą) i *ludus* (odbywały się jasełka, zbiórki na leczenie, loterie itp.). © MACIEJ MÜLLER

Luzowanie doktryny

ARTUR SPORNIAK



SPROWOKOWANIE NIEPŁODNOŚCI, BEZ względu na motyw i okoliczności, jest moralnie złe: taka jest nauka Kościoła od lat 30. XX w. Pytanie o sens tego nauczania dochodzi do głosu zwłaszcza w dramatycznych sytuacjach. Czy rzeczywiście małżonkowie skazani są na wstrzemięźliwość, gdy kolejna ciąża może zagrozić życiu kobiety? Katolickie szpitale zadawały to pytanie Kongregacji Nauki Wiary już w latach 70. Ona odpowiadała: sterylizacja terapeutyczna, czyli uprzedzająca – w formie usunięcia macicy (histerektomia) lub podwiązania jajowodów – jest niedopuszczalna; lekarze mogą usunąć macicę tylko w przypadku, gdy jej stan (a nie przewidywana ciąża) zagraża życiu lub zdrowiu kobiety.

Ostatnio Kongregacja rozszerzyła przypadki dopuszczalnej ingerencji. Histerektomia jest dopuszczalna także „kiedy macica znajduje się w nieodwracalnym stanie niezdadności do prokreacji, a lekarze specjaliści osiągnęli pewność, że ewentualna ciąża doprowadzi do samoczynnego poronienia”. Z załączonego wyjaśnienia wynika, że motywem małżonków może być uniknięcie niechcianej ciąży; np. kobieta ma nieoperowalne zrosty macicy, które doprowadziły już do kilku poronień i psychicznie nie jest zdolna znieść kolejnej ciąży.

Jeśli jednak można stosować histerektomię, małżonkowie powinni móc użyć także mniej drastycznego podwiązania jajowodów, hormonalnej antykoncepcji czy zwykłej przerwy. To by oznaczało rzeczywiste „poluzowanie” doktryny. ©

Watykan: sylwestrowa zmiana par

EDWARD AUGUSTYN



NAGŁA SYLWESTROWA DYMISJA DYREKTORA watykańskiego biura prasowego (zwanego potocznie „rzecznikiem prasowym papieża”) i jego zastępczyni to domknięcie trzeciej – obok finansów i kurii – reformy Franciszka.

Greg Burke był świetnym dziennikarzem, podobnie jak Paloma Ovejero. Ale z organizacją biura prasowego sobie nie radzili. Burke zawiódł też jako rzecznik. Daleko mu do Navarro-Vallsa, który niczym samotny rewolwerowiec odpierał ataki na Jana Pawła II i potrafił obronić każdą jego decyzję. To prawda, miał łatwiej – inne były ataki, inne media. Ale Valls cieszył się zaufaniem ówczesnego

papieża i miał do niego stały dostęp. Burke przeciwnie – często musiał przekazywać informacje z drugiej, a nawet trzeciej ręki.

Od nowego roku watykańskimi mediami rządzi samodzielnie nowy duet. Paolo Ruffini – prefekt dykasterii ds. komunikacji – ma w ręku wszystkie karty: telewizję, radio, prasę, internet i biuro prasowe. Natomiast Andrea Tornielli – ceniony i bliski papieżowi dziennikarz – nadzoruje treści, które się w nich pojawiają.

Franciszek chce, by Watykan mówił jednym, spójnym i najlepiej jego własnym głosem. Potrzebuje do tego ludzi, którym ufa, i z którymi dobrze się rozumie. ©

Papież o hipokrytach

UCZĄC MODLITWY „OJCZE NASZ”, Jezus odcina się od dwóch postaw – powiedział Franciszek. Po pierwsze: od hipokrytów, którzy lubią modlić się tak, „żeby się ludziom pokazać” (Mt 6, 5). „Ileż razy widzimy zgorzienie powodowane przez osoby, które chodzą do kościoła codziennie, a potem nienawidzą innych” – mówił papież. Jezus odcina się też od pogan, myślących, że „przez wzgląd na swe wielomówstwo będą wysłuchani” (Mt 6, 7). „Myślę o chrześcijanach, którzy sądzą, że modlitwa to mówienie do Boga jak papuga. Nie, modlitwa wpływa z serca, z wnętrza”. © MAM



DOMENA PUBLICZNA

Zapoznany reformator

KAZANIA nowego proboszcza katedry w Zurychu początkowo nie były wywrotowe; jednak to pierwsze z nich, wygłoszone 500 lat temu, 1 stycznia 1519 r., uważa się za początek szwajcarskiej reformacji. Ulrich Zwingli działalność publiczną zaczął od zwalczania kondotierstwa. Uzbrojona w kopie piechota szwajcarska uchodziła w Europie za niezwyciężoną. Zwingli, były kapelan jednego z oddziałów, uznał, że służba najemna uwłacza ludzkiej godności (w lipcu 2018 r. do jego poglądów nawiąże 153 pastorów szwajcarskich, krytykując władze swojego kraju za sprzedaż broni do stref konfliktów).

Z czasem, pod wpływem Lutra, zaczął wzywać do odnowy Kościoła. W 1522 r. podczas Wielkiego Postu kilkunastu mieszkańców Zurychu uraczyło się smażoną kielbasą. Zostali aresztowani; Zwingli stanął w ich obronie, przywołując nauczanie Pawła: królestwo Boże to nie sprawa tego, co się je i pije. Wszedł w konflikt z hierarchią kościelną, zakończony zerwaniem. Wspierany przez władze miasta, zlikwidował msze, uchylił celibat, usunął z kościołów organy i obrazy. Głosił, że obecność Chrystusa w Eucharystii jest jedynie symboliczna (co poróżniło go z Lutrem), sformułował teorię predestynacji.

Reformy nie przyjęły leśne kantony Szwajcarii. Wybuchła wojna, zakończona w 1531 r. klęską protestantów pod Kappel. Rannego Zwingliego zwycięzcy dobili, po czym poćwiartowali i spalili jego ciało. Dzieło przetrwowało: wkrótce w Genewie rozpoczął działalność Jan Kalwin, który usystematyzował i przejął część teologicznej spuścizny Zwingliego. ©© MACIEJ MÜLLER

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

TAIZÉ WE WROCŁAWIU. Tegoroczne Europejskie Spotkanie Młodych Taizé odbędzie się we Wrocławiu – ogłosił przeor tej Wspólnoty, brat Alois. Młodzi z całej Europy zjadą do stolicy Dolnego Śląska na przełomie grudnia 2019 r. i stycznia 2020 r. już po raz trzeci. Wcześniejsze spotkania odbywały się w latach 1989 i 1995.

WOLNA UKRAJINA. Patriarcha Konstantynopola Bartłomiej wręczył 6 stycznia w Stambule podpisany dzień wcześniej tomos (dekret) o autokefalii (niezależności) Prawosławnego Kościoła Ukrainy jego zwierzchnikowi metropolie Epifaniuszowi. Akt ten symbolicznie kończy zależność ukraińskiego prawosławia od Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego.

BEZPIECZEŃSTWO NIEEWANGELICZNE. „Czy jesteśmy naprawdę pewni, że ten rodzaj »bezpieczeństwa«, który chce nam zagwarantować nowa ustawa, jest zgodny z Ewangelią?” – pytają organizacje charytatywne diecezji Treviso we Włoszech w liście protestującym przeciwko ustawie antyimigracyjnej prawicowego rządu Giuseppe Contego. Ustawa od 1 stycznia ograniczy napływ i prawa imigrantów.



DANUTA WĘGIEL

JUBILAT. Stefan Wilkanowicz skończył 95 lat. Należy do ojców założycieli środowiska „Znak”, KIK-ów i „Tygodnika Powszechnego”. Wieloletni redaktor naczelny miesięcznika „Znak”, współautor preambuły do konstytucji RP, zastępcy dla dialogu żydowsko-chrześcijańsko-muzułmańskiego. Naszemu Przyjacielowi i wieloletniemu Redaktorowi składamy serdeczne życzenia. Zapraszamy na poświęcony mu serwis na naszej stronie: powszech.net/wilkanowicz.

PISfilm



ANITA PIOTROWSKA

POD HASŁEM DEKOMUNIZACJI MINISTER KULTURY Piotr Gliński ogłosił pomysł na... ponowne upaństwowienie i monopolizację kinematografii. Próżno szukać w tym wyrafinowanej logiki. Minister zrobił to chylkiem, w okresie okołoswiątecznym, bez konsultacji ze środowiskiem. Zapowiedział likwidację zespołów, które od połowy lat 50. XX w. do dzisiaj produkują polskie filmy, oraz utworzenie nowej instytucji, która odpowiadać ma przede wszystkim za wielkie koprodukcje międzynarodowe. A *de facto* – kontrolować rodzimy przemysł filmowy.

Powołanie „PISfilmu” zmniejszyłoby rolę Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, zwiększyłoby upolitycznienie kina, przygasiłoby nieprawidłowych twórców. Z gospodarską troską wicepremier kusi wizją profesjonalizacji, wytyka zespołom nierentowność, po raz kolejny jednak szykuje się wielki skok. Majątek zespołów to przecież atrakcyjne grunty, nieruchomości, prawa autorskie. Powołanie do życia nowego, centralnie sterującego ciała oznaczałoby też częściową przynajmniej wymianę kadr, czyli ciepłe posady dla specjalistów od niczego, „fachowców z tabletu”. Ministrze, nie idź tą drogą! ©

Fotosynteza na dopingu

JAK DONOSI PISMO „SCIENCE”, naukowcy Uniwersytetu Illinois i Departamentu Rolnictwa USA poprawili wydajność tworzenia glukozy – cukru będącego podstawowym „paliwem komórkowym” – poprzez tytoń.

Glukoza produkowana jest w fotosyntezie. Może zostać również wytworzona w sposób alternatywny. W tym procesie niektóre z ważnych dla nas roślin, w tym ryż i pszenica, pozbywają się pewnego toksycznego związku, który powstał w komórkach rosnąc przez przypadek. Może on zostać przekształcony w cukier, ale potrzebny jest do tego duży nakład energii, co prowadzi do znacznego zmniejszenia plonów.

Aby poprawić wydajność tego alternatywnego szlaku, naukowcy podmienili (za pomocą modyfikacji genetycznych) w tytoniu kilka enzymów na pochodzące z innych organizmów (dyni oraz jednokomórkowej zielonej algi). Pozytywne wyniki laboratoryjne potwierdzono w testach terenowych w dwóch różnych sezonach wegetacyjnych. Wykazały sięgający 40 proc. wzrost biomasy zmodyfikowanych roślin.

Badacze liczą na to, że zastosowana metoda może pomóc w uzyskiwaniu wyższych plonów także u innych roślin. © MARIUSZ GOGÓL

Ciemnej strony nie ma

DOBRE WIADOMOŚCI Z KOSMOSU: 1 stycznia amerykańska sonda New Horizons przeleciała w pobliżu planetoidy Ultima Thule – najdalejzego obiektu (6,5 mld km od Słońca) zbadanego dotąd przez człowieka; dwa dni później zaś chiński próbnik Chang'e 4 jako pierwszy wylądował na niewidocznej z Ziemi półkuli Księżyca. Dane przesyła stamtąd za pośrednictwem specjalnego satelity, ponieważ – w związku z tym, że okres obrotu naszej planety wokół własnej osi jest równy okresowi obiegu Księżyca wokół niej – bezpośrednia komunikacja z miejscem lądowania nie jest możliwa.

Sondę (i cały program badań Księżyca) nazwano imieniem chińskiej bogini, która według legendy zamieszkała tam po spożyciu zioła nieśmiertelności. Wśród mitów i teorii spiskowych o niewidocznej stronie są też nowsze, jak te o ukrytych bazach astronautów (lub kosmitów), a nawet o próbach zdetono-



NASA

wania tam podczas zimnej wojny bomby nuklearnej. Jest i to nieporozumienie: utożsamianie półkuli niewidocznej z „ciemną” stroną Księżyca (światło słoneczne trafia w rzeczywistości na wszystkie partie jego powierzchni). Skąd takie określenie? Przez tysiąclecia była „ciemna”, bo niedostępna dla ludzkiego poznania. Dzięki ostatniej chińskiej misji – wiemy o niej coraz więcej. © P ŻYM



HERMES.COM

BAJTLIK DLA HERMESA. „Miałem sen, w którym wszystkie postaci z billboardów i dmuchanych reklam w centrum Warszawy ożyły i opanowały miasto” – powiedział Jan Bajtlik, artysta znany też z ilustracji publikowanych w „TP”, prezentując wzór pierwszej chusty zaprojektowanej dla domu mody Hermès (z lewej fragment projektu). Pierwowzorem tkaniny jest obraz 90x90 cm malowany gwaszem, akwarelą i akrylem. Prócz występującego w kilkunastu miejscach psa Kluski dociekliwi odnajdą tu też autoportret artysty. © P MOC

Nadchodzi telepatia

W 2019 ROKU interfejs mózg-komputer nie budzi już wielkich emocji – od lat próbuje się uczyć sparaliżowanych pacjentów obsługi komputera albo elektronicznych protez za pomocą rejestrowanej przez komputer aktywności mózgu. Tego typu urządzeń można także użyć do połączenia dwóch mózgów: zarejestrowany wzorec aktywności mózgu nadawcy zostaje przesłany do odbiorcy, u którego wywołuje się aktywność tych samych struktur mózgowych za pomocą nieinwazyjnych metod przezczaszkowej stymulacji. W 2013 r. Rajesh Rao z Uniwersytetu Waszyngtońskiego przesłał w ten sposób do mózgu swojego

kolegi, Andrei Stocca, znajdującego się w pokoju obok, sygnał wywołujący ruch palcem.

Ci sami badacze udostępnili właśnie w serwisie Arxiv.org nierecenzowany jeszcze raport z kolejnego eksperymentu – tym razem łączącego trzy mózgi. Uczestnicy grali w grę przypominającą tetris. Dwóch z nich obserwowało ekran gry i decydowało, czy obrócić spadający klocek. Trzeci uczestnik, któremu przesyłano sygnały pochodzące z mózgów tamtej dwójki, nie widział ekranu. Miał zdecydować o obrocie klockiem tylko na podstawie otrzymywanych sygnałów.

Autorzy badania twierdzą, że odbiorcy uczyli się sterować klockiem z bardzo dużą poprawnością, potrafili także wskazać bardziej wiarygodnego nadawcę. © P ŁUKASZ KWIATEK

KULTURA W SKRÓCIE

POPULARNI. Najpopularniejszym muzeum świata był w 2018 r. paryski Luwr: odwiedziło go ponad 10 mln osób. Dyrekcja muzeum uważa, że znaczny wzrost popularności muzeum zawdzięcza nagraniu we wnętrzach Luwru teledyskowi amerykańskich twórców Beyoncé i Jay-Z. Amerykanie stanowią tu jedną z najliczniejszych grup zwiedzających.

KREATYWNİ. Studenci Politechniki Warszawskiej stworzyli algorytm, który pozwala automatycznie zamienić dowolny film na komiks. Po bezpłatnym (dla plików do objętości 50 megabajtów) przesłaniu nagrania Comixify wybiera jego najciekawsze klatki, a po uzyskaniu komiksowych ramek – nakłada na nie efekty graficzne. W najbliższym czasie program zostanie rozbudowany o moduł umożliwiający automatyczne generowanie tekstowych „dymków”. Po tym, jak o algorytmie napisał prestiżowy „MIT Technology Review”, z twórcami Comixify kontaktują się producenci filmowi i wydawcy z całego świata.

WŚCIEKLI. Andrea Camilleri, Joseph Conrad, Tahar Ben Jelloun – z twórczością tych autorów będą musieli zapoznać się mieszkańcy włoskiego miasteczka Luzzara, jeśli publicznie kogoś obrażą. „Chciałem rzucić kulturowe wyzwanie zachowaniom, które mają destrukcyjny wpływ na naszą wspólnotę” – wyjaśnił Andrea Costa, burmistrz Luzzary. Powstała specjalna strona, poprzez którą można zgłaszać sprawców werbalnej przemocy, oraz karna lista lektur i filmów.



KRZYSZTOF STORY opowie
Grzegorzowi

Chłascie o patostreamerach
(patrz tekst na str. 28)

w środę 9 stycznia o godz. 7.30
w Polskim Radiu RDC. Audycję można
odsluchać także w podcastach na
stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz.
87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka
100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce
103,4 FM oraz na Mazowszu
i w Warszawie – www.rdc.pl

DONALD TUSK – OSTATNIE STARCIE

Jest bliżej decyzji o powrocie niż kiedykolwiek wcześniej
podczas czterech lat spędzonych w Brukseli.
To będzie jego rok – bez względu na to, jakie decyzje podejmie.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

NIE DOPADŁA GO ŻADNA KOMISJA ŚLED-
cza, prokuratura mimo serii postępowań nie zdołała postawić zarzutów, a spora część elektoratu antypisowskiego z rozrzewnieniem wspomina jego rządy.

Dla Donalda Tuska nadchodzi czas decyzji. Pod koniec roku kończy się jego kadencja na fotelu szefa Rady Europejskiej. Kandydować kolejny raz nie może, jego następcą zostanie wybrany latem lub wczesną jesienią.

Przed Tuskiem stoi zatem wybór: powrót do krajowej polityki, inna zagraniczna posada lub emerytura politycznego komiwojażera w stylu Lecha Wałęsy czy Aleksandra Kwaśniewskiego – tu wykład, tam impreza dużej korporacji. Na pewno wraz ze zbliżającym się końcem brukselskiej misji coraz wyraźniej sonduje możliwość powrotu do Polski. I kalkuluje swoje szanse w boju z Jarosławem Kaczyńskim. Zapewne ostatnim.

Czas próby

Rok 2018 był dla Tuska czasem próby. Po raz pierwszy od wyjazdu do Brukseli publicznie pojawiał się w Polsce z dużą intensywnością. I pokazał, że jest gotów walczyć z PiS. Zaczął ponad rok temu, głośnym wpisem na Twitterze: „Alarm! Ostry spór z Ukrainą, izolacja w Unii Europejskiej, odejście od rządów prawa i niezawisłości sądów, atak na sektor porządkowy i wolne media – strategia PiS czy plan Kremla? Zbyt podobne, by spać

spokojnie”. Swoją efekt osiągnął – liderzy PiS wpadli w furję.

Atakował więc dalej. Równy rok temu udzielił mocnego wywiadu „Tygodnikowi Powszechnemu”. Wypowiedziane wówczas przez niego słowa nadawały ton debacie politycznej przez okragły rok: „Rzadzający nie są entuzjastami, delikatnie mówiąc, naszej obecności w UE”.

Z każdym miesiącem było Tuska w polskiej polityce coraz więcej. Wypowiadał się praktycznie w każdej kwestii kłopotliwej dla PiS. Krytykował rząd za przyjęcie kontrowersyjnej ustawy o IPN, piętnował konflikty z Unią i bronił sądów.

Ze szczególną lubością podśmiewał się z Andrzeja Dudy – co nadawało wiarygodności plotkom o prezydenckich apetytach Tuska. Gdy Duda narzekał, że Unia decyduje za niego, jakich ma używać żarówek, Tusk odparował: „Czasami trzeba pomyśleć z taką większą cierpliwością o prezydencie. Wtedy, kiedy wydaje się pogubiony w argumentacji, wtedy potrzebuje raczej naszego wsparcia”.

Starał się wyróżnić na tle Dudy podczas międzynarodowych wydarzeń, na których prezydent reprezentował Polskę, a on Unię. Założył konto na Instagramie i pokazywał w internecie zdjęcia z najważniejszymi figurami tego świata. Nie tylko z liderami państw. Furorę zrobiła jego sesja z Bono, liderem zespołu U2, gdy razem wskazują na charakterystyczny plakat z napisem „Konstytucja”. Na profilach in-

ternetowych Dudy dominują tymczasem capstrzyki i oficjalki.

Tusk pojawił się także w kampanii wyborczej, wspierając kilku kandydatów, w tym Rafała Trzaskowskiego w Warszawie oraz Jarosława Makowskiego w Katowicach. Świadomie zakładając chłodne przyjęcie, a nawet ostracyzm obozu władzy, przyjechał na oficjalne obchody setnej rocznicy odzyskania niepodległości. Został ustawiony w dalszych rządach, a prezydent go nie przywitał. Jednak swój cel osiągnął i tym razem – wszystko to było szeroko komentowane.

Tak, w 2018 r. Tusk pokazał, że bierze na poważnie powrót do polskiej polityki.

Dał od siebie odpocząć

Dziś widać, że Tusk realizował konsekwentny i logiczny program polityczny. Przez pierwszą, dwuletnią część swej kadencji w Brukseli rzadko angażował się w krajowe rozgrywki.

Z jednej strony, musiał się wdrożyć w obowiązki unijne, a faktem jest, że w pierwszym okresie szło mu to z dużym trudem i był źle ocenianym szefem Rady Europejskiej. Z drugiej strony, przez ten czas dał wyborcom od siebie odpocząć. Pamiętać bowiem należy, że odchodził z kra-



Bruksela, 12 lipca 2018 r.

jowej polityki przy spadających sondażach i utracie osobistej popularności. Utorował PiS drogę do władzy, bo nie wyczuł coraz bardziej prosocjalnych nastrojów elektoratu i zlekceważył skandale w swym obozie – choćby aferę kelnerów z knajpy u Sowy. Zdecydował się na wyjazd wiedząc, że wyborcy są nim zmęczeni i że przegra kolejne wybory z Kaczyńskim.

Osobistej porażki uniknął, ale zostawił Platformę wypaloną i pozbawioną indywidualności, bo zwalczał je latami traktując jak konkurentów. Partia okazała się bezbronna, gdy opuścił ją człowiek, który ją pod siebie zbudował.

Kaczyński szuka puczu

W owym pierwszym okresie emigracji Tusk ostro zaatakował PiS raz – w grudniu 2016 r., gdy ruszała pamiętna okupacja przez opozycję sali sejmowej, a pod parlamentem zgromadzili się przeciwnicy PiS. Był wówczas we Wrocławiu.

– Mając też w osobistej pamięci, co znaczą grudnie w naszej historii, apeluję do tych, którzy realnie sprawują władzę w naszym kraju, o respekt i szacunek wobec ludzi, zasad i wartości konstytucyjnych, ustalonych procedur i dobrych obyczajów – stwierdził. Porównanie do stanu wojennego czy Grudnia '70 było kompletnie nieuzasadnione.

Tusk przesadził i w dodatku przypomniał o sobie za wcześnie. Nie zdobył wielkiego poklasku dla swych słów. Inna rzecz, że zadziało to na Kaczyńskiego jak płachta na byka – uznał, że sejmowe wydarzenia i Tuskowa wizyta to zorganizowane działania zmierzające do „puczu”, czyli obalenia władzy PiS siłą. Media publiczne lansowały tę tezę tygodniami, a prokuratura wszczęła śledztwo przeciw puczystom. Sprawdziłem – szuka ich do dziś, czyli ponad dwa lata.

Czas grał jednak na korzyść Tuska. Po pierwsze, temperatura rządów PiS znacznie przekroczyła odporność elektoratu liberalnego. Wobec wojny o Trybunał Konstytucyjny oraz sądy, wobec przejmowania wszystkich instytucji w państwie przez najbardziej twardogłowych ludzi PiS, dawne przewiny Tuska straciły na aktualności.

Dodatkowo wobec chaosu po stronie opozycji – wojenek wewnątrz przegranej Platformy i jej starć oraz Nowoczesną i powstałym oddolnie KOD-em – Tusk szybko zaczął odzyskiwać utracone pod koniec swego premierostwa poparcie. ➔

→ Jawił się jako jedyny, który może – jak to robił wcześniej przez wiele lat – zepchnąć PiS do opozycji.

To przypadkowy prezent od Kaczyńskiego. Tusk nie musiał walczyć z PiS, to PiS ściągnął sobie na głowę całą masę przeciwników. I zmobilizował elektorat liberalny wokół marzenia o powrocie Tuska z Brukseli.

Na czterech frontach

To zresztą element szerszego zjawiska. Stosunek Kaczyńskiego do Tuska po Smoleńsku nie jest polityczny i chłodny. Jest osobisty i gorący. Dlatego jednym z pierwszych haseł rewolucji PiS po dojściu do władzy w 2015 r. było dopadnięcie Tuska.

PiS polowało nań w co najmniej czterech obszarach. Nade wszystko w sprawie Smoleńska, gdzie prokuratura wciąż doszukuje się „zdrady dyplomatycznej”, czyli rzekomego współdziałania Tuska z Rosjanami przeciw prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu.

Druga sprawa to potencjalne niedopełnienie obowiązków przez Tuska w sprawie afery Amber Gold. Trzeci wątek to potencjalna korupcja przy sprzedaży chemicznego giganta Ciech firmie Jana Kulczyka. I wreszcie kwestia umowy między Służbą Kontrwywiadu Wojskowego a rosyjską Federalną Służbą Bezpieczeństwa, następczynią KGB. Chodzi o to, że Tusk jako premier wyraził zgodę na zawarcie tej umowy bez formalnej opinii swego ministra obrony.

Szkopuł w tym, że wzywanie Tuska przed prokuraturę czy komisje śledcze dodatkowo budowało jego mit w elektoracie antypisowskim. Liberalny lud witał go na dworcach i koczował godzinami pod oknami przesłuchujących Tuska prokuratorów. Dla tych ludzi wieść o wsparciu dla dawnego lidera PO były deklaracją poparcia dla III RP – państwa, które PiS zaczął remontować.

Przez niemal trzy lata śledztw prokuratorzy Zbigniewa Ziobry nic na Tuska nie znaleźli. Najnowszy akt tej rozgrywki to próba przesłuchania tłumaczki pracującej

przy spotkaniu Tuska i Putina w Smoleńsku. Skoro po trzech latach prokuratura decyduje się na ryzykowną próbę zwolnienia z tajemnicy tłumaczki najważniejszych ludzi w państwie, to znaczy, że niewiele na Tuska ma i szuka rozpaczliwie. Może tylko puszczać oko – wszak tłumaczka jest żoną gen. Marka Dukaczewskiego, byłego szefa WSI, którego PiS prezentuje swemu elektoratowi jako wcielenie zła.

Prezent od Kaczyńskiego

Kaczyński w chęci dopadnięcia Tuska zabrnął tak daleko, że przestał zwracać uwagę, że ta wojna od pewnego momentu obraca się przeciwko PiS. Tak naprawdę najpierw podtrzymywał żywotność polityczną Tuska swym kontrowersyjnym stylem rządów.

A wiosną 2017 r. go reaktywował – decydując, że rząd Polski jako jedyny w całej UE sprzeciwi się wyborowi Tuska na drugą kadencję szefa Rady Europejskiej. Od początku rządów PiS w 2015 r. to była zagadka: jak Kaczyński zachowa się w sprawie przedłużenia jego brukselskiej misji. Jeszcze na przełomie 2015 i 2016 r. – gdy zajęty był szybkim przejmowaniem instytucji państwa, wojną o Trybunał Konstytucyjny i protestami KOD – zdawał się uznawać, że Tusk lepiej trzymać z dala od Polski, bo w razie powrotu mógłby się stać katalizatorem antypisowskiej opozycji.

Dlatego 8 maja 2016 r. w „Rzeczpospolitej” ukazał się tekst, który był ważnym sygnałem. Napisał go europoseł Ryszard Czarnecki, będący oczami i uszami Kaczyńskiego w unijnych instytucjach. Kluczowy, ostatni akapit został zatwierdzony osobiście przez lidera PiS. Brzmiał on tak: „Kaczyński ma swoje zasady. Jedną z nich jest popieranie Polaków na stanowiska międzynarodowe, niezależnie od opcji politycznej, jaką reprezentują. Kaczyński nie poświęci zasad w imię rewanżu. Tusk nasze poparcie będzie miał”.

Mędzy majem a lipcem do Kaczyńskiego zaczął jednak intensywnie pielgrzymować Antoni Macierewicz, przedstawiając dokumenty rzekomo obciążające Tuska odpowiedzialnością za katastrofę smoleńską. Macierewicz przekonał Kaczyńskiego, że Tusk spiskował z Putinem przeciw prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu już od września 2009 r., gdy rosyjski premier przyjechał na Westerplatte w rocznicę wybuchu II wojny światowej.

Od jesieni 2016 r. Jarosław Kaczyński mówił jasno nie tylko o sprzeciwie wobec

dalszej europejskiej misji Tuska, ale wręcz o jego możliwej odpowiedzialności karnej.

W tym sensie głosowanie przeciwko przedłużeniu kadencji w Radzie Europejskiej było logiczne. Tyle że zachowanie PiS stało się punktem zwrotnym w krajowej karierze Tuska – sondaże pokazały, że społeczeństwo źle ocenia tę decyzję. W ten sposób Tusk zyskał drugie polityczne życie. „Oceniam wynik tej operacji jako obciążający na rynku wewnętrznym. Ale sondażowe straty szybko odrobimy” – mówił mi wówczas Kaczyński.

To dzięki działaniom PiS wobec państwa i Tuska dziś ten transfer z Brukseli jest tak prawdopodobny.

Bardzo dużo do stracenia

Ale wszystko to nie znaczy, że powrót jest sprawą przesądzoną. Widać to wyraźnie już dziś, gdy powoli rusza kampania wyborcza przed majowymi wyborami do Parlamentu Europejskiego.

Jeszcze niedawno spekulowano, że Tusk może zjednoczyć antypisowską opozycję i patronować wystawieniu tzw. listy premierów i ministrów, na której mieliby się znaleźć byli szefowie rządu (Ewa Kopacz, Leszek Miller, Włodzimierz Cimoszewicz, Marek Belka i Jerzy Buzek) czy liczni członkowie rządów z PO, PSL i SLD. Moje źródła we wszystkich partiach wskazują na to, że nie trwają żadne rozmowy o takiej liście. Co więcej – wciąż nie wiadomo, w jakiej konfiguracji przeciwnicy PiS pójdą do eurowyborów. Ewidentnie ręki Tuska tu nie widać.

Tak naprawdę Tusk przy swym doświadczeniu politycznym – dwie kadencje na fotelu premiera, niezliczona liczba wygranych wyborów, pięć lat na prestiżowym stanowisku w Brukseli – ma niełatwą sytuację. Musi stanąć do gry o wysoką stawkę, a ma bardzo dużo do stracenia. Start w wyborach parlamentarnych jesienią nie wchodzi w grę, to nie ta liga, zresztą wtedy będzie jeszcze przewodniczył Radzie. Realna rozgrywka to tylko prezydentura w 2020 r.

Problem w tym, że porażka z – wciąż jednak – politycznym młokosem, takim jak Andrzej Duda, oznaczałaby definitywny koniec Tuska w polityce.

Dlatego też – opowiadają jego znajomi – Tusk kalkuluje. W tych rozmowach pojawia się kilka warunków, które muszą zostać spełnione, by wrócił nad Wisłę. A zatem, po pierwsze, musi mieć realne szanse na wygraną. Widać, że upływający



ANDRZEJ STANKIEWICZ będzie gościem

Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie”
Radia TOK FM w środę 9 stycznia o godz. 16.20.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń

89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin

94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

czas i ostry styl rządów PiS mu pomagają. Według najnowszych badań Duda i Tusk mają wyrównane szanse, choć wciąż z lekkim wskazaniem na urzędującego prezydenta (50 do 45 proc. dla Dudy w sondażu „Faktów” TVN, a w badaniu „Rzeczpospolitej” 46 proc. do 44 proc. – oba wyniki z końca listopada). Ale, po pierwsze, Tusk zanotował w ciągu ostatniego roku duże wzrosty, a w dodatku w niektórych badaniach zaufania do polityków już Dudę wyprzedził.

Efekt kuli śniegowej

Po wtóre, ważna jest sekwencja wyborów. Wybory europejskie wiosną tego roku, parlamentarne jesienią, a po nich w połowie 2020 r. wybory prezydenckie – taki układ jest dobry i dla Tuska, i dla opozycji.

Wybory europejskie mobilizują elektorat liberalny i łatwiej w nich pokonać PiS. W dodatku trzyletnią politykę Kaczyńskiego łatwo przyjdzie ubrać opozycji w hasło polexitu – wyprowadzania Polski z Unii. Od początku PiS będzie w defensywie, bo musi udowodniać, że jest – by zacytować hasło z niedawnej konwencji tej partii – „sercem Europy”. Nie może jednak przesadzić, by nie zrazić eurosceptycznej części swego elektoratu. Ponadto będzie mieć kłopot z wiarygodnością. Trudno mu będzie pozostać sercem Europy, jeśli do rządu wchodzi tacy wrogowie UE jak najnowszy nabytek z obozu narodowców – Adam Andruskiewicz, którego antyunijne i próbatoruskie wypowiedzi można wyciągać z internetu całymi terabajtami. W dodatku wciąż trwa konflikt rządu z Brukselą, choćby w sprawie sądownictwa. A podczas eurokampanii unijny Trybunał Sprawiedliwości może podjąć decyzje niekorzystne dla PiS w tym obszarze.

Liderzy opozycji wierzą, że dobry wynik ich partii w eurowyborach wpłynie na głosowanie do Sejmu jesienią – majowe zwycięstwo miałyby zmienić nastroje społeczne.

– Tusk skłania się do startu w wyborach prezydenckich w razie wygranej opozycji w wyborach do Sejmu – opowiada jego wieloletni znajomy. – Wtedy mógłby zadziałać efekt kuli śnieżnej: zwycięzcy sejmowi zawsze przez kilka miesięcy po wyborach zwiększają poparcie. W tej sytuacji miałyby większe szanse w wyborach prezydenckich.

Prezydent Duda się na to przygotowuje. „Powrót Tuska nie byłby zaskakujący. Cie-

Porażka z Andrzejem Dudą, politycznym młokosem, oznaczałaby definitywny koniec Donalda Tuska w polityce.

Dlatego Tusk kalkuluje.

szylby mnie jako ktoś z długą historią polityczną. Można będzie zestawić jego słowa z tym, co miał okazję zrobić, a raczej nie zrobić. Jego siłą byłoby jednak doświadczenie” – stwierdził w „Super Expressie”.

A jeśli opozycja przegra wybory do Sejmu?

– Moim zdaniem nie wystartuje – mówi jego znajomy. – Po pierwsze, za duże ryzyko przegranej, bo to PiS będzie zyskiwał poparcie jako wygrane ugrupowanie, na czym skorzysta Duda. A po drugie, w razie porażki w wyborach do parlamentu, w Platformie i na całej opozycji antypisowskiej zaczęłyby się brutalne rozliczenia. Kto miałby poprowadzić wygraną kampanię prezydencką?

Choć lata płyną, to nie zmienia się jedno: Donald Tusk nie trawi Grzegorza Schetyny. Uważa, że obecny przewodniczący PO – który ma bardzo złe oceny w rankingach zaufania – nie jest liderem mogącym wygrać z PiS. Stąd wiarygodne pogłoski, że Tusk widziałby w roli lidera zjednoczonej opozycji raczej szefa ludowców Władysława Kosiniaka-Kamysza, swego byłego ministra pracy. Konserwatysta, lekarz, polityk młodego pokolenia, lepiej pasuje do profilu pogromcy PiS, jaki stworzył Tusk. Jak nietrudno zgadnąć, w niedawnym sondażu „Rzeczpospolitej” Kosiniak-Kamysz wypadł wyraźnie lepiej od Schetyny jako potencjalny kandydat opozycji na premiera.

Kosiniak-Kamysz już zaczął porządkować swoją sytuację osobistą – do niedawna rozwiedziony, poprzez ustawione sesje w tabloidach zaprezentował swą nową kandydatkę na żonę, też lekarzkę.

Sprawa rodzinna

Jest jeszcze jeden, ważny czynnik, który – jak słychać – Tusk bierze pod uwagę: rodzina. W klanie Tusków nie ma entuzjazmu dla powrotu seniora do gorącej, codziennej wojny z PiS.

Tusk niedługo zostanie po raz kolejny dziadkiem, w ciąży jest jego ukochana córka Katarzyna. To ona wraz z żoną Tuska mają być zdecydowanymi przeciwniczkami powrotu do przeszłości.

Z drugiej jednak strony w prywatnych rozmowach Tusk nie kryje, że chciałby pobić PiS także ze względu na osobiste porachunki. Kontrolowana przez władzę komisja śledcza ds. Amber Gold próbowała (a może jeszcze spróbuje) obarczyć Michała Tuska współodpowiedzialnością za tę aferę. Tusk jest przeczulony na punkcie mieszaniny rodziny do politycznej rozgrywki przeciw niemu. I ma alergię na próby łączenia jego syna z aferą Amber Gold. Za swych rządów usunął wieloletniego szefa ABW gen. Krzysztofa Bondaryka za to, że ujawnił kalendarium działań swej formacji w sprawie Amber Gold. Wnikliwa lektura dat mogła sugerować, że przestrzegając syna przed pracą dla linii lotniczych należących do Amber Gold, Tusk miał już wiedzę z ABW, że to piramida finansowa.

Michał Tusk był przesłuchiwany przez komisję śledczą PiS jeszcze przed przesłuchaniem ojca.

Zeznając junior popełnił parę gaf, na które liczyli posłowie z PiS („Razem z ojcem wiedzieliśmy, że – mówiąc kolokwialnie – to lipa”). Ale podczas swego przesłuchania senior ich zdeklasował, przekreślając nadzieje Kaczyńskiego, że ta komisja śledcza będzie jednym z gwoździ do jego trumny.

Kariery polityków z Brukseli po powrocie do kraju się zdarzają. Czasem są udane – jak była unijna komisarz ds. budżetu Dalia Grybauskaitė, która została prezydentem Litwy. Czasem średnio fortunne – były szef Komisji Europejskiej Romano Prodi został co prawda premierem Włoch, ale jego rząd był chwiejny i upadł. A czasem to kompletne pomyłki – były szef Parlamentu Europejskiego Martin Schulz w 2017 r. poprowadził niemieckich socjaldemokratów z SPD do największej porażki wyborczej w ich historii.

Nie ma się więc co dziwić, że rozważając decyzję o powrocie, Tusk jest niezwykle ostrożny. Nikogo nie informuje o swoich planach, raczej – w swym stylu – sonduje, wysłuchuje i stara się robić dobre wrażenie. Bo ostateczna decyzja jest jak bilet w jedną stronę. © ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Co cię nie zabije, to cię wzmocni

MAREK WĄS

Status samca alfa polskiej polityki zapewniły Tuskwie nie tyle sukcesy, ile sposób, w jaki podnosił się z kolejnych porażek projektów, którym dawał twarz.

4 CZERWCA 1992 R.: O GODZINIE 22 ROZ-poczyna się niejawne spotkanie u prezydenta Lecha Wałęsy. Przywódca liberałów Donald Tusk wyróżnia się na tle starszych od niego politycznych wyjadaczy – gęsta, jasna czupryna, smukła sylwetka, chłopięcy wdzięk, zatroskana mina nie pasują do niego. Siadają przy owalnym stole, Tusk między Wałęsą a liderem Unii Demokratycznej Tadeuszem Mazowieckim.

Odwołanie rządu Jana Olszewskiego jeszcze tej nocy jest przesądzone. Politycy ustalają skład przyszłego rządu.

„Panowie, na kogo moja nominacja ma być? – denerwuje się Wałęsa. – Czy przejdzie Pawlak?”

Mazowiecki odmawia teki wicepremiera. Spierają się dłuższą chwilę, wreszcie dyskusję przecina Tusk: „Panowie, policzmy głosy; KPN, PSL, SLD, mała koalicja. Według mojej wiedzy SLD nie wstrzyma się i będzie za odwołaniem.

– Za odwołaniem tak, ale czy będzie głosowała za Pawlakiem – dopytuje szef KPN Leszek Moczulski”.

Tusk do lidera PSL: „Waldek, ty twierdziłeś, że tak”.

Zdrajca po raz pierwszy

Narada u Wałęsy wyznaczyła granicę politycznego sporu w obozie postsolidarnościowym, który trwa do dzisiaj, bo szefem Porozumienia Centrum, z którego wywodził się odwołany nocą z 4 na 5 czerwca premier Olszewski, był Jarosław Kaczyński. Jedna noc zdeterminowała kariery uczestników narady.

– Dobrze się stało, że w 1992 r. Tusk postawił na mnie, a ja na niego – ocenia dziś Lech Wałęsa.

Wówczas spór dotyczył lustracji. Minister spraw wewnętrznych w rządzie Olszewskiego, Antoni Macierewicz, wykonu-

jąc uchwałę Sejmu przygotował listę nazwisk czołowych polityków figurujących w archiwach UB i SB jako tajni współpracownicy. 4 czerwca rano przewodniczący sejmowych klubów i marszałkowie otrzymali szare koperty z listą nazwisk 66 polityków, posłów i senatorów. Kryzys wokół lustracji trwał już od kilku dni.

„Rozpoczynamy grę, ona się skończy źle dla wszystkich uczestników tej zabawy” – ostrzegał Jacek Kuroń.

„To będzie bezprawne skazanie na infamię” – uważał Jan Rokita, wówczas poseł Unii Demokratycznej.

Skrainie odmienna była opinia Stefana Niesiołowskiego, w 1992 r. kolegi partyjnego Macierewicza z ZChN, koalicjanta PC. „Wracają czasy nadziei, gdy konfident i odpowiedzialni za zbrodnie nie będą mogli pełnić funkcji publicznych” – mówił w jednym z programów telewizyjnych.

Okazało się, że na liście Macierewicza znalazło się nazwisko prezesa jego własnej partii, Wiesława Chrzanowskiego. To wówczas prawica po raz pierwszy publicznie oskarżyła o współpracę z SB także Lecha Wałęsę. Czerwcowy „zamach” na rząd Olszewskiego stał się kamieniem milowym w formowaniu środowiska skupionego wokół Jarosława Kaczyńskiego.

– Tak zwana „nocna zmiana” była dobrą zmianą. Ale przegraliśmy narrację i to było moje pierwsze doświadczenie dziś oczywistej prawdy, że w polityce wrażenia, odczucia i emocje bywają ważniejsze od faktów – ocenia dziś Donald Tusk w rozmowie z „TP”. – Odwołanie rządu Olszewskiego obrosło bałamutną legendą. Kaczyńscy wiele razy przyznawali w prywatnych rozmowach, że był on fatalny, a sam Olszewski nie nadawał się na premiera. W typowy dla siebie sposób stosu-

wali leninowską zasadę: „Kto nie z nami, ten przeciw nam”. I tak liberałowie z upragnionych sojuszników (Bielecki miał być u Olszewskiego wicepremierem od gospodarki!) stali się „aferalami”, Wałęsa z wymarzonego prezydenta agentem.

Jako uczestnik narady u prezydenta, Tusk po raz pierwszy nazwany został przez nich „zdrajcą”.

Większy pokój w akademiku

Dzięki kryzysowi rządowemu w 1992 r. 35-letni Tusk stał się rozpoznawalny dla opinii publicznej. Wcześniej był dobrze znany działaczom podziemia.

– Poznałem go w 1979 r., gdy wspólnie z Antonim Mężdydło zwołaliśmy zebranie studenckiej grupy samokształceniowej – wspomina Bogdan Borusewicz, organizator sierpniowego strajku w Stoczni Gdańskiej. – Odbywało się w jednym z pokoi akademika przy ul. Polanki w Gdańsku. Przyszło tyle osób, że się nie mieścili. I wtedy wstał student historii i zaproponował, żeby przenieść się do niego obok, bo ma większy, małżeński pokój. To był Donald Tusk. On kończył studia, żona pracowała w bibliotece Uniwersytetu Gdańskiego, w kącie stało łóżeczko, a w nim brykało dziecko, Michał. Zapraszając nas do siebie narażał rodzinę, oboje z żoną pokazali charakter.

W 1980 r. Tusk był jednym z liderów Niezależnego Zrzeszenia Studentów, potem szefem „S” w Wydawnictwie Morskim, pisał do tygodnika „Samorządność”, którego naczelnym był działacz kaszubski i pierwszy rzecznik „S” Lech Bądkowski. Niemal przez całe lata 80. utrzymywał się z fizycznej pracy w założonej przez Macieja Płażyńskiego spółdzielni Świetlik.

– Dla mnie to weteran z czasów, gdy działaliśmy w podziemiu. To jemu przekazałem maszynę drukarską, on wykonywał tę drukarską robotę jeszcze w 1988 r., to świadczy o charakterze. W podziemiu niewielu nas było – mówi Jacek Merkel, uczestnik strajku w stoczni, członek władz „S”, internowany w stanie wojennym.

Inną opinię o podziemnej działalności Tuska ma Piotr Semka, w gdańskim podziemiu współpracownik Ruchu Młodej Polski, dziś publicysta prawicowego tygodnika „Do Rzeczy”: – Nie był internowany w grudniu 1981 r., a jednak gdy podobny zarzut stawia się Jarosławowi Kaczyńskiemu, Tusk akceptuje ten typ pro-

pagandy. Niewątpliwie w końcu lat 80. istniało w Gdańsku silne środowisko liberałów i wśród nich był też Tusk, ale on nie był autentycznym, wyrazistym liderem. Tak naprawdę nie miał do końca skrzystalizowanego zrębu poglądów. Nie do końca wiedział, czy chce być politykiem, czy też stać się kimś w rodzaju intelektualnego lidera swojego środowiska. Aktywnym politykiem stał się dopiero w 1992 r. Jest współodpowiedzialny za to, co się wydarzyło w czerwcu, za odwołanie rządu Olszewskiego. To był jego chrzest bojowy.

Trampolina Bieleckiego

W podziemiu gdańscy liberałowie wydawali „Przegląd Polityczny”, tworzyli Towarzystwo Społeczno-Gospodarcze „Kongres Liberałów”. Trzon grupy stanowili Jan Krzysztof Bielecki, Janusz Lewandowski, Jacek Merkel i Tusk. Pozostali chyba jedynym środowiskiem polityczno-towarzyskim, które się nie rozpadło i wspiera do dziś. Dopiero w końcu czerwca 1990 r. powołali partię – Kongres Liberalno-Demokratyczny, jej pierwszym przewodniczącym został Lewandowski. Mimo że opowiadali się za szybką prywatyzacją i stawiali na wolny rynek, w wyborach prezydenckich poparli nie Mazowieckiego, tylko Wałęsę. Ten się odwdzieczył – w styczniu 1991 r. premierem ostatniego rządu powołanego przez jeszcze PRL-owski Sejm X kadencji został Jan Krzysztof Bielecki. Lewandowski został ministrem przekształceń własnościowych, Tusk teki nie otrzymał, za to już cztery miesiące później został przewodniczącym KLD.

– Dopiero nominacja Bieleckiego na premiera dała temu środowisku możliwość



LATA 80. Donald Tusk pracuje w spółdzielni Światlik, Gdańsk

prawdziwego awansu – uważa Semka. – Na tym premierostwie zbudowali swoją pozycję. Bielecki dostał swoją szansę za zasługi w działalności w podziemiu, zwłaszcza w najtrudniejszym okresie na początku lat 80.

Mało kto pamięta, że początkowo KLD formalnie była częścią... Porozumienia Centrum, które funkcjonowało jako federacja. Ich drogi rozeszły się dopiero wiosną 1991 r., gdy Jarosław Kaczyński postanowił przekształcić PC w jednolitą partię chadecką.

Teraz na Tusku jako przewodniczącym KLD spoczywała odpowiedzialność za przygotowanie partii do pierwszych w pełni wolnych wyborów. Wystartowali z hasłem „Ani w prawo, ani w lewo, tylko prosto do Europy” i zdobyli ponad 7 proc. głosów – 37 miejsc w Sejmie i 6 w Senacie. Tusk został posłem.

Był to niezły wynik, gdyż Sejm I kadencji był wyjątkowo rozdrobniony. KLD znalazł się w tzw. wielkiej piątce partii prawicowych. Ostatecznie nie weszli do koalicji, ale powołany w grudniu 1991 r. gabinet Jana Olszewskiego był rządem mniejszościowym i nieraz skutecznie zabiegał o poparcie Tuska. Pamięć wspólnych solidarnościowych korzeni była jeszcze bardzo silna. Tępienie i ostateczny rozłam wywołała dopiero „lista Macierewicza”.

Urok starych ulic

W czerwcu 1992 r. Pawlakowi nie udało się sformować rządu, dopiero miesiąc później dokonała tego Hanna Suchocka z UD. Kongres wszedł do koalicji, w gabinecie

znaleźli się Lewandowski, Bielecki i Michał Boni. Ale również rząd Suchockiej działał krótko. Jesienią 1993 r. odbyły się przedterminowe wybory, do których KLD postanowił wystartować samodzielnie. To był zimny prysznik – hasło wyborcze „milion nowych miejsc pracy” tylko drażniło zmęczonych reformami gospodarczymi ludzi. To wówczas zaczęło funkcjonować określenie „aferałowie”. KLD nie przekroczył progu wyborczego, zdobywając niecałe 4 proc. głosów.

– Jeśli coś kształtowało Donalda jako polityka, którego dzisiaj znamy, to chyba porażki – uważa Janusz Lewandowski. – Przegrane go hartowały, w pierwszej kolejności przegrana Kongresu w 1993 r.

– Po porażce wyraźnie dojrzał – mówi Bogdan Borusewicz. – Dostrzegł popełnione błędy. Na listach KLD znalazła się oczywiście zwarta grupa ludzi znających się z podziemia, ludzi, których łączyła nie tylko polityka, ale też trwałe, prywatne związki. Ale na swoje listy dobrali też różnych przedsiębiorców, jak się okazało, ludzi przypadkowych. Tusk zawsze był sympatyczny, dowcipny, po tej klęsce stał się twardy. Potem, po każdej kolejnej porażce był coraz twardszy.

– Przegrana KLD była nokautem – przyznaje Tusk. – Najdotkliwsze było poczucie, od razu po przegranej, otaczające mnie pustki. Czułem, że kwarantanna może potrwać bardzo długo. To była ważna lekcja, także w wymiarze prywatnym. Stało się dla mnie jasne, że zasada „raz na wozie, raz pod wozem” obowiązuje z polityce ze szczególną mocą.

Pomocną dłoń do Kongresu wyciągnął Tadeusz Mazowiecki – w kwietniu 1994 r. KLD połączył się z Unią Demokratyczną →



TOMASZ WIERZEJSKI / FOTONOVA

4 CZERWCA 1992 R.

Z Jarosławem Kaczyńskim w Sejmie

→ tworząc Unię Wolności. Tusk został wiceprzewodniczącym nowej partii. Szybko okazało się, że nie jest to małżeństwo z miłości.

– W UW dochodziło do walki na noże – mówi Aleksander Hall, w podziemiu lider Ruchu Młodej Polski, potem minister w pierwszym rządzie Mazowieckiego, poseł UD. – To ugrupowanie pękało na UD i KLD.

Borusewicz: – Problemem UW było to, że środowisko liberałów cały czas stanowiło odrębną, zwartą grupę. Popierali się nawzajem, okazywali sobie lojalność. Tę grupę usiłował rozmontować Bronisław Geremek, ale bez rezultatów.

Bezczynny politycznie Tusk zajął się wydawaniem albumów z serii „Był sobie Gdańsk” – starannie opracowanych archiwalnych fotografii międzywojennego i XIX-wiecznego miasta. W PRL historia niemieckiego Gdańska była fałszowana lub przemilczana. Teraz gdańszczanie mogli zobaczyć, jak wyglądały niegdyś znane im ulice.

– Żeby nie przepaść z kretelem, trzeba umieć się odnaleźć w świecie bez polityki, zbudować samodzielność, uniknąć upokarzającej roli klienta – mówi Tusk. – Wydałem wiele książek, osiągnąłem sukces i finansową niezależność i nauczyłem się czekać. W polityce umiejętność bezcenna.

– Było w tych wydawnictwach dużo jego autentycznych emocji, ale była to też inwestycja w zmianę wizerunku – uważa Hall. – Wydaje mi się, że to nie było bez kalkulacji politycznej.

Leniuch pokazał kły

Po wyborach 1997 r. Tusk dostał się do Senatu, został jego wicemarszałkiem, a UW weszła do koalicji wspierającej rząd Jerzego Buzka. Miał wówczas 40 lat i wciąż chłopięcy wygląd, co nijak nie pasowało do piastowanego przez niego stanowiska. W oczach opinii publicznej ugruntował się wizerunek beztrudnego, nieskoro do działań senatora.

– W Senacie był dość bierny – przyznaje Hall.

– Rzeczywiście ciążył na nim stereotyp leniwego senatora – mówi Lewandowski. – Ale mało kto wie, że Donald w tym okresie dużo czasu spędzał w terenie i okazało się, że ma bardzo dobry kontakt z ludźmi. Że jest przekonującym, świetnym mówcą. To było dla niego doświadczenie nie do przecenienia.

Semka: – Uważano go za lenia, ale pamiętano ostre ząbki. No i w końcu leniuch pokazał kły.

Pod koniec III kadencji Sejmu notowania rządu AWS były tak niskie, że dla wszystkich stało się jasne, że nie ma szans na kolejną kadencję. UW wyszła z koalicji już w 2000 r., ale jej notowania również były słabe. Po postsolidarnościowej stronie sceny politycznej musiało dojść do przetasowań. W grudniu 2000 r. Tusk usiłował jeszcze przejąć władzę w Unii, ale w starciu z Bronisławem Geremekiem przegrał stosunkiem głosów 336 do 261. Odszedł z partii w styczniu następnego roku, wraz z nim niemal wszyscy dawni działacze KLD.

– W pewnym momencie zrozumiał po prostu, że w Unii Wolności nie ma miejsca dla liberałów – mówi Janusz Lewandowski. – Grudniowy kongres to już było wzajemne wycinanie się tych dwóch skrzydeł. Moim zdaniem Geremek wygrał jedynie dzięki poparciu partyjnych elit, bo gdyby decydować mieli szeregowi członkowie, to wynik starcia byłby zupełnie inny.

Secesja liberałów osłabiła Unię, równie silnym ciosem, było przeciągnięcie do poświeżo powołanej Platformy niemal całej młodzieżówki UW – Młodych Demokratów. Ich szef Sławomir Nowak stał się od-tąd przybocznym, niemal ochroniarzem Tuska.

A on sam po raz kolejny został okrzyknięty zdrajcą, tym razem przez środowiska okółpolityczne i medialne, wspierające dotychczasowy model budowy III RP. Nie było wówczas wcale jasne, czy Tusk nie dokonał właśnie definitywnego skoku w polityczny niebyt.

Tenor był tylko jeden

24 stycznia 2001 r. podczas hucznej konwencji w gdańskiej Hali Olivii powstała Platforma Obywatelska. Nową jakość w polskiej polityce obiecało Polakom „trzech tenorów” – Andrzej Olechowski, który rok wcześniej uzyskał dobre, drugie miejsce w wyborach prezydenckich, popularny marszałek Sejmu Maciej Płażyński i Donald Tusk.

– Donald uparł się, że to musi być duże wydarzenie – opowiada Jacek Merkel. – Chciał, żebym tam był, i na jego prośbę pomagałem w sprawach organizacyjnych z postanowieniem, że wkrótce wycofam się z polityki. Triumwirat był ważny,



ale dla mnie od początku było jasne jak słońce, że liderem jest Donald.

Hall: – PO powstała w wyniku absolutnej niemocy AWS i rozłamu w UW. Inicjatywa wyszła ze środowiska Kongresu. Olechowski i Płażyński kupili pomysł. Przyznaję, byłem początkowo entuzjastą tej inicjatywy, choć Płażyński jako pierwszy przywódca Platformy okazał się niestety marionetkowy.

Borusewicz: – W PO Tusk od początku wyraźnie się wybijał. Był najlepszym organizatorem.

Dwa miesiące później Jarosław Kaczyński powołał pierwszy, lokalny komitet Prawa i Sprawiedliwości w Białymstoku. Lokomotywą tej partii był popularny minister sprawiedliwości Lech Kaczyński.

We wrześniowych wyborach 2001 r. obie prawicowe partie nie miały jeszcze szans na zwycięstwo, Polacy byli zbyt zmęczeni czteroletnią kadencją AWS. Jednak obie nowe formacje uzyskały dobry wynik. Kaczyńscy wprowadzili do parlamentu 44 posłów, Tusk 56, co oznaczało, że PO będzie największym klubem opozycyjnym.

Jako lider Platformy Tusk był już zupełnie innym politykiem niż Tusk-senator z czasów AWS. Energiczny, celnie punktujący każdą wpadkę rządu Leszka Millera, a potem Marka Belki. Jednocześnie odpowiedzialny – w sprawie akcesji Polski do Unii Europejskiej wspierał Millera. Bardzo pomógł mu umiętny dobór współpracowników – Zyta Gilowska celnie krytyko-



PIOTR BIAWICKI / SE / EAST NEWS

22 PAŹDZIERNIKA 2007 R.

W sztabie Platformy Obywatelskiej po ogłoszeniu wyników wyborów

daże dawały przewagę Platformie, ale wielu wyborców wahało się, na którą partię zagłosować, wszak po zwycięstwie i tak miały utworzyć wspólny rząd.

Kampania, początkowo spokojna, pod koniec nabrała rumieńców. Gdański polityk PiS Jacek Kurski ujawnił, że dziadek Tuska podczas wojny służył w Wehrmachcie. Informację zaczerpnął ze... wstępu do jednego z albumów lidera PO. Informacja, że Józef Tusk zgłosił się do niemieckiej armii na ochotnika, była kłamstwem, ale wybrzmiała w przestrzeni publicznej. Sam Tusk również zaatakował PiS, wskazując na różnice programowe obu partii, czym zaskoczył Jarosława Kaczyńskiego. „Słuchając takich słów mam wrażenie, że zatraciliśmy pewne poczucie wspólnoty kulturowej, która nas łączyła z Platformą” – skomentował lider PiS.

Wybory wygrał PiS, a Tusk przegrał nawet rywalizację o fotel prezydencki z Lechem Kaczyńskim, choć w pierwszej turze miał lepszy wynik. Obie partie rozpoczęły transmitowane w telewizji rozmowy o zawiązaniu koalicji, które zakończyły się fiaskiem. Tusk nie miał zamiaru po raz kolejny występować w roli petenta, tak jak za czasów członkostwa w UW.

Teatr z montowaniem koalicji był na użytek publiczności. Z chwilą ogłoszenia wyników wyborów prezydenckich Tusk podjął decyzję, że żadnej koalicji z PiS nie będzie – mówi Hall. – I to była dobra decyzja, wykazał się dobrą intuicją.

– Po porażce w wyborach prezydenckich 2005 r. stał się już absolutnym samcem alfa w swoim środowisku – mówi Janusz Lewandowski. – Wtedy narodził się polityk skuteczny.

O sympatycznym, trochę leniwym senatorze nikt już nie wspominał. Rozpoczęła się „plemienna wojna”. Po odejściu z Platformy najpierw Zyty Gilowskiej, a potem Jana Rokity, Tuska zaczęto postrzegać jako polityka ambitnego, skutecznego, ale też bezwzględne.

Po latach Jan Rokita tak wspominał koalicyjne negocjacje z PiS: „Tusk zażądał ode mnie symulowania negocjacji. (...) Jest na pewno wyjątkową postacią polskiej polityki ze względu na to, że skuteczną intrygą polityczną i taką bezwzględną, czasem dziecinnie wyglądającą potrzebą dominacji osiągnął swoje polityczne cele”.

– Z pewnością nie jest typem drapieżnika – uważa Jacek Merkel. – A mieć pretensje do polityka, że jest ambitny, to jak mieć pretensje do orkiestry, że jest muzyczna.

Sam Tusk ujmuje to inaczej: – Porażki nauczyły mnie woli walki do ostatniego gwizdka, a kiedy trzeba – bezwzględności.

– Nawet jeśli jest w nim rys bezwzględności, który moim zdaniem szkodzi mu jako politykowi i szkodził partiom, w których był, to jest w polskiej polityce potrzebny – mówi Aleksander Hall.

PO DWÓCH LATACH RZĄDÓW PIS Platforma z wyraźną przewagą wygrała kolejne, przedterminowe wybory, a Tusk został najdłużej urzędującym premierem w historii III RP. Stał na czele rządu przez 2502 dni. © MAREK WĄS

wała politykę ministra finansów Grzegorza Kołodki, a Jan Rokita błyszczał w komisji sejmowej wyjaśniającej „afery Rywina”. Skutecznie współpracował także z PiS – już w wyborach 2001 r. obie partie wystawiły wspólną listę do Senatu, a rok później również wspólnie obie partie wygrały wybory samorządowe. Tak narodził się PO-PiS.

Faktyczne przywództwo Tuska w Platformie stało się faktem, gdy w 2003 r. partię opuścił Maciej Płażyński (Olechowski odszedł w 2009 r.).

Koalicji nie będzie

Po „aferze Rywina” stało się jasne, że SLD idzie na dno i w wyborach jesienią 2005 r. liczyć się będą dwie partie – PO i PiS. Son-

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiś,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażewska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Sylwia Frotow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczmirska (kierownik),
Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydawniczy Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozłńska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmirska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: *Post Estery*



ESTERA PRZEZ PIĘĆ LAT MIESZKAJĄC W PAŁACU nie wiedziała, co się dzieje poza dworem królewskim. Nie miała kontaktu z wujem Mordechajem. Ktoś jej powiedział, że ten chodzi w worze pokutnym. Posłała mu przez posłańca normalne ubranie. On je odesłał. Posłała więc

do niego swojego opiekuna, eunucha zwanego w przekładach komornikiem, żeby dowiedział się, dlaczego wuj nosi pokutny strój. Spotkał Mordechaja na placu przypałacowym, który zwykle służył za targ. Ten przesłał przez sługę Esterze kopię morderczego listu, jaki Haman rozesłał po całej Persji. Opowiedział o sumie srebra, która miała wpłynąć do królewskiego skarbu dzięki grabieży żydowskich majątków. Wszystko to przekazano Esterze.

Jeszcze jedno: powiedział Mordechaj, że jedyną szansą ocalenia jest prośba Estery do króla Aswerusa. Estera przeraziła się i powiedziała, że ten, kto by wszedł nieproszony do królewskiego pałacu, musi od razu zginąć. Mordechaj odparł jej: jeśli tego nie zrobisz, jeśli nie zwrócisz się do króla o pomoc, zginiesz nie tylko ty, ale cała twoja rodzina i lud twój. Estera znalazła się w dramatycznym położeniu między nakazami świata nieżydowskiego, pałacowego, a zobowiązaniami wobec własnego ludu. Poprosiła tylko, by Żydzi przez najbliższe trzy dni pościli, jak i pościć będzie ona sama oraz jej służące.

Trzeciego dnia Estera w królewskim stroju stanęła w odrzwiach pałacu. Zobaczył ją spoczywający na tronie Xerxes, wyciągnął ku niej buławę i zapytał: „Cóż ci, królowo Estero? A co za prośba twoja? Choćbyś też i o połowę królestwa prosiła, tedyć będzie dane”. Królowa dotknęła buławy i wtedy poczuła się bezpieczna. Estera zaprosiła króla i Hamana na ten sam dzień na ucztę, którą przygotowała. Spożyli ucztę, ale Estera nie ujawniła swoich planów. Odparła królowi, że jutro znowu zaprasza tylko króla i Hamana na ucztę, a wtedy wyjawia swoją prośbę. Rozeszli się goście. Haman dumny, że tylko on i władca zostali zaproszeni na przyjęcie, chwalił się swoim bliskim. Jedyne, co go oburzało, to obecność w bramie pałacu Mordechaja, który jak zwykle nie oddał mu właściwego pokłonu. Poradzili mu krewniacy, by przygotował dla tego Żyda wysoką na kilkanaście metrów szubienicę. Taką też rychło zbudowano.

Król przed zaśnięciem czytał kroniki i znów doszedł do opowieści o tym, jak Mordechaj go ocalił przed skrytobójcami. Król zapytał: „Jakież dostąpił czci i zachości Mordechaj”. Nic nie dostał, odrzekli dworzanie. O poranku na dworze zjawił się Haman. Król wezwał go do siebie i zapytał: „Co mam uczynić temu, którego król chce uczcić?”. A wtedy Haman, sądząc, że chodzi o niego, rażno zawołał: „Trzeba go ubrać w królewskie szaty, nałożyć mu koronę i niech na białym koniu prowadzony przez jednego z książąt objedzie całe miasto i niech wołają przed nim: »Tak się ma stać mężowi, którego król zechce uczcić«”. Przykra niespodzianka czekała Hamana w tej barwnej opowieści. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Spreparowani wrogowie*



OBECNIE KOŚCIÓŁ UDZIELA CHRZTU PRZEWAŻNIE dzieciom, rzadziej dorosłym. Na pytanie udzielającego, o co proszą Kościół dla swojego dziecka, rodzice odpowiadają, że o chrzest. Wtedy szafarz przypomina im o obowiązku wychowania chrzczonego tak,

„aby zachowując Boże przykazania, miłował Boga i bliźniego, jak nauczył nas Jezus Chrystus”. Czyli chrześcijańskie wychowanie zmierza ku temu, żebyśmy ludzi i Boga traktowali podobnie jak Chrystus. A to znaczy więcej niż tylko pozytywne nastawienie do rzeczywistości, które zwykle kończy się tam, gdzie zaczyna się przykazanie: „Słyszeliście, że powiedziano: Będziesz miłował swego bliźniego, a nieprzyjaciela będziesz nienawidził. A ja wam mówię: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za waszych prześladowców, byście byli synami waszego Ojca, który jest w niebie. On sprawia, że słońce wschodzi dla złych i dobrych i zsyła deszcz dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych”.

Chcąc spełnić to przykazanie, trzeba najpierw ustalić, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. Zdarza się przecież, że nasi wrogowie są tylko naszym dziełem, gdyż nigdy nie wyrządzili nam żadnej krzywdy. Sami sobie tworzymy wrogów.

Dan Ariely, pisarz, profesor psychologii i ekonomii behawioralnej na Duke University, powiedział: „Tak długo, jak ludzie wokół nas odczuwają pozytywne emocje, przyłączamy się do tej emocjonalnej imprezy i stajemy się weselsi. Ale co, jeśli ktoś obok nas cierpi? Tu też potrafimy współodczuwać, ale wtedy oznacza to negatywne emocje i smutek, które potrafią być nie do zniesienia.

Wtedy wrodzona empatia każe nam uciekać, by uniknąć tych uczuć, co podważa nasze człowieczeństwo. Jak to się dzieje? Mijamy na ulicy żebraka. Wiemy, że gdy spojrzymy mu w oczy, odezwie się w nas współczucie. Odczuwamy część jego dramatu i to skłoni nas do dania jałmużny. Co więc robimy? Bardzo staramy się patrzeć gdzie indziej, mając nadzieję, że w ten sposób uspimy w sobie tę część, którą to obchodzi i która czyni nas ludźmi.

Kluczowe pytanie brzmi: którą wersję człowieczeństwa indywidualnie i kolektywnie wybierzemy? Czy otworzymy oczy na cierpienie innych i – co za tym idzie – poczujemy potrzebę pomagania im? Czy dalej będziemy odwracać wzrok?”.

Gdybyż tylko na odwróceniu głowy się skończyło. Chcąc ocalić dobre samopoczucie, takich ludzi zaczynamy demonizować, kwitując ich niedolę krótkim: sam sobie winien! A tak spreparowanych naszych bliźnich łatwo już będzie od siebie odsunąć. Nic to nowego. Wciąż odzywa się w nas echo grzechu praojców. Jesteśmy przecież potomkami Kaina. „Bóg zapytał Kaina: Gdzie jest brat twój, Abel? On odpowiedział: Nie wiem. Czyż jestem stróżem brata mego?”. W ten sposób Kain powielił grzech rodziców. A my? Nie dziwny się, Kain jest naszym bratem. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Odnowieni

Żyj w ubóstwie
i pozwól, by inni
tobą gardzili.
Przed wszystkim
zachowaj czujność umysłu
i duchową trzeźwość.

ABBA FILEMON



Nie pozwól,
by życie cię przygniotło.

SENTENCJE DELFICKIE



Wybrał PIOTR SIKORA



ŚWIĘTA, ŚWIĘTA, I PO świętach... Wielu pyta: co po nich zostanie? Co zostało po poprzednich? Co zmieniły wszystkie te lata świętowania przyjsia Boga na świat? To nie jest pytanie retoryczne, to pytanie dyscyplinujące. I prześwietlające.

Owej dyscyplinie można się poddać medytując np. nad fragmentem Pawłowego Listu do Tytusa – czytany w czasie Bożego Narodzenia: „Kiedy ukazała się dobroć i miłość Zbawiciela naszego, Boga, do ludzi... z miłosierdzia swego zbawił nas przez obmycie odrażdżające i odnawiające w Duchu Świętym” (Tt 3, 3-5).

W tekście padają trzy pojęcia często przywoływane w kontekście świąt: dobroć, miłość do ludzi (grec. *filantropia*) i miłosierdzie. Nawołujemy się wzajemnie do tych postaw, chętnie angażujemy się w przeprowadzane w tym czasie zbiórki żywności, środków czystości czy ubrań. Wspieramy organizowane w naszych środowiskach wigilie dla ludzi bezdomnych czy samotnych. Nasza dobroć, filantropia i miłosierdzie łatwo – może wręcz spontanicznie – znajdują sposoby samorealizacji i spełnienia.

A jednak po świętach nie potrafimy ani odnaleźć w sobie tej samej inicjatywy, ani zachować pewności, że ona cokolwiek może zmienić w sposób trwały. Głodni dalej są głodni, bezdomni – nadal bezdomni. Wszystko wróciło do poprzedniego, beznadziejnego stanu. Także nasze wzajemne odniesienia – o wiele prostsze w czasie świątecznym: spontaniczne, pełne bezinteresownej życzliwości – gdzieś zanikają, i wszystko „wraca do normy”. Aż trudno nie zapytać: dlaczego?

Być może dlatego, iż nasza dobroć, filantropia i miłosierdzie zatrzymują się najczęściej jedynie na doraźnych i zewnętrznych potrzebach naszych bliźnich (jedzenie, ubranie, miejsce za stołem), a nie potrafią sięgnąć głębiej – do ich przyczyn. Co więcej, nas samych zatrzymują na sobie – karmią nasze dobre samopoczucie i satysfakcję do tego stopnia, że nie odkrywamy Dobroci, Filantropii i Miłosierdzia Boga skierowanych do nas. A One nie zadowolają się zaspokojeniem jedynie zewnętrznych i doraźnych potrzeb.

Bóg pragnie naszego odrodzenia i odnowienia. Zwłaszcza to drugie słowo warte jest medytacji – w greckim oryginale brzmi ono *anakainosis*: od *ana*, czyli „ponownie”, i *kainos* – „nowy”. Greka biblijna zna jednak dwa słowa opisujące „nowość”: *neos* – odnowiony, odmłodzony (taki sam, ale odświeżony); i *kainos* – nowy jakościowo (ten sam, ale przemieniony, doskonalszy w stosunku do poprzedniego stanu, jak np. nowe przymierze). Bóg – poprzez wydarzenie Wcielenia – chce nas nie tylko zrodzić „od nowa”. Chce nas zrodzić do innego jakościowo życia, tego, które nazywamy Życiem Wiecznym. Boga interesuje nowa jakość naszego życia – Życie, które w nas bierze się z Niego.

Jeśli więc chcemy znaleźć odpowiedź na wyjściowe pytanie o to, „co zostało po świętach”, nie rozglądajmy się wokół. Poszukajmy zmian wewnątrz samych siebie. Jeśli wydarzenia, słowa i znaki tego świątecznego czasu „urodziły nas na nowo” – dały nam zasmakować nie tyle „odnowy biologicznej”, co Zmartwychwstania, to właśnie od nas zacznie się również trwać i konsekwentna przemiana świata. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (13 – 20 I)

Niedziela, Święto Chrztu Pańskiego: Iz 40, 1-5. 9-11;
Ps 104; Tt 2, 11-14; 3, 4-7; Łk 3, 15-16. 21-22.
Poniedziałek: Hbr 1, 1-6; Ps 97; Mk 1, 14-20;
Wtorek: Hbr 2, 5-12; Ps 8; Mk 1, 21-28;
Środa: Hbr 2, 14-18; Ps 105; Mk 1, 29-39;

Czwartek: Hbr 3, 7-14; Ps 95; Mk 1, 40-45;
Piątek: Hbr 4, 1-5. 11; Ps 78; Mk 2, 1-12;
Sobota: Hbr 4, 12-16; Ps 19; Mk 2, 13-17;
2. niedziela zwykła: Iz 62, 1-5; Ps 96;
1 Kor 12, 4-11; J 2, 1-11.

GDY ŻYCIE WISI NA PASKU

Zbiórki społecznościowe na leczenie
stają się trzecim filarem finansowania opieki medycznej w Polsce.

MAŁGORZATA SOLECKA



LEKI, KTÓRYCH ROCZNY KOSZT PRZEKRACZA kilkaset tysięcy albo dwa miliony złotych. Eksperymentalne terapie onkologiczne. Leczenie komórkami macierzystymi w Chinach. Operacje kardiologiczne. Zbiórki na leczenie trwają przez cały rok i okrągłą dobę. Na miejsce jednego zrealizowanego celu pojawiają się trzy kolejne.

I Polacy chętnie otwierają portfele, zwłaszcza gdy w grę wchodzi życie małych dzieci. One mają, statystycznie, największe szanse na zgromadzenie środków.

Dwa warunki

Dr Tadeusz Jędrzejczyk, prezes Narodowego Funduszu Zdrowia w latach 2014-16, twierdzi jednak, że publiczny płatnik wcale nie oszczędza na pacjentach, którzy potrzebują zagranicznego leczenia. – Jeśli spełnione są wynikające z przepisów warunki, Fundusz płacił i płaci za leczenie, niejednokrotnie bardzo drogie – podkre-

śla. Warunek pierwszy: problemu zdrowotnego nie da się rozwiązać w Polsce, bo żaden krajowy szpital nie może zaproponować pacjentowi terapii. Warunek drugi: za granicą jest dostępne leczenie o udowodnionej skuteczności. To z góry eliminuje wszystkie terapie eksperymentalne. Dlatego np. Narodowy Fundusz Zdrowia w 2015 r. nie może zapłacić za leczenie w Stanach Zjednoczonych, w uznanej i renomowanej klinice w Minnesocie, Zuzi Machety, siedmiolatki cierpiącej na EB (pęcherzowe oddzielanie się naskórka). Przypadek dziewczynki nagłaśniają media i ogromna mobilizacja darczyńców sprawia, że zielony pasek na portalu siepomaga.pl, największej platformie crowdfundingowej w Polsce, zapełnia się w niespełna miesiąc od założenia zbiórki. Pasek wart sześć milionów złotych.

A potem dzieje się jeszcze większy cud, bo kolejne dziecko z EB – dwuletni Kajtek – jeszcze większą sumę zbiera w kilka dni.

Zdecydowanie większą liczbę potencjalnych beneficjentów od możliwości starania się o sfinansowanie kosztów leczenia odcina warunek pierwszy. Bo w lwiej części przypadków leczenie w Polsce jest możliwe, a zakres dostępnych świadczeń – coraz szerszy.

Przykład? Leczenie siatkówczaka, nowotworu gałki ocznej, atakującego dzieci. Jeszcze dziesięć lat temu w Polsce dostępne były jedynie konwencjonalne metody leczenia – ogólna chemioterapia, radioterapia, w ostateczności – amputacja gałki ocznej. Tymczasem w Wielkiej Brytanii czy USA lekarze podawali chemię przez tętnicę udową wprost do guza, osiągając dobre i bardzo dobre rezultaty. Od kilku lat ta metoda stosowana jest również w Polsce, w Centrum Zdrowia Dziecka. Mimo to część rodziców nadal wybiera leczenie w USA, na które musi zebrać gigantyczne pieniądze – nawet ponad milion złotych. Rodzice najczęściej tłumaczą, że w USA lekarze mają większe doświadczenie w podawaniu leku. W 2016 r. specjaliści z CZD publicznie pytają o zasadność zbierania setek tysięcy złotych na terapię dostępną w Polsce.

Sens zbiórek na leczenie kardiologiczne, przede wszystkim w niemieckiej klinice, którą kieruje prof. Edward Malec, światowej sławy kardiolog z Polski,

zakwestionował dziesięć lat temu Jerzy Owsiak. Szef Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, która w najbliższą niedzielę, 13 stycznia, zagra już po raz 27., w opublikowanym jesienią 2008 r. liście otwartym do polskich kardiologów dziecięcych przypominał m.in., że oddziały kardiologiczne były jednymi z pierwszych i najważniejszych beneficjentów styczniowych zbiórek, że fundacja spełniała wszystkie życzenia lekarzy, wyposażając ich w najlepszy sprzęt. – Czyżby przeszła wam ochota do pracy? – pytał prowokacyjnie.

Kardiologowie pospieszyli z odpowiedzią, również w formie listu otwartego, wyliczając problemy kardiologii dziecięcej, przede wszystkim niskie finansowanie świadczeń.

Sens tej wymiany korespondencji między ludźmi współpracującymi ze sobą na co dzień (pod listem kardiologów podpisany był prof. Bohdan Maruszewski, wiceprezes zarządu Fundacji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy) był oczywisty: zwrócenie uwagi na problemy, z jakimi boryka się kardiologia dziecięca, które wydłużały i wydłużają terminy operacji i które sprawiają, że część rodziców jedyny ratunek widzi w zagranicznych klinikach. Ciągłe, mimo że regularnie i kardiologowie, i duża część polityków – w ostatnich latach m.in. Jarosław Pinkas, jeszcze jako wiceminister zdrowia – zarzucają zagranicznym ośrodkom uprawianie w Polsce akwizycji medycznej, w dodatku nieczytelnymi metodami, podważającymi kompetencje polskich specjalistów.

Tymczasem operacji na sercu, których w Polsce się nie wykonuje, jest naprawdę niewiele. To najcięższe wady, których operowania podejmuje się w zasadzie jedynie szpital w Stanford. Koszty – zawrotne, sięgające 7 milionów złotych. Polscy kardiologowie nieraz przekonywali, że gdyby znalazły się porównywalne pieniądze na takie leczenie w Polsce, umiejętności na pewno by im nie zabrakło. Problemem nie są jednak pojedyncze, ekstremalnie drogie operacje w amerykańskiej klinice, lecz w sumie rutynowe – co można osądzić choćby po kosztorysach – operacje wykonywane za naszą zachodnią granicą.

Kompetencje miękkie

Agnieszka Nowik z zarządu Fundacji Siepomaga tłumaczy, że powodów, dla których rodzice dzieci z chorobami serca walczą o leczenie u prof. Malca, jest zapewne tyle, ile chorych dzieci. – Część z nich →



ADAM STĄSKIEWICZ / EAST NEWS

Bieg charytatywny Franek Run dla chłopca chorego na artężję dróg żółciowych. Łask, październik 2016 r.

→ na pewno przerażają odległe terminy operacji wyznaczane przez polskich specjalistów. Nawet jeśli słyszą zapewnienie, że termin jest wyznaczony w bezpiecznym przedziale czasu. Część rodziców podkreśla, że w Niemczech zapewnione są lepsze warunki. Na przykład, że można być z dzieckiem do samego końca, odprowadzić je na operację, wręcz do momentu znieczulenia. Dla niektórych kluczowe znaczenie ma ogromna liczba operacji wykonanych przez profesora – wylicza.

Nie bez znaczenia jest też to, że polskim lekarzom bardzo często brakuje czasu na spokojną rozmowę z pacjentem czy jego rodzicami. Na rozwianie wątpliwości, udzielenie odpowiedzi na pytania, serdeczność i empatię. Ten problem wychodzi we wszystkich konsumenckich rankingach systemów ochrony zdrowia: pod względem umiejętności komunikacji czy też modnego w ostatnich latach określenia „kompetencji miękkich” polscy lekarze znajdują się w ogonie krajów rozwiniętych. Przynajmniej dopóki pracują w Polsce. Takich kompetencji nie brakuje na pewno prof. Malcowi, którego rodzice pacjentów – również tych, w przypadku których nie odniósł, oględnie mówiąc, sukcesu terapeutycznego – nie tylko szanują, ale wręcz stawiają na piedestale i obdarzają bezgranicznym zaufaniem.

Ziemia obiecana

Problem w tym, że rodzice wielu innych chorych dzieci potrafią zaufać ludziom, o których dorobku i osiągnięciach nie wiedzą nic.

Martynka ma sześć lat i DIGP. Rozlany glejak pnia mózgu. Jej rówieśniczka Sara – wielopostaciowy glejak w IV stopniu złośliwości. 23-letnia Justyna – złośliwy guz mózgu (pineoblastoma). Łączy je nowotwór i diagnoza: nic nie można zrobić. Zostało pół roku życia. Osiem miesięcy. Może rok.

Diagnoza postawiona w polskim szpitalu, powtórzona w klinikach brytyjskich, niemieckich, włoskich. Nic nie można zrobić.

I jeszcze – nadzieja w cud w Monterrey. To ośrodek w Meksyku, gdzie lekarze stosują nowatorskie metody leczenia. Niedostępne ani w Europie, ani w Stanach Zjednoczonych. Rodzicom dzieci, które usłyszały już wyrok śmierci, Monterrey jawi się niczym ziemia obiecana.

Tyło dojść do niej trzeba nie w 40 lat, ale w kilka tygodni, może w dwa, góra

trzy miesiące. Tyle czasu jest na pokonanie wszystkich przeciwności. W zasadzie jednej. Czwierć, pół miliona złotych.

Co oferuje niewielki szpital w Meksyku, czego nie dają pacjentom najbardziej renomowane kliniki w najbardziej rozwiniętych krajach świata? Z jakiego powodu pacjentowi, nie tylko z Polski, pokonują tysiące kilometrów?

Rodzice Martynki zbierają pieniądze na portalu siepomaga.pl. – Ta klinika specjalizuje się w leczeniu guzów DIPG poprzez podawanie kombinacji chemioterapii bezpośrednio do tętnicy zasilającej guza oraz złożonej immunoterapii, która stymuluje organizm do zwalczania komórek nowotworowych – tłumaczą w opisie zbiórki.

Na portalu można znaleźć też kilkanaście innych zbiorów na leczenie w Meksyku. Również Sary i Justyny. 23-latką wiosną 2018 r. uzbierała już pół miliona złotych na ten cel. Guz jednak wrócił. Teraz, do początku lutego, potrzebnych jest kolejne 950 tysięcy złotych.

Działalność kliniki budzi kontrowersje. Z jednej strony leki, które otrzymują pacjenci, mają akceptację FDA (Food and Drug Administration), amerykańskiej instytucji dopuszczającej leki na rynek. Z drugiej – pacjenci dostają je w autorskich mieszkankach, których skład (łącznie z dawkowaniem) pozostaje tajemnicą ośrodka. Nie wiadomo, z czego składa się mieszanina chemioterapeutyków, jak są między nimi dobrane proporcje, jak ustalone są dawki.

Działalność kliniki wziął pod lupę prowadzony przez amerykańskich lekarzy i naukowców blog Science-Based Medicine. Dr David Gorski, który tematowi Instituto de Oncología Intervencionista (IDOI) poświęcił trzy długie artykuły, nie ma wątpliwości: ośrodek żeruje nie tyle na naiwności, ile na bezbrzeżnej miłości rodziców, która każe zrobić wszystko, co daje nadzieję na ratunek. Wszystko. Sprzedać dom, zaciągnąć potężny kredyt, błagać o pomoc obcych ludzi na portalu crowdfundingowym. Wyrazić zgodę, by do żył dziecka tłoczono nieprzebadaną mieszaninę leków, której wysoka toksyczność – choćby przez interakcje zachodzące między nimi – zdaniem lekarzy nie podlega dyskusji.

Dr Gorski zdecydowanie sprzeciwia się nazywaniu terapii stosowanej w Monterrey eksperymentalną czy innowacyjną. Terapie eksperymentalne, przypomina, prowadzi się pod pełną kontrolą, dokumen-

tując, opisując i publikując wyniki badań. Ośrodek w Meksyku tego nie robi, a tamtejsi lekarze tłumaczą, że są zbyt zajęci ratowaniem ludzkiego życia, by myśleć o dokumentowaniu postępów w badaniach.

– To są dzieci, którym nikt nie daje już szansy – przypomina Agnieszka Nowik z Fundacji Siepomaga. Wśród rodziców, którzy rozważali wyjazd do Meksyku, byli również lekarze, choć ostatecznie do wyjazdu nie doszło. Bo w tak ekstremalnej sytuacji część rodziców jest gotowa dośłownie na wszystko. To „wszystko” każdy rozumie po swojemu. Część nie chce pomnażać dziecku cierpień. – Są rodzice, którzy po sprawdzeniu oferty ośrodka rezygnują – przyznaje Nowik. Część rodziców mobilizuje wszystkie siły do dalszej walki. – Są tacy, którzy po każdym cyklu chemii piszą do nas, że dziecko miało już nie żyć, a żyje. Że jest lepiej.

#bojęsięciemności

W końcu wszystko jest w rękach darczyńców. Jeśli cel zbiórki ich przekonuje, dlaczego dziecko czy dorosły chory nie miałby dostać swojej szansy?

Zwłaszcza że – jak podkreśla przedstawicielka fundacji – darczyńcom o wiele łatwiej jest zaangażować się w pomoc konkretnym ludziom. – Organizowaliśmy też zbiórki na zakup sprzętu do szpitali. Nie szły one dobrze – przyznaje. Zresztą w tej chwili też na portalu trwa zbiórka „infrastrukturalna” – na dokończenie budowy i wyposażenie hospicjum w Poznaniu. Z docelowej kwoty ponad 2,6 mln zł przez blisko miesiąc zebrano niespełna 35 tysięcy złotych. Zbiórka ma trwać jeszcze dwa miesiące.

Dr Tadeusz Jędrzejczyk uważa, że wiele zbiorów charytatywnych, choć angażuje ogromne i pozytywne społeczne emocje, po prostu się nie sprawdza. Leczenie jest drogie, ale często nie przynosi efektu. To efektywne zaś zwykle można byłoby wykonać taniej. Dotyczy to, jak podkreśla, powołując się na naukowe publikacje ze Stanów Zjednoczonych, nie tylko Polski. Problemem jest też brak merytorycznej weryfikacji celów zbiorów, które nie podlegają – podkreśla biuro prasowe Ministerstwa Zdrowia – kontroli ze strony resortu.

Fundacja Siepomaga, która przez portal crowdfundingowy zebrała już (stan na pierwsze dni stycznia 2019 r.) około 350 mln zł, ma w porównaniu z innymi fundacjami, a zwłaszcza portalami, wyśrubowane standardy dotyczące zbiorów.

Każda musi być zweryfikowana, i to podwójnie. Zbiórek na leczenie na portalu nie zakładają osoby fizyczne, ale opiekujące się chorymi organizacje, przede wszystkim fundacje. To pierwszy etap, bo żeby założyć konto w fundacji, trzeba dostarczyć obszerną dokumentację medyczną. Drugi etap to dokumentacja dotycząca samej zbiórki, w której musi się znaleźć m.in. kosztorys leczenia. Tylko w uzasadnionych przypadkach, gdy np. leczenie się przedłuża, konieczne są dodatkowe zabiegi czy sprzęt, można zwiększyć kwotę zbiórki, nie jest to jednak częste.

Takie procedury dają pewność, że pieniądze trafiają do naprawdy potrzebujących pomocy. Nawet jeśli opis zbiórki może budzić pewne zastrzeżenia. Jak, w ostatnich tygodniach, zbiórka na lek dla chorego na rdzeniowy zanik mięśni (SMA) rodzeństwa, Bartka i Weroniki. Już po zakończonej zbiórce (ponad 4,5 mln zł na roczną terapię) rodzice innych dzieci chorujących na najcięższą postać tej choroby, SMA1, zwrócili uwagę, że rodzeństwo raczej nie może mieć właśnie tego typu rdzeniowego zaniku mięśni, skoro w samym opisie zbiórki można przeczytać, że dziewczynka chodziła do 3. roku życia, tymczasem SMA1 atakuje dzieci w pierwszych tygodniach bądź miesiącach życia (najczęściej do 6. miesiąca). Dzieci z tym typem zaniku mięśni wczesnie tracą podstawowe umiejętności ruchowe, nie ma mowy np. o samodzielnym siedzeniu. Opis zbiórki jest jednak zgodny z wystawioną przez ośrodek w Lublinie dokumentacją medyczną. Fundacja nie ma przecież podstaw, by kwestionować kompetencje lekarzy.

Procedury bezpieczeństwa chronią za to coraz lepiej przed oszustwami. Choćby takimi, jakiego ofiarą dwa lata temu padli m.in. Anna i Robert Lewandowscy, którzy przekazali 100 tysięcy złotych na leczenie Antosia. W zbiórkę prowadzoną na portalu crowdfundingowym, gdzie pieniądze można zbierać na wszystko, od biletu na wymarzoną podróż po wydanie książki, na rzecz chorego na siatkówczaka trzylatka zaangażowało się wtedy wielu celebrytów. Akcja #bojęsięciemności biła rekordy popularności, ale okazała się próbą wyłudzenia. Wrocławski sąd w marcu 2018 r. skazał oszusta na sześć lat więzienia. Na szczęście afera nie zaszkodziła samej idei społecznościowego finansowania kosztownych terapii medycznych.

Ten pacjent wciąż ma się dobrze.

© MAŁGORZATA SOLECKA



JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA GAZETA

Akcja charytatywna na rzecz chorej na nowotwór złośliwy Marysi. Częścią akcji była zbiórka ubrań, które następnie zostały wystawione na sprzedaż. Lublin, październik 2018 r.

Kogoś trzeba wybrać

SIOSTRA BARBARA CHYROWICZ, ETYK:

Kiedy nie mogą pomóc wszystkim, pomagam jednemu z wielu potrzebujących, nikogo przez to nie krzywdzę.

MACIEJ MÜLLER: Na ile państwo jest zobowiązane do leczenia swoich obywateli?

S. BARBARA CHYROWICZ: Skoro składka na ubezpieczenie zdrowotne jest obowiązkowa, zrozumiałe jest, że zobowiązujące do jej płacenia państwo bierze na siebie ciężar opieki nad obywatelami. Składka ma charakter solidarnościowy: ci, którzy mają szczęście być zdrowi, składają się na leczenie chorych; jedni korzystają ustawicznie ze zgromadzonych w systemie pieniędzy, inni sporadycznie. Problem finansowania opieki zdrowotnej nie kończy się jednak na oczywistym obowiązku państwa – znacznie trudniejsza kwestia to rosnące wraz z postępem technologii koszty leczenia. Pytanie, czy państwo jest zobowiązane do refinansowania nowoczesnych, wymagających olbrzymich nakładów terapii w takim samym stopniu, w jakim ma obowiązek zapewnić podstawowe leczenie. Zważywszy na ich koszty, wydaje się to niemożliwe.

Prezes GUS co kilka lat ogłasza wskaźnik QALY: próg kosztu uzyskania dodatkowego roku życia skorygowanego o jakość. To trzykrotność PKB per capita, obecnie ok. 126 tys. zł. Ten wskaźnik jest istotny przy ocenie tzw. efektywności kosztowej leczenia. Można by powiedzieć: nasze życie da się wycenić w złotych.

Życie czy przeżycie, względnie utrzymanie w dobrej kondycji? Uznanie kosztów leczenia za ekwiwalent wartości życia to jednak nieuprawniony skrót myślowy. Może być przecież i tak, że z niezależnych od nas powodów nie będziemy w stanie zapewnić bliskim nawet podstawowej opieki zdrowotnej. Czy z tego wynika, że ich życie jest dla nas mało warte? Powstały ze składek ubezpieczonych fundusz winien być w sprawiedliwy sposób rozdzielany potrzebującym, którzy zgodnie z konstytucją mają równy dostęp do świadczeń. Równy znaczy niezależny od statusu ➔

→ społecznego, płci czy wieku – gdyby te moralnie nerelevantne cechy były podstawą przyznawania świadczeń, wtedy mielibyśmy do czynienia z nieuprawnionym wartościowaniem życia. Zauważmy, że przekraczające możliwości funduszu koszty leczenia stawiają nas przed murem, którego nie potrafimy przeskoczyć – z tego nie wynika, że życie ludzi, których z braku środków nie możemy uratować, jest mało warte.

Rodzice, których dziecku odmówiono leczenia, nie przyjmą racjonalnych, ekonomicznych argumentów.

Życie osób, z którymi jesteśmy silnie związani, jest dla nas w sposób naturalny bezcenne. Rodzice są gotowi poświęcić wszystko dla uratowania dziecka, nic dziwnego, że oczekują, iż instytucje świadczące usługi medyczne nie będą stawiały barier finansowych. Trudno się spodziewać, by przekonały ich skomplikowane symulacje kosztowe uwzględniające w systemie wszystkich pacjentów.

Urzędnik NFZ musi nieraz podpisać dokument: odmowa leczenia. Rodzice wrzucają potem skany takiego pisma do internetu, a inni komentują: jakim trzeba być człowiekiem, by podjąć tak nieludzką decyzję. Czy odmowa leczenia może być moralnie usprawiedliwiona?

Zakładam, że urzędnik, zanim podpisał odmowę, wykorzystał wszelkie możliwości kalkulacji, przesuwania środków i doszedł do wniosku, że pieniędzy nie ma. Odmowa jest dramatyczna, ale tutaj nie chodzi o prywatną ofiarność urzędnika, tylko o budżet państwa. Skoro w budżecie brak środków na leczenie, nie widzę powodów, by oskarżać urzędnika. Pytanie o jego decyzję jest, rzecz jasna, poprzedzone pytaniem o sprawiedliwość systemu, ale ten może nie mieć żadnego wpływu na przyjęte zasady podziału środków, a te winny uwzględniać dobro wszystkich. Ze zrozumiałych względów reagujemy oburzeniem na brak środków na leczenie dzieci, ale w budżecie muszą się też znaleźć środki na leczenie seniorów. Czy ich potrzeby są mniej ważne?

Trzeba wyraźnie odróżnić nieuzasadnioną odmowę leczenia (motywowaną np. przyjęciem niesprawiedliwych kryteriów jakości życia) od sytuacji, w której odmowa wynika z braku środków. Jeśli nie da się ich rozdzielić w taki sposób, by

S. BARBARA CHYROWICZ:

Byłoby fatalnie, gdyby ludzie decydujący o państwowych funduszach na leczenie wkalkulowywali w swoje algorytmy dzielenia środków taki czynnik jak ofiarność darczyńców.

zapewnić leczenie wszystkim potrzebuującym, komuś trzeba odmówić. Dla bliskich chorej osoby będzie to zawsze dramat, szczególnie wtedy, kiedy jej wyleczenie było możliwe.

Rodzic robi wszystko, żeby dziecko ratować. Próbuje więc zebrać środki na własną rękę, czyli zwrócić się do społeczeństwa.

To zrozumiałe, byłoby jednak fatalnie, gdyby decydenci o podziale państwowych funduszy wkalkulowywali w algorytmy dzielenia środków ofiarność darczyńców.

Prośby o finansowe wsparcie leczenia pojawiają się nieustannie w mediach i internecie. Zazwyczaj spotykają się z bardzo pozytywnym odzewem: raz po raz się dowiadujemy, że ktoś zebrał nawet kilka milionów na sfinansowanie kosztownych operacji. Uczestnicząc w takich zbiórkach, dajemy wyraz naszej solidarności, mamy okazję do zrobienia czegoś dobrego. Nie wiele nas to kosztuje – wysyłając jednego esemesa lub przelewając niewielką kwotę na podane konto nie odczuwamy specjalnego odpływu gotówki – jeśli będzie nas wiele, uratujemy czyjeś zdrowie lub życie.

Tylko komu dać? Opisy szokują albo łamią serce, łatwo o zniechęcenie i ucieczkę. A jeśli pomogę temu, to pozostawię bez pomocy drugiego. Diabelska alternatywa.

Odpowiedź na to pytanie jest w istocie dwustopniowa: najpierw odpowiadamy, czy powinniśmy wspierać zbierających, jeśli odpowiedź jest pozytywna, zastanawiamy się, kogo wspierać. Istnieje w społeczeństwie grupa, która nigdy nie reaguje na podobne prośby, uznając, że leczenie to zadanie państwa, a skoro państwo go nie zapewnia, to liczenie na ofiarność drugich jest nadużyciem.

Nie jest. Wrażliwość na potrzeby drugich jest miernikiem naszego człowieczeństwa; pamiętajmy, że nie chodzi tutaj o zapewnienie komuś luksusowych dóbr, chodzi o pomoc w odzyskaniu zdrowia i uratowaniu życia. To nie jest pomoc, która zakrawa na heroizm: udział w zbiórkach nie wymaga od nas nadzwyczajnego poświęcenia. Odpowiedzialność za wspieranie drugich jest proporcjonalna do naszego powodzenia: od kogoś, kto ledwo wiąże koniec z końcem, nie oczekujemy takiej ofiarności, jak od kogoś, kto sam nie wie, na co wydać zgromadzone pieniądze. Inna sprawa, że ci, którzy sami niewiele mają, bywają znacznie bardziej wrażliwi na potrzeby drugich – jak wdowa wrzucająca do skarbony ostatni grosz. W chrześcijańskiej doktrynie moralnej powołujemy się tutaj na uczynki miłosierdzia co do ciała.

Inaczej na Sądzie Ostatecznym ktoś mógłby usłyszeć: zbierałem na operację, a nie wsparłem Mnie?

Byłem w potrzebie, a nie dałeś, miałeś oczy zamknięte na potrzeby drugich. Chrystus gani tych po lewej stronie nie za to, co zrobili, ale za to, czego nie zrobili. A nam popełnienie kradzieży wydaje się gorsze niż zignorowanie czyjejś prośby. Tymczasem zaniechanie, ignorowanie potrzeb drugich, którym mogliśmy bez trudu zaradzić, jest niekwestionowaną winą.

A jeśli już zdecydujemy, żeby dać, to komu?

Nie jesteśmy w stanie pomóc wszystkim i nie o to chodzi, żeby reagować na każdy apel. Jeśli nasze środki są ograniczone, zrozumiałe jest, że nasze wsparcie będzie ograniczone do jednej czy drugiej akcji, zapewne tej, która bardziej nas ujmie. Kolejna prośba o wsparcie przemówi zapewne bardziej do kogoś innego, a że jest nas kilkadziesiąt milionów, to mamy szansę odpowiedzieć pozytywnie na wiele dramatycznych apeli. Kogoś trzeba wybrać – wybór jednych nie jest tutaj odrzuceniem drugich, wynika przecież z ograniczonych możliwości. Dramatyczna sytuacja kogoś, komu potrzebne jest kilka milionów złotych na operację, nie jest przez nikogo zawiniona. Kiedy nie mogą pomóc wszystkim, pomagam jednemu z wielu potrzebujących, nikogo przez to nie krzywdzę. To choroba jest źródłem nieszczęścia, a nie ograniczony w możliwościach pomagania darczyńca.

Czasem ktoś, kto wpłaci, dowiaduje się, że zbiórka nie była do końca uczciwa. Pozostawmy na boku ewidentne oszustwa – chodzi np. o podkręcanie opisu choroby. Niektórzy zbierający mówią, że są gotowi – z czystej miłości – do każdego makiawelizmu.

Organizatorzy akcji pomocowych doskonale wiedzą, jak silnie przemawia do nas obraz. Odpowiednio sugestywnie pokazane cierpienie wpływa istotnie na naszą ofiarność. Chore dziecko, którego zdjęcie lub historię zobaczyliśmy, staje się nam bliskie. Do opisu wielu zbiorów dodana jest informacja, że są one „zweryfikowane”. Pytanie, kto i na ile starannie przeprowadza taką weryfikację. Łączy się z tym ogromna odpowiedzialność, bo jeśli jakakolwiek nieuczciwość czy nieprawidłowość wyjdzie na jaw, kolejne zbiórki mogą się cieszyć znacznie mniejszym powodzeniem. Ci, którzy poczują się oszukani, mogą w przyszłości zrezygnować z brania w nich udziału.

Trudno oczekiwać od zrozpaczonych rodziców, że będą zawsze potrafili chłodno i z dystansem podejść do oceny stanu zdrowia swoich dzieci, zapewne będą mieli tendencję do wyolbrzymiania ich dramatu. To od lekarza oczekujemy rzeczowej oceny kondycji dziecka i szans na jego wyleczenie. Organizacje pomocowe, które nie będą dbały o staranne zweryfikowanie informacji dołączonych do prośby o wsparcie, nie mają szans na dłuższą działalność. Wykazanie oszustwa jest utratą wiarygodności, a darczyńcy chcą mieć gwarancję, że ich pieniądze są dobrze wykorzystywane.

Tylko że jest tu pewien konflikt interesów: fundacje zatrzymują kilka procent zbieranych kwot. Łatwo o pokusę: im więcej zbiorów, tym więcej prowizji. Pojawiały się informacje o takich nieprawidłowościach, jak podwyższanie przez jedną z fundacji limitu zbiórki, kiedy kwota



IWONA BURDZANOWSKA DLA „TP”

S. BARBARA CHYROWICZ jest etykiem i profesorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie kieruje Katedrą Etyki Szczegółowej. Należy do Zgromadzenia Misyjnego Służebnic Ducha Świętego.

została już zgromadzona – wbrew woli rodziców.

Niestety, ludzie nawet najbardziej zbożną działalność potrafią wykorzystać dla własnych interesów. Być może tego typu organizacje powinny w większym stopniu działać na zasadzie non-profit, bo wpłacający nie dają na organizację, tylko na konkretną potrzebę. Zazwyczaj nie interesujemy się statutem organizacji, zakładamy, że wpłacone 50 zł zostaną w całości przeznaczone na leczenie wybranego dziecka. Zapewne gdyby przy każdej historii pacjenta umieścić informację, jaki odsetek wpłaconych kwot służyć będzie innym celom, zbiórki cieszyłyby się mniejszą popularnością. Jeśli niewielki procent wpłacanych kwot przeznaczony jest na obsługę serwerów, kont itp., to jeszcze można popatrzeć na to ze zrozumieniem. Problem pojawia się wtedy, gdy ta kwota przekracza potrzeby organizacyjne, a organizacja zaczyna się bogacić na zbiorach. To zrozumiałe, że fundacjom potrzebne są środki na prowadzenie działalności, pytanie, czy państwo, którego nie stać na za-

pewnienie opieki wszystkim potrzebującym, nie powinno wspomagać tych organizacji na tyle, by mogły działać non-profit?

Są też zbiórki, które wydają się obiektywnie nieusprawiedliwione. Na operację, która mogłaby się odbyć w Prokocimiu, ale rodzice obstają przy Szwajcarii. Na pseudonaukowe biorezonanse albo eksperymentalne terapie w Meksyku czy Chinach.

Ludzie na ogół nie będą dociekali, czy zbiórka jest potrzebna, tylko przeczytają opis, i jeśli wyda im się odpowiednio sugestywny – wpłacą. Ich działanie nosi znamiona moralnej dobroci bez względu na to, czy terapia, którą wsparli, była medycznie usprawiedliwiona. Odpowiedzialność za tego typu sytuacje ponoszą ci, którzy w nieobiektywny czy może wręcz fałszywy sposób przekazali informacje. Nie jest wykluczone, że sami rodzice zostali wprowadzeni w błąd przez kogoś, komu zależało np. na udziale pacjentów w eksperymentalnej terapii.

Wszystkim pomóc nie możemy, tym bardziej więc boli, jeśli okaże się, że nasze pieniądze nie trafiły do potrzebujących, tylko do hochsztaplerów. Oszuści działający w tych rejonach są szczególnie odrażający, bo żerują na nieszczęściu jednych i wrażliwości drugih. Oszukany będzie w przyszłości mniej chętny do pomocy: w ten sposób sami stajemy się ofiarami własnej nieuczciwości.

Czym lepiej zgrzeszyć: naiwnością czy brakiem ofiarności?

Zdecydowanie naiwnością. Ktoś, kto nas oszukał, ponosi za to moralną odpowiedzialność. Ale jeśli nie pomogliśmy komuś, kto rzeczywiście potrzebował pomocy, bo obawialiśmy się oszustwa – to odpowiedzialność należy do nas. Lepiej, żeby cię dziewięciu oszukało, niż gdybyś miał nie dać jednemu, który naprawdę jest w potrzebie.

©© Rozmawiał MACIEJ MÜLLER



Melina live

KRZYSZTOF STORY

D. bije matkę. Ostatnio złamał nogę, więc bije ją po głowie kulą ortopedyczną. Często potem z nią pije. I z kilkoma tysiącami obcych ludzi, bo wszystko idzie na żywo. To nowa polska specjalność na YouTube.

Z TYŁU, POD ŚCIANĄ, WIDĄĆ TYLKO CZĘŚĆ materaca i skrawek kołdry. Resztę przesłania niebieskie krzesło obrotowe stojące przed komputerem.

Widać jeszcze wąską szafę ze sklejk. Boki w kolorze drewna wiśni, front – beżowy. Mały pokój oświetla jedynie ekran monitora.

Słychać huk. Potem drugi. Drzwi poddają się po trzecim. Z lewej strony do pokoju wpada żółte światło oraz chłopak w białej bluzie. Ma krótkie włosy, pewnie dwadzieścia kilka lat. Na jego widok kołdra nagle się porusza. Słyszymy głos dziewczyny.

Chłopak podbiega do materaca. Widzimy, jak uderza w miejsce, gdzie powinna leżeć dziewczyna. Raz, drugi. W wolnej ręce trzyma papierosa. Zaczyna wyzywać, pluje w jej stronę. Grozi policją. Za to, że zamknęła mu drzwi do pokoju, nazywa „chorą psychopatką”. Scenę ciężko nawet cytować. Przez 30 sekund padają 22 przekleństwa. Dziewczyny nie widzimy. Niebieskie krzesło cały czas znajduje się między nią a obiektywem kamerki internetowej. Bo przecież scenę oglądamy na żywo w internecie.

Licznik subskrypcji jest u góry ekranu. Niedawno przekroczył 60 tysięcy.

Patologia plus streaming

Podobne transmisje zaczęły pojawiać się w polskim internecie już kilka lat temu. Jednak dopiero niedawno stały się zjawiskiem masowym. Zyskały tak dużą popularność, że musieliśmy stworzyć język, by jakoś je opisać. Tak powstało określenie „patostreamy”.

– To coraz popularniejsza, bardzo niebezpieczna forma wyrazu w sieci – mówi Natalia Mileszyk z Centrum Cyfrowego, organizacji pozarządowej zajmującej się zmianami społecznymi i kulturowymi zachodzącymi w społeczeństwie pod wpływem technologii cyfrowych. – Polega wyłącznie na epatowaniu patologicznymi, często brutalnymi treściami. Nazwa powstała z połączenia dwóch słów.

Słowo pierwsze to „patologia”. Na nagraniach zobaczymy libacje, wyzwiska, przemoc domową, pobicia przypadkowych osób. Jeden patostreamer pokazał, jak niszczy zaparkowane na ulicy samochody. Inny, jak bije partnerkę, a ona rozbija mu butelkę wódki na głowie. Swoje transmisje najczęściej nagrywają we własnych mieszkaniach. Prawie zawsze prowadzą je pod wpływem alkoholu lub narkotyków. Wtedy wychodzą najlepsze „dymy”.

Słowo drugie to „stream”. Wszystko jest publikowane na żywo w internecie. Transmisje najczęściej trafiają na YouTube’a, choć niektórzy wykorzystują inne, mniej znane platformy. Informacja o początku nowego *show* zwykle podawana jest na Facebooku. Mimo że przekaz dostępny jest tylko o wyznaczonej godzinie, patostreamy oglądają dziesiątki tysięcy ludzi. Kopie i najlepsze momenty filmików (zwane „shotami”) wracają do sieci. I często mają ponad pół miliona wyświetleń.

Fan trzyma władzę

Krzysztof „Grabaz” Grabowski w jednej z piosenek śpiewa tak: „Dnia ósmego w Piśmie stanie tak zaiste – Pan Bóg stworzył fana, fan stworzył artystę”. I ma rację – bez popytu nie byłoby podaży. Bez tysięcy widzów nie byłoby efektu wiralu. Bez naszych udostępnień, kliknięć i lajków podobne transmisje nigdy nie wyszłyby z „odmętów internetu”. Patostreamy stworzyliśmy sami.

Dlaczego tak chętnie oglądamy patologię na żywo? Psychologowie mówią o naszej wrodzonej skłonności do podglądactwa starszej niż internet. Popularność patostreamów porównują do popularności publicznych egzekucji czy walk gladiatorów.

– Chyba o to chodzi. Żeby przesuwąć granicę, żeby co chwilę pójść kawałek dalej. Żeby dać się zaszokować – mówi Paweł. Ma 26 lat, jest programistą, w internecie spędził pół życia. Patostreamów nie śledzi, ale zna. – Szukamy coraz mocniej-

szych wrażeń, a sieć nam ich dostarcza, łatwo, szybko, bezpiecznie. Od tej meliny z transmisji oddziela nas przecież ekran. Oglądamy, jak ktoś bije pijaną dziewczynę, jak opluwa własną matkę, i niczym nie ryzykujemy. Nas nikt nie uderzy. My siedzimy wygodnie w fotelu. I nie możemy oderwać wzroku.

Fani w piosence „Grabaza” mówią tak: „My jesteśmy tutaj w przewodzie, zawsze gramy u siebie. My trzymamy tu władzę!”. Uwielbiamy nie tylko podglądać – uwielbiamy mieć wpływ. Identyfikować się, komentować, wchodzić w interakcję. Wiadło to także w patologicznych streamach. Samo wideo (kieskiej jakości) zazwyczaj zajmuje tylko część obrazu. Z prawej strony najczęściej zobaczymy czat na żywo. Fani na bieżąco komentują wy czyny autorów. Ostro, bezpośrednio, najczęściej wulgarnie. Obok sceny z początku tego tekstu użytkownik @VeNPL napisał: „Ten duecik sprawia, że mam zajebisty dzień”.

Komentarze i subskrypcje to nie jedyna forma wsparcia dla autorów. Niektórzy za „zajebisty dzień” są gotowi sporo zapłacić.

Dym za pieniądze

Dziewczyna siedzi przed komputerem. Blond włosy, długa grzywka. Z łóżka za nią podnosi się chłopak. Podchodzi do niej, zaczyna szarpać. Ściąga z fotela, uderza pięścią w twarz. Mocno. W rogu ekranu pasek z aktualnym stanem zbiórki pieniędzy. Autorzy streamów nie utrzymują się z reklam na YouTube. Ich głównym źródłem dochodu są bezpośrednie wpłaty od fanów (przechodzące przez zewnętrzne platformy), czyli tzw. donejty. A wiadomo – im większy dym, tym większe donejty. *I vice versa*, bo sprzężenie zwrotne działa tu bardzo dobrze. Youtuber mówi: „dacie dwieście, a ja zrobię jeszcze większy dym”. „Wpłaciecie stówę, to moja matka wypije litr piwa duszkiem” (to znany streamer z Torunia). Ludzie wpłacają.

– Czołówka polskich patostreamerów to dzisiaj zawodowcy – mówi Natalia Mileszyk. – Na swoich programach zarabiają ponad 20 tysięcy złotych miesięcznie. To szacunki, trudno tu mówić o dokładnych danych. Zatrudniają agentów, prawników, organizują konwenty swoich fanów.

Powoli stają się celebrytami. 13 października w Poznaniu odbyła się gala sportów walki. Była oprawa, muzyka, *ring girls*. Najdroższe bilety kosztowały 250 zł. Na trybunach – kilka tysięcy ludzi. Walką

wieczoru był pojedynek dwóch patostreamerów. Jeden z nich w „Uwadze” TVN-u powie: „Gdyby nie to, co robiłem, gdyby nie to, że piłem i robiłem dymy, nie byłbym tu, gdzie jestem teraz. Nie wstydę się tego”.

Znieczuleni na przemoc

Według danych z YouTube’a patostreaming jest zjawiskiem, które na tak szeroką skalę pojawiło się tylko w Polsce. Przedstawiciele firmy Google podkreślają, że z innych krajów nie otrzymują tylu podobnych zgłoszeń. Według Rzecznika Praw Obywatelskich jest to efekt zmian zachodzących w społeczeństwie. „Agresja słowna obecna jest przecież nie tylko w internecie i nie tylko w formach »ludowych«. Dziennikarze i politycy nie stronią od agresywnych komentarzy, a przemoc i mowa nienawiści jest częścią kultury masowej i debaty politycznej. Większość z nas przestaje na to reagować, przyzwyczajają się” – czytamy w oświadczeniu.

– Myślę, że najważniejsze powinny być dla nas interesy użytkowników małoletnich – mówi Mileszyk. – Swobodny dostęp do patostreamów może mieć dzisiaj każde dziecko.

Widownia patologicznych kanałów to w większości ludzie młodzi, często nieletni. Youtuberzy to wykorzystują. Jeden streamer z Poznania namawiał nastolatkę do rozbierania się przed kamerą (rozmaiał z nią w internetowym wideoczacie). „Dawaj, lećmy, muszę dupcię zobaczyć. Mogą być też cucky” – mówił do 12-letniej dziewczynki. Zapewniał, że nie ma otwartego streama, mówił: „siedzę sobie prywatnie”. Dziewczyna rozebrała się przed kamerą. Youtuber kłamał – transmisję na żywo oglądało kilka tysięcy ludzi. W tym samym wideo innej dziewczynce (13 lat) proponował seks za pieniądze.

30 marca 2018 r. autora kanału Grzegorza G. zatrzymała policja. Prokuratura szybko postawiła mu zarzuty, a jako środek zapobiegawczy zakazała publikacji w internecie. Na początku października sąd uchylił zakaz, mimo że youtuber nie stawiał się wcześniej na wezwanie prokuratury. Śledztwo się toczy, a G. grozi do 5 lat więzienia.

Takie przypadki to jednak rzadkość. Nawet jeśli patostreaming otwarcie pokazuje łamanie prawa, to często nie są to przestępstwa ścigane z urzędu (znieważenie, naruszenie nietykalności cielesnej, zniszczenie mienia). Skuteczna praca policji ➔



NASTOLATKI W SIECI

93,4 PROC.
codziennie korzysta z internetu
80 PROC. jest on-line non stop

19 PROC. uważa youtuberów za lepsze
źródło wiedzy niż książki i prasa

60 PROC. było świadkiem przemocy w sieci

WNIOSEK PIERWSZY – wyroki w kilku ewidentnych przypadkach nie spowodują, że patologiczne treści znikną z sieci. W internecie nic nie ginie. Najbardziej drastyczne sceny z patostreamów wciąż są dostępne na YouTube, mimo że oryginalny kanał dawno został zamknięty. Są udostępniane i powielane przez kolejnych użytkowników.

Poza tym większość patostreamów będzie działać nadal, gdyż nie ma prawnych podstaw do ich zamknięcia. Przeklinanie, picie alkoholu, różne formy przemocy – nie są ścigane z urzędu. Mieszczą się także w polityce YouTube'a (inaczej nie moglibyśmy oglądać np. filmów akcji). Twarde regulacje nie rozwiążą problemu (mogą za to spowodować jeszcze więcej). Jakikolwiek zmiany w tej kwestii od razu mogą zostać odczytane jako próba cenzury internetu.

WNIOSEK DRUGI. Patostreamery będą nadawać, bo im się to opłaca. Nawet teraz, gdy to piszę (jest 6 rano), jeden z popularniejszych streamów ogląda ponad 1500 osób (na nagraniu nic się nie dzieje, wszyscy domownicy śpią). Suma z dwojga powoli dobija do 2000 złotych. Oczywiście można blokować kolejne kanały i zakładać ograniczenia wiekowe. Czy-

wiście, że ważna jest odpowiedzialna postawa YouTube'a, ale dopóki „dymy” w sieci będą się dobrze sprzedawać – będą dostępne. W deklaracji podpisanej u RPO znajdziemy postulat: „ograniczenie możliwości zarabiania na tym procederze, jak i pokusy sponsorowania go”. Jak to zrobić? Tego na razie nie wiadomo.

WNIOSEK TRZECI. Internet jest dziś przestrzenią publiczną. Nie tylko według prawa, ale także w praktyce. To, co oglądamy i czytamy w sieci, często dotyczy nas mocniej niż analogowa rzeczywistość. Tylko że jest też przestrzeń, której nie da się uregulować. Na YouTube co minutę wrzucane jest ponad 400 godzin filmów. Poza nim istnieją dziesiątki innych platform i serwisów. By prowadzić swój kanał w internecie, wystarczy telefon. Albo komputer z kamerką za kilkadziesiąt złotych.

Dzięki temu w sieci jest wszystko. Od rzetelnej, dostępnej dla każdego wiedzy po treści dużo bardziej drastyczne niż polskie patostreamy.

STĄD WNIOSEK CZWARTY. Internetu nie da się kontrolować. Nie należy go cenzurować ani zakazywać. Trzeba się go po prostu nauczyć. I to od małego. Potrzebna jest nam dobra edukacja cyfrowa, zarówno w szkołach, jak w domu. W rzeczywistym świecie dziecko stopniowo odkrywa bardziej skomplikowane problemy, porusza trudniejsze tematy. W sieci nie ma tej ochrony. Od sekstaśmy patostreamera dzieli nas ta sama liczba kliknięć, co od filmu o jeleniach w Puszczy Knyszyńskiej. Dlatego aż trzy z dziewięciu punktów deklaracji dotyczą edukacji. Dlatego wiele organizacji prowadzi dziś warsztaty z kompetencji cyfrowych.

Z badania NASK „Nastolatki 3.0” w 2016 r.: 93,4 proc. nastolatków codziennie korzysta z internetu. 80 proc. jest stale on-line. 19 proc. uważa youtuberów za lepsze źródło wiedzy niż książki i prasa. Sieć jest ważną częścią życia młodych ludzi. Dostarcza informacji, zabawy, inspiracji, ale i zagrożeń. Zagrożeń, których rodzice i nauczyciele powinni być świadomi, by móc o nich spokojnie rozmawiać. Druga część raportu NASK: ponad 60 proc. nastolatków było świadkiem przemocy w sieci. Jedna trzecia była osobiście wyzywana, poniżana. 39 proc. z nich nikomu o tym nie powiedziało.

→ i wymiaru sprawiedliwości też nie rozwiązuje problemu, którym tak naprawdę jest łatwość i powszechność dostępu do patologicznych treści. Tutaj żadne wyroki nie pomogą.

400 godzin w minutę

Sprawą internetowej patologii zainteresował się ostatnio Rzecznik Praw Obywatelskich. Pod koniec listopada w biurze RPO odbyło się spotkanie „okrągłego stołu” poświęcone problemowi. W debacie udział wzięli przedstawiciele kilkunastu organizacji pozarządowych, twórcy internetu, psycholog, przedstawiciele policji i platform internetowych (YouTube, Wykop.pl). Po rozmowie podpisano dziewięciopunktową deklarację i wyciągnięto kilka wniosków.

W Sądzie Rejonowym w Zakopanem, I Wydziale Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 797/17, toczy się postępowanie z wniosku Prokuratora Rejonowego w Zakopanem o zmianę postanowienia o stwierdzeniu spadku po Włodzimierzu Janie Trzaskie, zm. 18 lipca 1987 r. w Zakopanem, ostatnio stale zamieszkałym w Zakopanem, które zapadło w sprawie o sygn. akt I Ns 108/92.

W postępowaniu tym jako spadkobierczyni ustawowa ww. wskazana została m.in. Anna Dąbrowa (poprzednie nazwisko Baczyło) z d. Trzaska, która zmarła 16 listopada 1983 r. w Krakowie.

Sąd wzywa następców prawnych ww., aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie, gdyż w przeciwnym wypadku zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu.

ANNA

Dziewit-Meller: *Kremlowskie kuranty*



CO ZROBIĆ, ŻEBY PIĄTKA DZIECI, KTÓRE SŁANIAJĄ SIĘ NA NOGACH ZE ZMĘCZENIA PO CAŁYM DNIU BIEGANIA NA DWORZE, DAŁA SIĘ W SYLWESTRA NAMÓWIC NA PÓJŚCIE DO ŁÓŻEK PRZED PÓŁNOCĄ? OTÓŻ MOŻNA PRÓBOWAĆ PRZYSPIESZYĆ CZAS. MAGICZNE MOCE WSZECHMÓGĄCYCH RODZICÓW. CIESZYMY SIĘ NIMI, TAK SZYBKO WIĘDNĄ W OCZACH CORAZ BARDZIEJ ZORIENTOWANYCH W ŚWIECIE DZIECI!

Najpierw zatem, korzystając z przewagi technologicznej, próbowaliśmy im pokazać na YouTube zeszłoroczne powitanie roku, naiwnie wierząc, że nie będą specjalnie wpatrywać się w daty migoczące gdzieś za plecami Tomasza Kammela. Gdy jednak szybciej, niż się spodziewałam, przejrżeli nasz zamiar, wpadłam na pomysł zaiste diaboliczny. Zbliżała się bowiem godzina 22, w Moskwie więc musiała dochodzić północ! Czyli wystarczyło włączyć jakąś rosyjską telewizję, by nie kłamiąc, nie mówić jednak całej prawdy i osiągnąć cel, jakim jest położenie przedszkolaków już w Nowym Roku, chociaż jeszcze nie wybiła północ. Nowy Rok Schrödingera.

I tylko jeden zasadniczy feler zepsuł nam ten pomysł. Nim zaczęliśmy wesoło odliczać od dziesięciu i całować się z dubeltówki, nim zabrzmiał przygotowany specjalnie na ten cel przez jednego z kolegów mojego syna utwór Sławomira „Miłość, miłość w Zakopanem”, musieliśmy wszyscy spojrzeć w twarz Władimira Putina, który do ostatnich sekund przed północą przemawiał do swoich rodaków. O tej porze, w której w Polsce dwie godziny później wszyscy wyciągali butelki szampana z lodówek i w popłochu szukali czystych kieliszków, na ekranach królowali Beata i Bajm, Maryla Rodowicz i oczywiście Sławomir, w Rosji *prime time* zajął batiuszka ze swym orędem. Tym się jednak na razie różnimy od braci ze Wschodu i przyznajcie, że choć z pozoru błaha, jest to jednak po namyśle relewantna różnica. Patrząc kątem oka na moskiewskie fajerwerki i wsłuchując się przy tym w pierwsze takty piosenki Sławomira, puszczanej na życzenie małego Stasia, czułam lekki dreszcz idący przez plecy – a co jeśli to orędzie to zła wróżba, którą sprowadzam na nasz dom?

A potem przyszedł Nowy Rok, nieco gnuśny, nieco deszczowy i wietrzny na Warmii i Mazurach. Na chwilę jednak wyszło słońce i nad łąką za Warpunami pojawiła się tęcza. Uzna-

łam wtedy – jako osoba z gruntu naiwna – że kasuje ona wróżbę z Putinem i że jest dla nas nadzieja. Jakoś trzeba sobie radzić z tymi poznawczymi dysonansami.

Ale teraz sama już nie wiem, bo, gdy słońce zaszło, gdzieś hen za Mrągowem, zaczęłam czytać na stronie Kultury Liberalnej wywiad z Pawłem Sołtysem, czyli Pablopavo, który mówi:

„Mnie historia PRL-u interesuje i lubię sobie poczytać na przykład Karola Modzelewskiego. Ale w sensie politycznym zajmowanie się PRL-em to jest buksowanie w miejscu. A wydaje mi się, że jesteśmy w ważnym momencie dla historii nie tylko Polski, ale i świata. Przegapienie tego momentu skończy się dla naszych dzieci bardzo źle. Napawa mnie to nie tyle strachem, co bezbrzeżnym smutkiem. W momencie, kiedy na świecie dzieją się rzeczy bardzo ważne i w sensie politycznym, i w sensie ekologicznym, społecznym, my siedzimy w trumnach. Tylko to już nie jest wyłącznie Dmowski i Piłsudski, ale trumny Jaruzelskiego, Lecha Kaczyńskiego i legenda żyjącego jeszcze Wałęsy. Od dłuższego czasu mam takie wrażenie, że moja córka przyjdzie do mnie za dwadzieścia lat w totalnie spięrzonym świecie i zapyta: »Jak, k..., mogliście do tego dopuścić?«. Tego się boję”.

A było to w chwili, w której telewizor zaserwował mi kolejny raz scenę z sądu, w której siwy jak gołąb Lech Wałęsa stał obok siwego jak gołąb Jarosława Kaczyńskiego i obaj – nie patrząc na siebie, ale gdzieś w bok – mówili nieprzyjemne rzeczy o swej wzajemnej przeszłości, z pierwszej strony gazety spozierały zaś na mnie słowa Tomasza Piątka, który nie wychodzi z IPN i sypie nam garściami na głowy popiół i kurz ze starych teczek.

I choć nie umniejszam wagi powyższych spraw i – jako ta prawdziwa Polka – emocjonuję się tym wszystkim ogromnie, to jednak boleśnie zgadzam się z Pawłem Sołtysem. Tkwimy unurzani w nie swojej przecież, tylko w ich przeszłości, naszym mieszkańcy Bronowic w smogu krakowskim, nie widząc nawet, że zasłania nam on nasze własne życie, nasze dzisiejsze wyzwania, nasze aktualne problemy. „To wielkie płótno martyrologiczno-patriotyczne przykryło ten kraj i trzeba sobie wycinać w nim dziury, żeby spojrzeć w przyszłość. Bez sensu! Niech ta flaga sobie powiewa w swoim miejscu, a my się otworzymy” – rzecze Sołtys.

Włączając rosyjską telewizję w sylwestra, chcąc sprytnie pozbyć się ziewającej i jęklwej progenitury, poczułam nagle, że przesuвам na bok owe zakurzone trumny, owe stosy utworzone z teczek, wszystkie zaprzesze sprawy i całkiem niechcący patrzę w naszą przyszłość. I nie jest to przyszłość, której chciałabym dla śpiącej w łóžeczkach piątki dzieci. Tylko czy zdołamy wypracować sobie inną, skoro ciągle obracają nas do niej tyłem? Życzę więc Polsce na nowy rok, żeby się może w końcu odwróciła.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



GEN PRZEMOCY

BP HEINER WILMER:

Dawniej mawiano, że w Kościele są pojedynczy grzeszni ludzie, ale Kościół jako taki jest czysty i bez skazy. Musimy pożegnać się z takim przekonaniem i przyjąć do wiadomości, że w Kościele jako wspólnocie istnieją „struktury zła”.

JOACHIM FRANK: Ksiądz Biskup stoi na czele diecezji Hildesheim od stu dni. Akurat w chwili, gdy obejmował Ksiądz urząd, opublikowano raport o nadużyciach seksualnych w niemieckim Kościele. Czym Ksiądz Biskup obecnie najczęściej się zajmuje?

BP HEINER WILMER: Istotnie, dopiero co objąłem funkcję biskupa, gdy zostało opublikowane studium w sprawie skandali nadużyć seksualnych. Od tego czasu w niemieckim Kościele katolickim stale krążymy wokół ważnych kwestii organizacyjnych, takich jak miejsca, do których mogłyby zgłaszać się ofiary nadużyć, standardy prewencji i wiele innych. Wydaje mi się jednak, że nadal nie dość poważnie traktujemy problem przemocy seksualnej oraz problem nadużywania władzy w Kościele.

Jak zatem należałoby poważnie potraktować ten problem?

Myślę, że nadużywanie władzy tkwi w DNA Kościoła. Nie możemy już dłużej zbywać tego problemu stwierdzeniem, że jest to zjawisko rzekomo peryferyjne, lecz musimy dokonać radykalnej rewizji naszego sposobu myślenia o tym problemie. Jak dotąd brakuje nam jednak jakiegokolwiek pomysłu, jakie skutki powinno to mieć dla teologii.

Heiner Wilmer obejmuje urząd biskupa w diecezji Hildesheim. 1 września 2018 r.

Jaki Ksiądz Biskup ma tu pomysł?

Dla samoświadomości Kościoła skandale dotyczące nadużyć seksualnych są wstrząsem, którego doniosłość porównałbym do podboju i splądrowania Rzymu przez Wizygotów pod wodzą Alaryka w V stuleciu. Po tamtych wydarzeniach teologia wczesnochrześcijańska popadła w poważny kryzys tożsamościowy: zaczęto się zastanawiać, jak Bóg mógł dopuścić do tego, aby centrum chrześcijaństwa zostało nawiedzone i spustoszone przez pogańskich barbarzyńców. 1300 lat później, w epoce oświecenia, po wielkim trzęsieniu ziemi, które w 1755 r. zniszczyło Lizbonę [była to jedna z najtragiczniejszych katastrof naturalnych w dziejach ludzkości; szacuje się, że zginąć mogło do 100 tys. ludzi – red.], problem z zakresu teodycei – dotyczący kwestii boskiej wszechmocy i ludzkiego cierpienia – objawił się w jeszcze ostrzejszy sposób. Myślę, że dziś Kościół znajduje się w podobnej, a może nawet jeszcze bardziej dramatycznej sytuacji, gdyż w tym przypadku zło wyszło z samego wnętrza Kościoła.

Jaką konkluzję wyciąga Ksiądz Biskup z tej sytuacji?

Że w przyszłości wiarę w nasz „święty Kościół” będziemy mogli wyznawać uczciwie i rzetelnie tylko wówczas, jeśli równocześnie wyznamy, iż ten Kościół jest także Kościołem grzesznym.

Już Ojcowie Kościoła nazywali Kościół „casta meretrix”, cnotliwą nierządnicą.

Tak, ale w późniejszym okresie to paradoksalne pojęcie stało się dla dominującej doktryny czymś niesłyszczanym oburzającym i nieznośnym. Dlatego koncepcja ta zaginęła. Zamiast tego mawiano, że owszem, w Kościele są pojedynczy grzeszni ludzie, ale Kościół jako taki jest czysty i bez skazy. Musimy pożegnać się z takim przekonaniem i przyjąć do wiadomości, że w Kościele jako wspólnocie istnieją „struktury zła”.

Niemiecki teolog Eugen Drewermann już 40 lat temu napisał na ten temat trylogię pod takim właśnie tytułem.

Przeczytałem to wszystko. Dzisiaj trzeba powiedzieć, że było to profetyczne. Podobnie jak książka tego autora „Duchowni. Psychogram pewnego ideału”. Eugen Drewermann jest prorokiem naszych czasów, zapoznanym przez Kościół.

Prorokiem?

Już w Biblii prorocy to byli ludzie, którzy mówili prawdę prosto w oczy – i dlatego byli marginalizowani albo nawet zamknięto im usta. Również dzisiaj potrzebujemy takich mężczyzn i kobiet, którzy nam, biskupom, będą naciskać na odcisk, nawet jeśli będzie to boleć. Osobiście zaliczam do nich np. księdza Klausa Mertesa, →

→ który w 2010 r. upublicznił skandal związany z nadużyciami seksualnymi w Niemczech i z tego powodu zainkasował niezłe cięgi. Niesprawiedliwie! Do dziś Mertes przypomina nam nieustannie, że powinniśmy przyjąć perspektywę ofiar. Jean Vanier, założyciel ruchu Arka [na rzecz osób z upośledzeniem umysłowym – red.], nazwał to kiedyś „opcją na rzecz cierpiących”. Krzyk ofiar zmusza Kościół do nawrócenia – w ścisłym znaczeniu słowa *Kehre* [radikalny zwrot – red.]. Potrzebujemy radykalnej zmiany, nowego i autentycznego, a nie udawanego spojrzenia na nasze korzenie, na nasze początki: życie i przesłanie Jezusa. I nie możemy postępować tak jak do tej pory.

Bardzo proszę o skonkretyzowanie, co Ksiądz Biskup ma na myśli mówiąc o radykalnej zmianie.

Musimy skończyć z wszelkimi przejawami samowoli, z wszelkimi przejawami myślenia roszczeniowego. W moim odczuciu my, biskupi, ciągle jeszcze jesteśmy zbyt aroganccy, zbyt nadęci. Musimy zejść na ziemię: nie możemy już traktować ludzi z góry, przemawiać do nich z piedestału, musimy traktować ich jak równych sobie. A nawet i to jest dla mnie za mało. *Face to face*, twarzą w twarz – to za mało. Potrzebna jest postawa *side by side*, ramię przy ramieniu. Dietrich Bonhoeffer [niemiecki teolog ewangelicki i uczestnik ruchu oporu przeciw Hitlerowi, za-

mordowany w obozie koncentracyjnym w 1945 r. – red.] powiedział kiedyś, że Kościół jest sobą, jest Kościołem tylko wtedy, gdy istnieje dla innych. W istocie, jesteśmy Kościołem tylko wtedy, gdy stoimy u boku ludzi, gdy ramię w ramię idziemy wraz z nimi. W Biblii jest napisane, jak powinno to wyglądać. Wystarczy tylko, abyśmy to czytali i brali sobie do serca.

A potem?

Czasem myślę sobie tak: kto właściwie określa, co jest katolickie? My zachowujemy się ciągle tak, jakby tym kimś miała być hierarchia; jak gdybyśmy to my, biskupi, mieli mieć prawo do nadawania etykietki, że coś jest albo nie jest katolickie. To nieprawda! Nie jesteśmy katolicką organizacją konsumencką, która zajmuje się weryfikacją tego, czy dany produkt odpowiada jakimś wymogom. Musimy być odbiorcami, słuchaczami, musimy uczyć się w rozmowie z katolickimi kobietami i mężczyznami, ale także z chrześcijanami innych wyznań oraz z niewierzącymi. Gdyby spojrzeć na sprawę nadużyć seksualnych z klarownego teologicznego punktu widzenia, to jej konsekwencje są oczywiste: aby powstrzymać zło w Kościele, potrzebujemy skutecznej kontroli władzy w Kościele. Potrzebujemy podziału władzy, potrzebujemy systemu *checks and balances* [konceptja ustrojowa rozdzielania władzy między wzajemnie kontrolujące się organy – red.].

Planuje Ksiądz Biskup coś takiego?

To nieuniknione, nie ma tu innej drogi. Kiedy słyszę od kardynała Gerharda Müllera [w latach 2012-17 prefekt watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary, zdymisjonowany przez papieża – red.], że według świętego porządku Kościoła osoby świeckie nie mogą osądzać osób wyświęconych, pełniących funkcje w Kościele, to mogę jedynie powiedzieć, że to nieprawda. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa diakoni i kapłani byli wybierani na urząd biskupa przez lud boży, przez aklamację. W średniowiecznej Kolonii obywatele miasta wielokrotnie buntowali się przeciwko władzy swoich arcybiskupów i w 1288 r. w bitwie pod Worringen wywalczyli sobie wolność spod ich feudalnej władzy. W Kościele na przestrzeni wieków istniało znacznie więcej form partycypacji, niż praktykujemy to dzisiaj. Musimy uważać, abyśmy nie stali się ofiarami własnej amnezji historycznej.

Porozmawiajmy o centralnym pojęciu w Kościele: o winie. Czy Ksiądz Biskup czuje się winnym z powodu nadużyć seksualnych?

Ja osobiście, Heiner Wilmer, nie ponoszę żadnej winy, ponieważ nie jestem sprawcą. Ale pomimo tego muszę powiedzieć: tak, ponoszę winę, gdyż przynależę do tej strony, z której wywodzą się sprawcy, winni przestępstw nadużyć seksualnych.

W Hildesheim i w Niemczech

Przestępstwa seksualne i ich skutki to dziś jeden z głównych problemów niemieckiego Kościoła katolickiego. Diecezja Hildesheim jest w szczególnej sytuacji: podejrzanym jest jej dawny biskup, już nieżyjący.

GDYBY Wczytać się w słowa

niemieckich biskupów w ostatnich dniach roku 2018 – w ich homiliach bożonarodzeniowych i noworocznych, a także w wypowiedziach medialnych – wyczuć można emocje, które kiepsko pasują do świątecznej atmosfery: przygnębienie

i smutek. Równie powszechny był tu ton, który można by zdefiniować jako samokrytyczną pokorę, której towarzyszą pragnienie zadośćuczynienia i oczekiwanie przebaczenia. Mało świąteczny charakter miał też temat, który przewijał się w ostatnich dniach grudnia przez liczne biskupie homilie: nadużyć seksualnych ze strony duchownych, cierpienia ich ofiar, tuszowania afer przez struktury kościelne. A także skutków, które z tego mają wynikać dziś dla Kościoła. W tym natury strukturalnej: dotyczące kwestii władzy i kontroli w Kościele.

Mówił o tym także kard. Reinhard Marx, przewodniczący niemieckiego episkopatu: o potrzebie odnowy, widocznej „zwłaszcza w ostatnich latach i miesiącach, w obliczu porażki i niezdolności” Kościoła, który nie reagował adekwatnie „na wyzwania i nieprawdowość”.

CHODZI O RAPORT

przedstawiony we wrześniu 2018 r. To efekt kilkuletniej pracy – na zlecenie episkopatu – zespołu niezależnych ekspertów. Jego treść była jak trzęsienie ziemi, którego wstrząsy wtórne wciąż trwają:

analizując archiwa z lat 1946-2014, udostępnione przez wszystkie 27 diecezji, eksperci natrafili na wskazówki, że ofiarami duchownych padło co najmniej 3677 dzieci i nastolatków (w proporcji: dwie trzecie chłopców i jedna trzecia dziewcząt). Zidentyfikowano 1670 przestępców: księży, zakonników i diakonów (stanowili 4,4 proc. duchowieństwa). Choć debata o nadużyciach seksualnych trwa w niemieckim Kościele od 2010 r. (znaczącą rolę dla jej podjęcia odegrał jezuita Klaus Mertes), raport ten nadał jej nowej dynamiki. Po publikacji bp Peter Kohlgraf z Moguncji (rocznik

Nasze dzisiejsze spotkanie zacząłem od przeprosin: przeprosiłem Księdza Biskupa za to, że się spóźniłem. Tyle tylko, że w gruncie rzeczy winę za to ponosiła kolej, pociąg był spóźniony, nic nie mogłem na to poradzić. Jaki jest zatem sens takiej prośby o wybaczenie? Czy abstrahując jednak od czystej kurtuazji, problem ten nie dotyczy także nadużyć seksualnych w Kościele? Kto konkretnie jest tu winny, kto prosi kogo o wybaczenie?

Prośba o wybaczenie, odszkodowanie, przebaczenie – to tutaj kluczowe pojęcia. Mimo wszystko uważam je za problematyczne, i to wszystkie trzy. W ścisłym sensie nie ma tu bowiem możliwości „zdjęcia winy” czy „naprawienia wyrządzonych szkód” [gra słów w języku niemieckim, gdzie „prośba o wybaczenie” – *Entschuldigung* – zawiera w sobie słowo „wina” i w znaczeniu pierwotnym oznacza „zdjęcie winy”, zaś „odszkodowanie” – *Entschädigung* – zawiera słowo „szkoda” i może być tłumaczone także jako „wynaagrodzenie szkód” – red.]. Wina oraz wyrządzone szkody – one pozostaną na zawsze w życiu ofiar. W USA niektóre z ofiar określają się pojęciem *survivors* – ocaleni, ci, którzy przeżyli. Uważam, że jeśli w oczekiwaniu przebaczenia – być może zrozumiałym – miałby pobrzmiwać choćby ślad jakiegoś moralnego roszczenia (na zasadzie, że „jako chrześcijanie powinniśmy umieć sobie przebaczać”), byłby to fatalny

brak szacunku i wrażliwości. Rozumiem ofiary, gdy mówią: „Nie, nie mogę wybaczyć tego, co mi zrobiono”. Zresztą chyba również i Biblia uznaje taką rzeczywistość, np. kiedy w Księdze Wyjścia mowa jest o tym, że grzech ojców ma trwać aż do trzeciego i czwartego pokolenia.

Także w Hildesheim, w diecezji Księdza Biskupa, przeszłość kładzie się długim cieniem, również na tu-tejszej kurii. Był Ksiądz pierwszym biskupem w Niemczech, który publicznie i konkretnie mówił o błędach swoich poprzedników. Można by powiedzieć, że Ksiądz Biskup ma łatwo, bo oni obaj już nie żyją...

To prawda, nazwałem po imieniu fakt, że moi poprzednicy zawiedli, bo tak to oceniam. Nie jest to dla mnie sytuacja łatwa. Nie jestem sędzią nad ludźmi żyjącymi, a tym bardziej nie nad martwymi. Uważam jednak, że to kwestia uczciwości wobec prawdy. Z drugiej strony, nie pomoże nam teraz, gdy będziemy nieustannie podawać nazwiska i kolejne nazwiska. W wyznaniu winy podczas mszy świętej mowa jest: „Spowiadał się Bogu Wszechmogącemu, i wam, bracia i siostry, że bardzo zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem”. Nie ma tutaj mowy o oskarżaniu innych. Absolutnie najlepsze – przede wszystkim w sensie: najlepsze dla ofiar – byłoby, gdyby swoje winy wyznali sami przestępcy, podobnie jak i ci, którzy

ich kryli albo którzy ignorowali głos ofiar. Ale to mówi się łatwiej, niż to czasem jest.

Co Ksiądz Biskup ma na myśli?

Weźmy przypadek przestępcy seksualnego Petera R. – nadal jeszcze brakuje mi zwyczajnie słów, gdy myślę o tym, że tutaj, w Hildesheim, można było zapobiec przynajmniej ostatnim jego zbrodniom. Osoba odpowiedzialna za kwestie personalne w kurii za czasów biskupa Homeyera niewątpliwie chciała odsunąć Petera R. od posługi kapłańskiej. Ale wygląda na to, że na koniec przeważało zdanie kilku członków parafii, którzy przekonali biskupa twierdząc, że rzekomo nie można traktować tak bez serca tego tak zasłużonego kapłana.

Wracamy tu więc do kwestii winy.

Ksiądz Biskup widzi na tym przykładzie, jak niesprawiedliwe byłoby twierdzenie, że winę ponosi tylko ta jedna osoba, jedynie sam sprawca. Rzeczywistość jest bardziej złożona. Tymczasem z całego episkopatu, liczącego prawie 70 członków, jak dotąd ani jeden biskup nie przyznał się, że zawiódł – w taki sposób, jaki Ksiądz Biskup właśnie tu zasugerował. A już choćby statystycznie wydaje się nieprawdopodobne, aby wśród 70 biskupów nie było nikogo takiego.

Prawda jest pierwszym krokiem ku sprawiedliwości. I prawdę, i sprawiedliwość jesteśmy winni ofiarom. Mamy →

1967) mówił, że konkluzje raportu wstrząsnęły jego osobistą wiarą. Od tego czasu biskupi tłumaczą, przepraszają (choć sami – często metrykalnie z nowej już generacji – jako przetożeni nie ponoszą osobistej winy). I szukają rozmowy z ofiarami, współpracują z władzą świecką i wprowadzają reformy, które mają zapobiec podobnym sytuacjom. Wszystko przy podniesionej kurtynie.

TAKŻE DEBATA MIĘDZY

BISKUPAMI na temat źródeł tego zła i koniecznych reform ma publiczny charakter. Czasem przybiera charakter otwartego sporu. Tak było ostatnio,

gdy dużo emocji wywołał wywiad, którego bp Heiner Wilmer z Hildesheim udzielił dziennikowi „Kölner Stadt-Anzeiger” (przedrukujemy go powyżej). Sprzeciw niektórym biskupów wywołały zwłaszcza słowa Wilmera, że „nadużycia władzy tkwią w DNA Kościoła”, w którym są „struktury zła”. Bp Rudolf Voderholzer z Ratyzbony mówił, że nie rozumie, jak Wilmer mógł coś takiego powiedzieć. Kardynał Rainer Maria Woelki z Kolonii stwierdził, że Wilmer „posunął się za daleko”; Kościół ponosi „poważną winę”, ale gdyby miało tak być, iż nadużycia władzy tkwią w jego DNA,

„wtedy musiałbym z takiego Kościoła wystąpić”.

WILMER JEST BISKUPEM

od niedawna: urząd objął we wrześniu – w chwili, gdy pojawił się wspomniany raport. Jego diecezja zajmuje szczególne miejsce na „mapie” tej debaty: wśród oskarżonych o przestępstwa seksualne jest jeden z poprzedników Wilmera, nieżyjący już biskup Heinrich Maria Janssen, dwaj jego następcy zaś mają być winni tuszowania skandali. Pierwsze oskarżenia wobec Janssena pojawiły się w 2015 r.; powołana komisja uznała, że z braku danych nie może ich potwierdzić ani im zaprzeczyć. Niedawno, w październiku

2018 r., do bp. Wilmera zgłosił się ponad 70-letni dziś mężczyzna, twierdząc, że jako nastoletni ministrant był molestowany przez Janssena i innych księży, oraz że wśród duchownych diecezji istniał wtedy system „wymieniania się” ofiarami.

Po rozmowie z nim bp Wilmer stwierdził: „Serce mi się kraje wobec tego, co ten człowiek mi opowiedział”. Zarzuty zbadają teraz zewnętrzni eksperci. Dyskusja trwa: 2 lutego, na spotkaniu przedstawicieli wszystkich diecezji, mają być przyjęte wspólne wytyczne odnośnie do dalszego postępowania i prewencji.

©© WOJCIECH PIĘCIAK

Źródło: KNA

→ wobec nich dług do spłacenia. To musi być nasza perspektywa, nasz interes, a nie w pierwszym rzędzie wysiłki na rzecz odzyskania naszej wiarygodności jako Kościoła, albo wysiłki na rzecz zdobycia na nowo zaufania i posłuchu. To może być w najlepszym wypadku swego rodzaju korzyścią uboczną, ale to nie może być nasz pierwszy cel. Naszym pierwszym celem powinna być sprawiedliwość dla ofiar. Dlatego nie ustanie w domaganiu się, abyśmy ujawnili wszystkie fakty, wszystko to, co się wydarzyło, i abyśmy to wyjaśnili najlepiej, jak tylko jesteśmy w stanie. Ze mną nie będzie żadnego potajemnego zamiatania pod dywan. Potrzebujemy też pilnie czegoś w rodzaju komisji prawdy. Że taka komisja jest potrzebna, to widać właśnie na przykładzie spraw, o których dyskutujemy w diecezji Hildesheim.

Ma Ksiądz Biskup na myśli oskarżenie o nadużycia seksualne wobec swego poprzednika biskupa Janssena, zmarłego w 1988 r. Zmarły nie może się już bronić...

Dlatego aby wyjaśnić tę sprawę, grupa pracujących niezależnie biegłych lekarzy sądowych, kryminologów i historyków zbada ówczesne struktury diecezjalne oraz rolę biskupa Janssena.

Idąc z dworca kolejowego do kurii biskupiej minąłem ulicę noszącą imię biskupa Janssena. Co Ksiądz Biskup myśli, gdy idzie tą ulicą?

Nie tylko tutaj są takie ulice, także w innych miejscach, np. w Duderstadt [miasto w diecezji Hildesheim, gdzie biskup Janssen wspierał budowę kościoła – red.]. Pojawiły się tam już pierwsze żądania, aby zmienić nazwę ulicy. To sprawa władz samorządowych. Ja chcę poczekać na wyniki zewnętrznego dochodzenia.

© Rozmawiał JOACHIM FRANK

Tłumaczenie: KASPER KAPROŃ OFM,
WOJCIECH PIĘCIAK

Wywiad z bp. Heinerem Wilmerem – byłym przełożonym generalnym Zgromadzenia Księży Najświętszego Serca Jezusowego, a od 1 września 2018 r. ordynariuszem diecezji Hildesheim – ukazał się w grudniu 2018 r. w „Kölner Stadt-Anzeiger”.
Przedrukujemy go za zgodą redakcji.

Tytuł pochodzi od redakcji „TP”.

Gdzie znaleźć pociechę

PIOTR SIKORA

Mamy odruch szukania pocieszenia w wierze. Może się jednak zdarzyć, że nie tylko go nie odnajdziemy, ale stracimy przy okazji wiarę.

DNIA JUŻ PRZYBYWA, ALE CIEMNOŚĆ I SZARA jeszcze przeważa nad światłem słonecznym. Minęły świąteczne dni Bożego Narodzenia, koniec wolnego, trzeba wracać do pracy. Jeśli ktoś zanadto zaszalał podczas przedświątecznych zakupów – widok stanu konta może być bardzo przygnębiający. Jest też prawdopodobne, że noworoczne postanowienia właśnie okazały się – przynajmniej z subiektywnej, ale przez to najbardziej odczuwanej perspektywy – nie do wykonania.

Nic dziwnego, że styczeń, początek roku, to jeden z najtrudniejszych okresów dla ludzkiej psychiki, przynajmniej w naszym obszarze geograficznym. Choć słynny Blue Monday, najbardziej depresyjny dzień w roku, jest tylko „faktem medialnym”, czyli tak naprawdę nie istnieje, to psychoterapeuci zauważają w tym czasie zwiększony ruch w swoich gabinetach.

Jeśli nam trudno i czujemy się „w dołku”, gdzie szukać pociechy?

Zwrot ku Bogu

Na myśl przychodzi religia i wiara. Uzasadnia to choćby taki werset psalmu: „Gdy się w moim sercu mnożą niepokoje, Twoje pociechy mnie orzeźwiają” (Ps 94, 19). W Biblii można spotkać teksty nawet mocniejsze, które nie tylko mówią o pocieszeniu, jakie daje wiara, ale nawet sugerują, że jest to jedyny autentycznie skuteczny środek na niepokój i smutek. Prorok Izajasz mówi w imieniu Boga: „Ale Ja go ulecę i pocieszę/pokieruję, i obdarzę pociechami jego samego i pogrążonych z nim w smutku, wywołując na wargi ich dziękczynienie: Pokój! Pokój dalekim i bliskim! – mówi Pan – Ja go ulecę. Bezbożni zaś są jak morze wzburzone, które się nie może uciszyć i którego fale wyrzucają muł i błoto. Nie ma pokoju – mówi Bóg mój – dla bezbożnych” (Iz 57, 18-21).

Podobne idee należą nie tylko do Starego Testamentu. Oto św. Paweł głosi: „Błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, Ojciec miłosierdzia i Bóg wszelkiej pociechy, Ten, który nas pociesza w każdym naszym utrapieniu, byśmy sami mogli pocieszać tych, co są w jakiegokolwiek udręce, pociechą, której doznajemy od Boga. Jak bowiem obfitują w nas cierpienia Chrystusa, tak też wielkiej doznajemy przez Chrystusa pociechy” (2 Kor 1, 3-6).

Uzasadniona zatem wydaje się myśl, że w życiowych trudnościach, które sprowadzają na nas rozmaitego rodzaju przygnębianie, trzeba zwracać się ku Bogu i w Nim szukać pociechy oraz pocieszenia.

Zapewne wielu z nas tak właśnie robi. Czy nie jest tak, że znaczna część uczestników rozmaitych wspólnot, zarówno tych bardziej tradycyjnych, jak i tzw. nowych ruchów, charyzmatycznych albo kontemplacyjno-modlitewnych, to ludzie, których codzienne życie przygniata, którzy w religijnym zaangażowaniu szukają pomocy, a często i miejsca ucieczki od problemów? Duszpasterze wiele by mogli o tym powiedzieć.

Pocieszenie, jakie może dać religia, ma wiele wymiarów. Po pierwsze, poczucie przynależności do opartej na podobnych wartościach i połączonej silnymi więzami emocjonalnymi wspólnoty. W dzisiejszej „płynnej nowoczesności”, która rodzi poczucie niepewności i wyobcowania, gdy liczne więzi, rodzinne czy sąsiedzkie, zostały osłabione albo wręcz zaniknęły, przynależność do mocnej wspólnoty, skupionej wokół tego, co najważniejsze, jest dla wielu niezwykle pożądane. A religie mają zasoby, by to pragnienie zaspokoić.

Religia to jednak nie tylko międzyludzka wspólnota. Niesie przecież przesłanie, że – niezależnie od ludzkiej obojętności, a na-



HELEN H. RICHARDSON / GETTY IMAGES

wet wrogości – jesteśmy kochani przez Boga: Osobę największą, najwspanialszą, najpotężniejszą. Wystarczy – myśli się i głosi – mocno w tę miłość uwierzyć, a wszelkie negatywne strony naszej egzystencji przestaną mieć decydujące znaczenie dla jakości życia i samopoczucia.

Pułapka idolatrii

Odnajdywanie pociechy w religijnej wierze nie jest jednak bezproblemowe i oczywiste. Religijne wspólnoty nie są doskonałe. Więzy, które tworzą, mają swoją ciemną stronę. Bywają nietrwałe lub tylko pozornie głębokie. Czasami są toksyczne i ostatecznie niosą więcej cierpienia niż pozytywnych owoców dla naszej psychiki i ogólnego dobrostanu.

Boża miłość wcale zaś nie jest w oczywisty sposób doświadczalna. Hasło „Jezus cię kocha” może wydać się pustym sloganem, zwłaszcza tym, na których zwały się rozmaite negatywne doświadczenia albo którzy postrzegają rzeczywistość w ciemnych barwach, choćby z powodu depresyjnych skłonności.

Szukanie pociechy w wierze jest jednak wątpliwe nie tylko dlatego, że religijne „środki pociechy” okazują się nieskuteczne. Powstaje głębsze pytanie: czy wiara szukająca pociechy nie jest przypadkiem moralnie wątpliwym, bo intere-

sownym podejściem do Boga? Jak pisała XX-wieczna mistyczka Simone Weil: „Religia jak źródło pociechy jest przeszkodą do prawdziwej wiary: w tym sensie ateizm jest oczyszczeniem. Powinna być ateistką tą częścią siebie, która nie jest dla Boga. Pośród ludzi, których nadprzyrodzona część ich samych nie przebudziła się, ateści mają rację, a wierzący się mylą”.

Weil nie jest w swoim myśleniu odosobniona. Mistrz Eckhart już w XIV w. głosił: „Wiedz, że jeżeli w jakikolwiek sposób szukasz swego, nigdy nie znajdziesz Boga, bo nie szukasz wyłącznie Jego samego. Oprócz Niego szukasz czegoś innego i postępujesz dokładnie tak, jakbyś z Boga robił świecę. Używa się jej do szukania jakiejś rzeczy, a gdy się ją znajdzie, świecę się wyrzuca. Postępujesz w ten oto sposób: to, czego tak szukasz oprócz Boga, jest nicością, cokolwiek by to było: korzyść, nagroda, wewnętrzne przeżycie i wszystko inne. Szukasz nicości, dlatego też ją znajdujesz. To, że znajdujesz nicość, wynika jedynie stąd, że jej właśnie szukasz”.

Inny wielki mistyk i doktor Kościoła, Jan od Krzyża, posługiwał się w swoim nauczaniu rysunkiem „Góry Karmel, czyli Góry Doskonałości”. Narysował na nim trzy drogi: jedną przyjemności „światowych”, drugą doznań i pociech duchowych, i trzecią – jedyną, która dosięga

szczytu góry – wiodącą przez „nic”, pustkę i ogołocenie, „ciemną noc” zmysłów, psychiki i ducha. „Aby dojść do smakowania wszystkiego, nie chciej smakować czegoś w niczym” – ostrzega święty karmelita. Chęć smakowania czegoś w niczym to m.in. pragnienie konkretnych doznań (czegoś) na poziomie stworzonej, uwarunkowanej rzeczywistości (w niczym). To zatem także pragnienie konkretnego „pocieszenia” w trudach tego życia.

Mistycy i Biblia

Czy jednak mistyczne wątpliwości nie stoją w sprzeczności z Pismem?

Aby to ocenić, trzeba po pierwsze mieć na względzie fakt, że Biblia to (jak sama grecka nazwa wskazuje) wiele ksiąg, które powstawały w bardzo długim przedziale czasu i wyrażają świadomość religijną na różnym poziomie rozwoju. Teologia mówi tu o „Bożej pedagogii”, czyli stopniowym prowadzeniu człowieka od mniej do bardziej rozwiniętych form religijności.

Można zatem uznać, że niektóre, zwłaszcza wcześniejsze teksty – będące świadectwem religijności czasami bardzo interesownej – nie wyrażają wcale ideału ludzkiego stosunku do Boga (a nawet że sam obraz Boga w nich zawarty jest dość prymitywny i wymagający znaczących korekt).



→ Jednak już w Starym Testamencie można odnaleźć idee, które każą interpretować pocieszenie, jakie niesie wiara, w nieinteresowny sposób. Oto psalmista śpiewa: „W moim ucisku to pociechą dla mnie, / że Twoja mowa obdarza mnie życiem. / Ludzie zuchwali bardzo mi ubliżają, / a ja nie odstępuję od Twojego Prawa. / Przypominając sobie Twe wyroki odwieczne, Panie, doznaję pociechy” (Ps 119, 50-52). Pociechą, o której tu mowa, jest po pierwsze sam fakt życia jako daru Boga – bez określenia konkretnego kształtu i jakości tego życia. Po drugie zaś, pociechą jest świadomość „odwiecznych wyroków Boga” – tj. świadomość absolutnej perspektywy, horyzontu, na tle którego przeżywamy swoją codzienność.

Komplementarną perspektywę odnajdujemy w księgach mądrościowych, w których to właśnie o mądrości mówi się jako o źródle autentycznej pociechy: „Postanowiłem więc wziąć ją [mądrość] za towarzyszkę życia, wiedząc, że mi będzie doradczynią w dobrem, a w troskach i w smutku pociechą” (Mdr 8, 9). Mądrość w tym nurcie religii Izraela jest darem Boga, który po pierwsze łączy człowieka ze Stwórcą, a po drugie pozwala na trafną ocenę prawdziwej wartości rzeczy i spraw ziemskich.

Można zatem powiedzieć, że w religii Izraela pociecha, jaką niesie wiara, odwraca uwagę od naszego małego „ja”, bierze się z otwarcia nieskończonej, boskiej perspektywy.

Warto jednak mieć świadomość, że perspektywa ta nie jest – także dla wierzącego – jasna i wyraźna. Doskonale widać to w tekście, który choć pochodzi już z Nowego Testamentu, bardzo mocno jest osadzony w mistycznej tradycji biblijnego Izraela – w Liście do Hebrajczyków. Czytamy w nim takie słowa: „Dlatego Bóg, pragnąc okazać ponad wszelką miarę dziećcom obietnicy niezmienną swego postanowienia, wzmocnił je przysięgą, abyśmy przez dwie rzeczy niezmiennie, co do których niemożliwe jest, by skłamał Bóg,

Mistrz Eckhart zauważa, że często robimy z Boga świecę,

przy pomocy której szukamy
różnych rzeczy,
a gdy je odnajdujemy, świecę
wyrzucamy. Ostatecznie
zostajemy z niczym.

mieli trwałą pociechę, my, którzyśmy się uciekli do uchwycenia zaofiarowanej nadziei. Trzymajmy się jej jako bezpiecznej i silnej kotwicy duszy, [kotwicy], która przenika poza zasłonę, gdzie Jezus poprzednik wszedł za nas, stawszy się arcykapłanem na wieki na wzór Melchizedeka” (Hbr 6, 17-20).

Tekst Listu do Hebrajczyków ma wiele aspektów znaczeniowych. Dla nas ważne jest tu, że źródłem pociechy jest niezmienną Bożych obietnic (czyli tego, co psalmista nazywa „odwiecznymi wyrokami”). Bardzo istotny jest także obraz Jezusa, który „wszedł za zasłonę”, za którą przenikać ma nasza nadzieja. W kontekście mistycznej tradycji Izraela tamtego czasu obraz ten wyraża duchowe poszukiwanie, które z jednej strony realnie wiąże nas z Bogiem (przenika za zasłonę), ale pozostaje poszukiwaniem w ciemności wiary pozbawionej jasnej i wyraźnej wizji (zasłona nadal istnieje).

Jeśli zaś chcemy dobrze zrozumieć św. Pawła, gdy pisał o „Bogu wszelkiej pociechy”, warto mieć na uwadze, że użyte tu przez niego słowo *paraklesis* ma znaczenie szersze niż tylko polskie „pociecha” – oznacza też wezwanie i zachętę. Pociecha dana nam od Boga nie jest więc tylko poprawą samopoczucia, ale wyrwaniem z marazmu i wezwaniem do działania. Bóg

pocieszając dodaje nam siły. Nic dziwnego zatem, że św. Paweł bezpośrednio łączy doznanie pociechy od Boga i przekazywanie jej dalej innym ludziom.

Istotne w myśli Pawła jest też stwierdzenie, że takiej doznajemy pociechy, jak obfitują w nas cierpienia Chrystusa. Korzeniem cierpienia Chrystusa jest bowiem jego miłosierdzie, współczucie i ofiarowanie swojego własnego życia za innych. W Ewangeliach czytamy zaś, że Jezus wzywa uczniów do naśladowania swojej postawy: „Jeśli ktoś chce zachować swoją duszę/zycie/ją, ten je straci. Kto straci swoje życie z powodu mnie i Ewangelii, ten je zachowa” (Mk 8, 35).

Pociecha bezinteresowności

Teksty biblijne mówiące o pocieszeniu, jakie niesie wiara, nie przeczą zatem intuicji mistyków, którzy wskazywali, że dojrzała postawa religijna – wiara autentyczna – pozbawiona jest egocentrycznej interesowności, w tym poszukiwania pociechy dla siebie. Nauczanie natchnionych Pism wiąże bowiem boską pociechę z przyjęciem perspektywy „wieczności”, tj. spoglądaniem na rzeczywistość, w tym na własne życie, z wszelkimi jego trudnościami i ciemnymi stronami, na tle ostatecznego horyzontu.

Pisma nie mówią także, że horyzont ten jest w jasny i wyraźny sposób poznawalny, ani że jego uwzględnienie likwiduje poczucie niezrozumiałości czy nawet absurdalności wielu zdarzeń, które nas spotykają i wzbudzają w nas niepokój, lęk czy smutek. Wiara jest raczej poszukiwaniem, ciemnym przecuciem, że istnieje nieskończona Przestrzeń „za zasłoną”, przecuciem relatywizującym nasze własne cierpienie, wyzwalającym nas z zasklepienia w ego i wzywającym do wysiłku niesienia światła i nadziei innym cierpiącym istotom, które spotykamy na swojej życiowej drodze.

Jeśli zatem myśl o Bogu ma nieść pociechę, o której piszą autorzy natchnieni, to tylko pod warunkiem niezwykle jasno sformułowanym przez przywołaną już Simone Weil: „Kto nie wyrzeka się wszystkiego bez wyjątku w chwili, gdy myśli o Bogu, nadaje imię Boga jednemu ze swoich bożyszcz”. Kto nie wyrzeka się pragnienia osobistej pociechy, myśląc o Bogu spotyka się jedynie ze swoim bożkiem. Kto nie pragnie niczego dla siebie, ten spoczywa w pokoju Bożym.

© PIOTR SIKORA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygn. I Ns 890/17, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Waldemarze Szczepanie Grabcu, zm. 14 marca 2017 r. w Cegłowie, ostatnio stale zamieszkałym w Dębem Wielkim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

SZYMON

Hołownia: Wiatr i flauta



IM DŁUŻEJ (CO Z PEWNOŚCIĄ NIE ZNACZY, ŻE mądrzej i lepiej) idę drogą chrześcijaństwa, tym silniejsze mam przekonanie, że w DNA naszej wiary i religii zapisana jest niewielka wspólnota, „mała trzódka”. Że chrześcijaństwo jest jakby pod nią skrojone, że ono naj-

lepiej i najpełniej w niej właśnie się sprawdza, najjaśniej świeci, najsensowniej działa. Gdy Kościół rozumiany jako zebranie ludzi dzielących tę samą wiarę, nadzieję i miłość wykracza poza skalę rodziny (nawet tej w rozumieniu bliskowschodnim, afrykańskim czy latynoskim, gdzie zalicza się do niej czasem i kilkadziesiąt osób), gdy nieuchronnie (bo przy takiej skali to naprawdę jest nieuchronne) zaczyna nosić cechy instytucji, formalizuje kwestie zarządzania, staje się społeczną siłą jako reprezentant zbioru osób mających przecież także inne identyfikacje (obywatele, profesjonalisci, rodzice, klienci), to traci zwinność, ciekawość, żywotność, radykalizm.

To oczywiście nie jest tak, że każda mała chrześcijańska wspólnota z definicji jest idealna, a każdy Kościół „narodowy” to siedlisko problemów. Proszę jednak sprawdzić, czy nie jest tak, że wielu z nas, jeśli tylko spojrzy na rzecz uczciwie, bez uprzedzeń – może bez trudu wymienić co najmniej paru księży, paru biskupów, paru katolików, z którymi jest im w Polsce zwyczajnie po drodze, z którymi byłoby w stanie w ową drogę ruszyć. Przystawmy teraz ostrość obiektywu, zerknijmy na poziom: „Kościół polski”. Czy tylko u mnie coraz częściej skojarzeniem z tą frazą jest pojęcie „bezsilność”?

Słucham, co przewodniczący Episkopatu mówi o filmie „Kler”. Co metropolita gdański plecie w sprawie księdza Jan-kowskiego. Patrzę na „ogarnianie” kryzysu związanego z przypadkami pedofilii wśród duchownych, prowadzone według metod zarządzania kryzysem żywcem przeniesionych z cesarskich dworów XVII wieku. Na tolerowanie toruńskiej hiperpatologii. Na mikry potencjał ewangelizacyjny kolegialnego nauczania (którego wyrazem są listy pasterskie, za które nie przestaję dziękować, gdyż jako wiecznie niedospany młody ojciec ożłocę każdą szansę na drzemkę). Na konsekwentnie pogłębianą nieumiejętność mentalnego odpeprowienia się od polskiej polityki i albo jawne się z nią „mizianie”, albo krytykowanie w tak zawołowanej i ezopowej formie, że konia z rżędem temu, kto trafnie odczyta treść przekazu.

Kiedyś bym się na to wszystko złościł, apelowałem, pisałem listy, umawiał się, by prywatnie coś podszeptać. Dziś mam ochotę po prostu machnąć ręką. Jestem za stary, by spędzać życie na wiecznym tłumaczeniu ojca, któremu zawsze przy świątecznym stole (podczas pasterki czy rezurekcji) – gdy z mocy kalendarza ma zdecydowanie większą publikę i związane z tym bąbelki uderzą mu do głowy – uleje się coś takiego, że nie wiadomo, gdzie czy podziąć.

I niby dlaczego właściwie powinienem to robić, skoro w diecezjach, w których żyję i pracuję (obu warszawskich) ów ojciec akurat takich rzeczy nie gada? Jak pisałem – znam przecież wspaniałych biskupów, dlaczego nie mam mieć prawa powiedzieć pozostałym: „Dziękuję, nie dotyczy mnie to, idę swoją drogą”? Czy naprawdę z faktu bycia praktykującym członkiem Kościoła wynika dla mnie konieczność automatycznego żyrowania każdej publicystycznej bzdury każdego polskiego księdza czy biskupa (że o świeckich nie wspomnę)?

Ten paraliż i jałowość, których doświadczam na szczęble Kościoła krajowego, stale widzę jednak nie jako czynnik depresyjny, a wspaniałą szansę na przemyślenie swojego miejsca w tej rodzinie. Bo skoro nie tam, to przecież gdzieś indziej. Bo jeśli obumiera od góry, to pewnie odżywać zaczęło na dole? Odżywa. Organiczna robota: rekolekcje, grupy zadaniowe, świetnie prowadzone parafie – widzę to na własne oczy, jeżdżąc w tę i z powrotem po kraju. To nie jest większość, to mniejszość, ale to tam jest dziś Kościół polski, tam trzeba go szukać.

Dzięki projektowi ambulatorium psychologicznego w mieście Hangzhou, którego powstanie wspierała i które współfinansuje moja fundacja, przyglądam się też od jakiegoś czasu Kościołowi katolickiemu w Chinach. Próbuję zrozumieć, co daje tym ludziom napęd, by przynależać do mikrej mniejszości, której istnienie nie jest tu niczym oczywistym dla nikogo. Dlaczego chcą być Kościołem, choć to kosztuje dużo więcej niż u nas.

Katolicy stanowią około 1 proc. chińskiego społeczeństwa (co oznacza, że jest ich połowę mniej niż nas, polskich katolików), a mimo to niektórzy z nich też potrafili w swoim gronie poczuć się już ustabilizowaną formalnie i finansowo większością (od jednego z moich znajomych usłyszałem kiedyś coś, co jakże znajomo zabrzmiało w moich uszach: „nasi księża głoszą trzy prawdy: swoją wiedzę, swoją władzę oraz swoje plotki”). Też mają jednak wewnątrz siebie ową mniejszość, o którą zawsze chodzi, Kościół, który czuje w żaglach wiatr czystej Ewangelii. Przy trwającym cztery godziny ciastku i herbacie w jakiejś miejscowej kawiarni z ogniem w oczach opowiadają mi więc o Jezusie, który kazał wspólnocie szukać zagubionej owcy – ale nie jak straconej własności. Opowiadają o Jezusie, który kazał pomyśleć: „A jak byś jej szukał, gdyby to było twoje dziecko?”. O tym, jak wspaniała lekcja rozwiązywania kłopotów społecznych daje Pan, gdy przyprowadzają doń kobietę pochwyconą na cudzołóstwie, a on wycisza ich krzyki, agresję i osady, przenosząc swoim dziwnym wycofaniem ich uwagę z nich samych na Siebie. Robiąc im miejsce, nie atakując, pozwala im wrócić do siebie samych.

Słuchając ich przy tej chińskiej herbacie wiem, że jestem w domu. ©

Przed Sądem Rejonowym w Słubicach, pod sygn. I Ns 184/18, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Ryszardzie Karolu Skórcie, zm. 11 czerwca 2002 r., ostatnio stale zamieszkałym w Słubicach. W skład spadku wchodzi udział w Przedsiębiorstwie Usług Komunalnych sp. z o.o. w Słubicach.

Sąd wzywa, aby wszyscy spadkobiercy zgłosili się i udowodnili nabycie spadku w ciągu 3 miesięcy od dnia ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE

POŻEGNANIE



Biskup Tadeusz Pieronek, 2016 r.

KSIĄDZ OD BRZDĄCA

Pytany o cudowne uzdrowienia, mówił: „Palicho, że komuś odrosła wątroba. Przecież każdy i tak skończy w trumnie. O wiele ważniejsze jest przeżyć życie z sensem”.

MAREK ZAJĄC

NIE BYŁ BŁYSKOTLIWYM ERUDYTĄ JAK ŻYCIŃSKI. NIE NAWIĄZYWAŁ serdecznego kontaktu tak łatwo jak Chrapek. Nie głosił poruszających homilii jak Pietraszko. Nie był zręcznym mediatorem jak Gocłowski. Nie emanował duchowością jak Macharski.

A jednak po śmierci biskupa Tadeusza Pieronka wielu ludzi odczuwa stratę, którą polskiemu Kościołowi trudno będzie wypełnić. Na czym polegał jego fenomen?

Bez wątpliwości

Pochodził z pokolenia ludzi o żelaznym charakterze, doświadczonych przez los i historię. Klasyczny genotyp górala spod Żywca. Takie też były jego wiara i język: szczere, twarde i nieoheblowane.

Miał ośmioro rodzeństwa. Jesienią 1940 r. tuż przed wysiedleniem rodziny przez Niemców z rodzinnych Radziechów ojciec zdołał wysłać Tadeusza razem z bratem do wuja – proboszcza

w Kętach. Stamtąd widać było smolisty dym i czuło się słodkawych zapach ciał palonych w krematoriach Auschwitz-Birkenau. Rodzina Pieronków połączyła się ponownie dopiero po wkroczeniu Sowietów. Po kilku latach rozłąki siostry mówiły do 11-letniego Tadeusza per „wujku”.

Księdzem chciał być od brzdąca. Nigdy się nie zakochał i nie miał poważniejszych wątpliwości w wierze. Bez rozdzierających serce wahań, ale i bez mistycznych uniesień duszy po maturze poszedł do krakowskiego seminarium.

Był rok 1951. Szczyt stalinizmu, gdy nikt nie zakładał koloratki w nadziei na dostatnie życie na plebanii czy karierę „w fiolektach”. Teologię studiował jeszcze w murach UJ, ale po trzech latach komuniści wyrzucili kleryków z uczelni. Sam Pieronek miał aż trzy razy wylecieć z seminarium – za przewinienia tak ciężkie jak nadmuchiwanie i wystrzał celofanową torbą podczas odczytywania żywotów świętych męczenników, podpalenie włosów kolegi przy pomocy słońca i szkła powiększającego oraz ściągnięcie sutanny do gry w piłkę.

Samo życie

Jeszcze przed święceniami wezwał go na rozmowę bp Franciszek Jop. Trwała trzy minuty i zaważyła na jego dalszym życiu.

Hierarcha nie owijał w bawełnę: „Wiem, że interesujesz się historią, ale w archidiecezji potrzebujemy prawników”. Następnie poinformował kleryka, że jutro o świcie wsiądzie w pociąg i zapisze się na Wydział Prawa Kanonicznego KUL. Kiedy po latach pytałem, czy nie miał żalu do przełożonych – biskup Pieronek autentycznie się zdziwił: „Co miałem mówić? Powiedziałem, że dziękuję, że bardzo chętnie itd. Wziąłem pieniądze na bilet i pojechałem”.

Został znakomitym prawnikiem i profesorem, którego studenci cenili za łączenie teorii z przykładami wziętymi z życia. To już jednak zasługa jego późniejszych studiów w Rzymie. A przede wszystkim praktyk, które młodemu księdzu z doktoratem zapewniła Rota Rzymska, najwyższy trybunał Kościoła. Tam wgrzyzał się w konkretne *causae matrimoniales* – opowiadając potem o nieprawdopodobnych przypadkach, w które trudno byłoby uwierzyć, gdyby nie napisało ich życie. Jak porwania narzeczonych na Sycylii bądź kazuś, czy małżeństwo należy uznać za ważne zawarte, skoro po ślubie okazało się, że kobieta ma sztuczną waginę. Albo miłość zainicjowana korespondencyjnie i zakończona ślubem z... mężczyzną podstawionym w miejsce faktycznego autora płomiennych epistoł.

Taki właśnie był: bliski życia i twardo stąpający po ziemi. Dlatego jego głos tak mocno odznaczał się na tle wypowiedzi części hierarchów Kościoła – oderwanych od realiów i uciekających w słodkie i kwieciste, ale puste i martwe formuły. Biskup Pieronek był żywym dowodem na to, że Kościół nie musi być formą dworskiego teatru. Że Kościół jest normalny.

„Trudno. Pójdiesz”

Nie upiększał rzeczywistości i nie pisał hagiograficznych legend. Przekonany był o świętości Karola Wojtyły (należał do grona bliskich współpracowników przyszłego papieża). Ale

przyznawał, że pierwszego ich spotkania nie pamięta, i że jako kleryk nie był pod szczególnym wrażeniem profesora Wojtyły. Paradoksalnie ich relacje zintensyfikowały się dopiero poza Krakowem w trakcie Soboru Watykańskiego II. To z tamtego czasu pochodzą kapitalne fotografie, ukazujące abp. Wojtyłę często w prywatnych sytuacjach, które zrobił zapalony amator fotografii – ks. Tadeusz Pieronek. Podczas podróży metropolity krakowskiego do Włoch stał się jego nieformalnym sekretarzem.

Do dziś krąży anegdota o bezskutecznych poszukiwaniach przez ks. Pieronka tradycyjnych krwistoczerwonych skarpetek dla abp. Wojtyły przed jego pierwszym kardynalskim konsystorzem. Nieraz dawał też o sobie znać Pieronkowy charakter. „Ja się do seminarium nie nadaję” – oświadczył, kiedy z woli metropolity miał zostać prefektem. W odpowiedzi usłyszał: „To trudno. Pójdiesz i będziesz się kłócił z rektorem”. Faktycznie nie była to długa ani udana przygoda, a nieustanne spory ks. Pieronka z rektorem rozbiły się o kwestie tak fundamentalne jak ilość papieru toaletowego w ubikacjach, cenzurowanie kleryckich kabaretów i zainstalowanie elektrycznych bojlerów w miejsce pieców na węgiel. O wiele lepszym pomysłem była jego nominacja na sekretarza zainaugurowanego w 1972 r. Duszpasterskiego Synodu Archidiecezji Krakowskiej, którego celem było upowszechnienie nauczania Soboru Watykańskiego II.

Jeszcze popularniejsza stała się historia rozkolportowana przez ks. Józefa Tischnera. Było to w latach 70. Namawiając kard. Wojtyłę do ostrzejszego działania w sporze między urzędem prymasowskim a Papieskim Wydziałem Teologicznym w Krakowie (późniejszą Papieską Akademią Teologiczną), ks. Pieronek nalegał: „Ksiądz Kardynał musi to zrobić”. Metropolita oponował: „Nie mogę”. „Ależ może Ksiądz Kardynał” – niestrudzenie naciskał ks. Pieronek, aż w końcu kard. Wojtyła zdjął z szyi pectorał i wypalił: „Masz i rządz”. Pytany po latach o to wydarzenie, bp Pieronek odpowiadał, że sytuacji wprawdzie nie pamięta, ale nie wyklucza.

Ani z nami, ani przeciw nam

Biskup Pieronek należał do szczególnego Wojtyłowego pokolenia w Kościele. To kategoria ludzi ukształtowanych przez papieża i łączących ogień z wodą: otwarcie na dialog ze światem z absolutną wiernością tradycyjnemu nauczaniu Kościoła. To dlatego nawet po jego śmierci publicyści mieli problem z zasznuflowaniem biskupa: niby przedstawiciel Kościoła otwartego, ale co zrobić z jego ostrymi wypowiedziami o aborcji czy *in vitro*? Niby zdeklarowany krytyk upolitycznienia Kościoła, ale zarazem architekt konkordatu.

Czy nam się to podoba, czy nie – wraz z bp. Pieronkiem symbolicznie znika kolejny filar ustrojowego, społecznego i mentalnego konstruktu, jakim była III Rzeczpospolita. Był zwolennikiem państwa neutralnego światopoglądowo przy jednoczesnym tzw. przyjaznym rozdziale Kościoła od państwa z szerokim polem współpracy dla dobra wspólnego.

→

→ Oczywiście błędem byłoby widzieć w biskupie Pieronku wyłącznie człowieka środka i łagodnego kompromisu. Miał taką naturę, że zamiast dzielić włos na czworo – wołał za jednym zamachem przeciąć węzeł. I czasem ciął na ślepo. Ale potrafił szczerze przeprosić, co w naszym kraju zdaje się obyczajem prehistorycznym. Przeprosił i ks. Henryka Jankowskiego za słowa, że w jego przypadku potrzeba psychiatry, i lewicową polityk Izabelę Jarugę-Nowacką – po tym, gdy stwierdził, że to „feministyczny beton, który się nie zmieni nawet pod wpływem kwasu solnego”.

Siebie traktował z dystansem. Zdawał sobie sprawę z własnych ułomności. Mówił: „Staram się – choć nie zawsze się to udaje – atakować poglądy, a nie ludzi. Sam popełniam tyle błędów, że pewnie pójdę za nie smolić się do piekła, ale intencje mam dobre. Dlatego wołałbym słyszeć, że mówię głupoty, niż dowiadywać się, że sam jestem głupi”. Nieraz się zagalopował, ale nigdy o świecie i sobie samym nie myślał w kategoriach czarno-białych.

Żenująca dyskusja, która rozgorzała po jego śmierci – czy Tadeusza Pieronka przystoi oświeconemu człowiekowi wspominać z wdzięcznością – wiele mówi nie tyle o biskupie, ile o Polsce roku 2019. Ktokolwiek nie mieści się w plemiennym podziale; ktokolwiek nie jest w stu procentach z nami – od razu musi być przeciwko nam. Nie potrafimy pogodzić się z faktem, że w życiu każdego obok zasług czają się słabości. Obok słów mądrych i doniosłych wybrzmiewają też nieprzemyślane i bolesne.

Kto kala gniazdo

W Episkopacie uchodził za wolny elektron, biskupa bez ziemi i wolnego strzelca. Wprawdzie w 1992 r. został biskupem pomocniczym w Sosnowcu, ale nie zaangażował się w życie diecezjalne. Przez pięć lat na stanowisku sekretarza generalnego Konferencji Episkopatu Polski wprowadził nową jakość w kontaktach z mediami. W czasach, gdy wielu biskupów już samą rozmowę z dziennikarzami uważało za wykluczoną – wypowiadał się często, soczyście i precyzyjnie. Nie dzielił redakcji na lepsze i gorsze.

Kiedy w 2004 r. oddałem biskupowi spisany i zredagowany wywiad rzekę, grubo ponad trzysta stron, po kilku dniach zadzwonił: „Niestety musimy się spotkać. Mam sporo poprawek”. Do jego mieszkania na Wawelu szedłem jak na ścięgno. W rozmowie sporo było mocnych fragmentów i oczami wyobraźni widziałem już typową kościelną autoryzację, która drzewo obcina do zapalki. Co gorsza – biskup już na wstępie zaczął się krygować, że tyle skreślił. Zmian było... pięć czy sześć. Kosmetycznych.

Najpotężniejsze echo wzbudził fragment, w którym opisywał, jak podczas obrad Episkopatu wytupuje się bądź buczy na niektórych biskupów. Podczas spotkania w Lublinie jeden z księży wstał i zapytał, wijąc się w grzecznościach, czy jednak bp Pieronek nie obawia się, że zostanie posądzony o kalanie własnego gniazda. Zapadła cisza. Tymczasem biskup ze spokojem zapytał: „Kto kala własne gniazdo: ci, którzy tupią – czy ja, który o tym mówię?”.

Za szczerość płacił wysoką cenę. Podczas obrad Episkopatu pod jego adresem regularnie padały oskarżenia, ale nikt publicznie nie występował w jego obronie. Powoli zniknął z kolejnych eksponowanych stanowisk. Listy, w których nazywany był „heretykiem”, „zdrajcą” albo „żydowskim agentem” – palił w kominku, wypowiadając w myślach zdrowaśkę za anonimowego nadawcę. Kiedy spytałem, czy czasem to wszystko nie wydaje się zbyt ciężkie – odpowiedział: „Nie po to mnie zrobili biskupem, żebym się bał”.

I tego będzie szczególnie boleśnie brakowało. Jeżeli spojrzymy na kryzysy, które w ostatnich latach dotykały nasz Kościół – zawsze wśród przyczyn odnajdziemy lęk. Lęk przed prawdą, przed nazwaniem rzeczy po imieniu, przed przyznaniem się do błędu, przed zdecydowaną reakcją, przed narażeniem się pobożnym kabotynom albo przed wzięciem odpowiedzialności. Odwaga

to w naszym Kościele cnota reglamentowana. Bez biskupa Pieronka stanie się towarem jeszcze rzadszym.

Odwaga to w naszym Kościele cnota reglamentowana.

Bez biskupa Pieronka
stanie się towarem
jeszcze rzadszym.

Nadzieja w niebie

W powodzi tekstów o nim umyka jedna, za to najważniejsza sprawa. Przez całe życie starał się o zbawienie. Porównywał się do młodzieńca z Ewangelii, który wprowadził przestrzegał przykazań, ale nie potrafił sprzedać wszystkiego, co ma, i rozdać ubogim, żeby wolny iść za Jezusem.

Z autoironią biskup dodawał, że jego przypadek wydaje się nawet poważniejszy, bo z przykazaniami też nie jest różowo.

Jednocześnie powtarzał: „Całym swym sercem ufam Bogu. Przecież Pan Bóg nie jest myśliwym, który chce ustrzelić człowieka, ale otwiera dla nas szeroko bramy. Dlaczego miałbym tam nie wejść?”.

Zbierał kawały, które krążyły na jego temat – wymyślane zarówno przez złośliwców, jak i przyjaciół. Czasem, jak na barwną postać przystało, biskupa Pieronka dopasowywano do istniejących już dykteryjek. Jeden z dowcipów warto na tych łamach przytoczyć raz jeszcze.

Pewnego dnia biskup, który przez lata sam sobie gotował, był bardzo chory. Zadzwonił do mnie i poprosił o przyniesienie zakupów. Drzwi otworzył błady jak ściana, z oczami błyszczącymi gorączką. Ale już na progu zawołał: „Słyszał pan najnowszy kawał o mnie? No więc umarłem i poszedłem do nieba...”.

...brama się uchyla, św. Piotr wystawia głowę i pyta: „Kto tam?”. „Jestem biskup Pieronek i przyszedłem do nieba”. „Biskupów tu nie przyjmujemy”. Brama z hukiem się zatrząskuje, biskup obraca się i chce wracać, skąd przyszedł. Ale św. Piotr znowu się wychyla: „Zaraz, zaraz – jak?”. „Biskup Tadeusz Pieronek”. „Aaa... Pieronek... Właz, jaki tam z ciebie biskup!”.

Śmiał się z tych kawałów. Powtarzał, że pocieszające jest jedno: w większości akcja z jego udziałem rozgrywa się w niebie. Mówił to pół żartem, ale i pół serio. Z nadzieją.

© MAREK ZAJĄC

AUTOR był dziennikarzem „Tygodnika Powszechnego”, jest doradcą ds. mediów i dyrektorem kanału telewizyjnego Polsat Rodzina. W 2004 r. opublikował „Kościół bez znieczulenia” – wywiad rzekę z bp. Tadeuszem Pieronkiem.



ARCHIWUM RODZINNE BP. TADEUSZA PIERONKA

Ks. Tadeusz Pieronek na skuterze w Monte Carlo, lata 60. XX w.

Na drogach do Unii

ARTUR SPORNIAK

Trudno znaleźć biskupa bardziej aktywnego w staraniach, by Polska stała się częścią zjednoczonej Europy.

CZĘSTO PADA PYTANIE, DLACZEGO TUŻ przed referendum biskupi jednoznacznie nie wezwali wiernych do głosowania za integracją [z Unią Europejską]. Odpowiedź jest prosta: mieli różne zdania. Ostateczne stanowisko było wynikiem kompromisu – pisał bp Tadeusz Pieronek na tych łamach w artykule „Mroczny mit »katolandu«”. Pieronek należał do zwolenników integracji. Gdy przejrzy się

wypowiedzi biskupów w tamtym czasie o Unii Europejskiej, to on dźmierzy prym.

Episkopat był początkowo ostrożny. Biskupi bali się, że Polska straci narodową tożsamość, a Unia będzie wymuszać prawo sprzeczne z moralnością. Sytuacja zmieniła się w listopadzie 1997 r., po wizycie delegacji Episkopatu w Brukseli. „Nie przypuszczałem, że znajdziemy tam tak interesujących rozmówców”

– przyznawał abp Damian Zimoń. „Spotkanie brukselskie rozwiało wiele mitów – komentował bp Pieronek. – Z rozmów przeprowadzonych w Brukseli jasno wynika, że Unia bardzo troszczy się o zachowanie tożsamości narodowej, kulturowej i religijnej każdego z członków”. W 1999 r. przemawiając w Sejmie Jan Paweł II użył słynnego sformułowania: „Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej”.

Pieronek zdawał sobie sprawę, że sprawa nie jest jeszcze przesądzona. Dlatego zaangażował się w nową inicjatywę, gdy w 2000 r. dwóch działaczy katolickich związanych z wydawnictwem Wokół Nas – Rafał Budnik i Michał Góra – przyszło do niego jako do rektora Papieskiej Akademii Teologicznej z pomysłem organizowania corocznych konferencji pokazujących, że Kościołowi zależy na Unii Europejskiej.

– Powiedział: „Zgoda, ale najpierw musimy uzyskać błogosławieństwo od kardynała Macharskiego” – opowiada Budnik. – Powiedzieliśmy, że skontaktujemy się w następnym tygodniu. Pieronek na to: „Dlaczego tak późno? Zadzwońcie za dwie godziny!”.

Pierwsza konferencja „Rola Kościoła katolickiego w procesie integracji europejskiej” odbyła się we wrześniu 2001 r. w Krakowie. Przyjechali hierarchowie z Włoch, Węgier, Czech i Watykanu. Gdy w następnym roku organizację i dofinansowanie wspomogły Fundacje Adenauera i Schumana, spotkania nabrały rozmachu.

– Nazwisko Pieronka otwierało w instytucjach unijnych każde drzwi – mówi Budnik. – Choć sam miał wyraźne poglądy i umiał ich bronić, rozmawiał z każdym: i z prawa, i z lewa. Dlatego gościliśmy polityków z wszystkich opcji.

Do Krakowa zaczęli przyjeżdżać nie tylko dostojnicy watykańscy, ale też wybitni teolodzy czy intelektualści, jak kard. Walter Kasper czy Rocco Buttiglione, a z Polski znienawidzony przez „prawą stronę” Kościoła Adam Michnik czy feministka prof. Inga Iwasiów. Konferencje stały się oczkiem w głowie biskupa.

Rafał Budnik: – Na 21 stycznia z bp. Pieronkiem byliśmy w Brukseli umówieni z partnerami, by omówić tegoroczną konferencję. Ma ona już swoją datę – 10-12 października – i swój tytuł: „Nowa Europa”. Na moim biurku leży jego bilet.

Czy coś się zmieni? Na pewno funkcja bp. Tadeusza Pieronka – z głównego organizatora konferencji stanie się on głównym jej patronem. ©P

Alfabet Pieronka

■ AKTYWNOŚĆ MEDIALNA

Jezus spotykał się, jadł i pił nawet z celnikami i nierządnicami. Dlaczego biskup miałby unikać dziennikarzy?

Staram się podjąć dialog z tym światem, który żyje poza Kościołem. Zgoda, że nie zawsze jest on udany, z pewnością daleki od ideału, ale przynajmniej zawsze podyktowany przekonaniem, że moje słowa są potrzebne, mogą coś wyjaśnić.

■ BISKUPI POLSCY

Kiedyś, po wyborze jednego z biskupów mówiło się, że Duch Święty-gołębicą latał, latał, aż się zmęczył i przysiadł... na sztafecie.

Biskupi czują się tak utwierdzeni na swoich tronach, że wizja Kościoła soborowego nie jest im potrzebna. (...) Trzeba bić

na alarm: biskupstwa to w Polsce dwory. A dwór i służba to fałszywa wizja Kościoła.

Gdy sam zostałem biskupem, podszedł do mnie jeden z kolegów, który po swojej konsekracji nie chciał, żebym zwracał się do niego per „ty”. Powiedział: „No, Tadeusz, myślę, że znów możemy do siebie mówić jak dawniej”. Grzecznie mu odmówiłem.

■ BOGACTWO

Często słyszę pytanie, czy chrześcijanin może być bogaty. Zawsze odpowiadam: „Może, a nawet powinien”. Bóg stworzył dobra tego świata, żeby z nich korzystać. Sedno sprawy polega na stosunku do bogactwa: „Do bogactw, choćby rosły, serc nie przywiązujcie” (Ps 62).

■ CELIBAT

Jeżeli Kościół przez tyle wieków korzystał z celibatu, który przynosił dobre owoce, nie wiem, z jakiego powodu mielibyśmy teraz obniżyć loty. Żeby pomnożyć liczbę kapłanów? Zapewniam, że do brzy księża nie rodzą się tam, gdzie nie ma wymagań.

■ KAPŁAŃSTWO

Ludzie chcą kapłana, który przez łączność z Bogiem zachowuje w sobie unikający świat wewnętrzny, na tyle odrębny i pojemny, aby można było w nim dostrzec choćby słaby refleks rzeczywistości nadprzyrodzonej. Ksiądz jest łącznikiem między ludźmi a Stwórcą.

■ KAROL WOJTYŁA

Kontynuował styl kard. Sapiehy. Dom biskupi był domem otwartym dla wszystkich: każdy mógł wejść, porozmawiać, a jak tylko nadarzyła się okazja, proszono na obiad czy kolację. Ta wspólnota stołu stwarzała atmosferę zaufania.

Jego pontyfikat nie polegał na biernym posługiwaniu się soborowymi cytatami. To była ich aplikacja do konkretnych przypadków. (...) W ten sposób Jan

Jego pasja do fotografowania była tak duża, że fotoreporterzy uznawali go wręcz za kolegę po fachu. Podczas Soboru Watykańskiego II w obiektywie ks. Tadeusza Pieronka często występował bp Karol Wojtyła (na zdjęciu poniżej z kard. Stefanem Wyszyńskim). Fotografie na s. 43–45 pochodzą z książki Szymona J. Wróbla „Ojciec, czyli o Pieronku”.



Paweł II wyznaczył kierunek, który może doprowadzić do celu za 100 czy 200 lat.

■ KONSTYTUCJA Z 1997 R.

Na świecie nie ma doskonałej konstytucji. Nasza działa nieźle. Wprowadziła wiele ważnych zapisów i instytucji, jak choćby Trybunał Konstytucyjny, który kontroluje nieodpowiedzialne wybryki Sejmu albo rządu. Na pewno przyniosła więcej dobrego niż złego, także Kościołowi.

■ KOŚCIÓŁ W POLSCE

Kochamy się w wielkich liczbach: nie raz słyszę informację, że w Częstochowie na mszy św. były dwa miliony wiernych, choć wiadomo, że plac pod sanktuarium nie mieści więcej niż 300 tys. (...) To ślepa uliczka: siła Kościoła nie tkwi w statystykach, ale w Jezusie Chrystusie i autentycznie chrześcijańskim życiu wiernych.

Świat jest po to, żeby go uświęcać i żeby się w nim uświęcić. Nie można się na niego zamknąć, trzeba z chrześcijańskim przesłaniem iść do takiego świata, jakim

jest. A nie warunkując, że jak świat się zmieni, to do niego pójdziemy.

■ KUCHNIA

Jezus nie nauczał: „Jeżeli chcesz być doskonały, jedz byle co”. (...) Wprawdzie nie wiemy, jakie dania serwowano Chrystusowi, ale podejrzewam, że Marta na pewno troszczyła się, żeby gościa przyjąć jak najgodniej.

■ MANDATY

Dwa, zresztą jedyne, jakie pamiętam, dostałem za przekroczenie ciągłej linii przy wyprzedzaniu. Jechałem, jechałem za ciężarówką i wreszcie nie wytrzymałem, wyprzedziłem... w sam raz pod nogi policjanta.

■ NIEBO

Wszystkich smaków życia zakosztujemy chyba dopiero po śmierci – i w tym cały paradoks. Wino wreszcie będzie miało idealny smak, miłość nie będzie potykać się o żadne słabości, muzyka doskonale wypełni naszą duszę.

■ POLITYKA

Jeśli przyjąć dewizę, że polityka musi być skuteczna, stałym jej narzędziem powinien być karabin. Prawdziwa polityka to nie wojna, ale dialog – przedstawianie racji, dogadywanie się, ustępowanie o kilka kroków w kwestiach niekorzystnych dla drugiego.

■ POPRAWNOŚĆ POLITYCZNA

W większości przypadków to słuszna zasada dobrego wychowania, ale czasem przybiera niestety formy narzucania kagańca na sprawy, które powinny być jasno przedstawione, a dyskusja o nich jest tłumiona.

■ PRAWA CZŁOWIEKA

Jak mocno wyrasta z Ewangelii szacunek dla godności każdego człowieka! Tymczasem Kościół przez wieki często nie przestrzegał, czasem nawet łamał tak fundamentalne i przyrodzone ludziom prawa. To smutne, że do życia publicznego przeniosła owe zasady Rewolucja Francuska, ruch krwawy i antyreligijny.

→



ARCHIWUM RODZINNE BP. TADEUSZA PIERONKA

➔ ■ RADIO MARYJA

Jeżeli wiara ma być pistoletem wymierzonym w innych, inaczej myślących – a tak się właśnie dzieje w rozgłosni o. Rydzyka – wówczas niewiele ma wspólnego z Ewangelią i Kościołem.

To jest punkt widzenia co prawda katolicki, ale bardzo ograniczony, zwłaszcza jeżeli chodzi o wykorzystywanie tego, co wniósł Sobór Watykański II; pobożność pewnie dobra, ale – jak to określił kiedyś abp Nycz – kapliczkowa.

■ RELACJE PAŃSTWO-KOŚCIÓŁ

Po 1989 r. Kościół poczuł siłę. Jego rola w odzyskaniu wolności była duża, a kiedy ktoś zwycięży, chce zebrać łupy. I to może nie byłoby takie groźne, gdyby się nie przekładało na politykę. Mnie uczono w seminarium prostej zasady: „Polityką księdza jest »Ojciec nasz«”.

■ SEKSUALNOŚĆ

Stwórca nadał ludzkiej płciowości sens i kierunek, uczynił wydarzeniem pięknym i uświęcającym, o ile człowiek postępuje zgodnie z Bożymi przykazaniami. (...) Życie intymne powinno być otoczone aurą tajemniczości – w tym sensie, że sfera seksualna jest zarezerwowana wyłącznie dla osoby najbliższej. Jeżeli się to *sacrum* szarga, wówczas z pięknej miłości robi się szmatę.

■ SEPARACJA

Małżeństwo bywa piekłem (...). Związku małżeńskiego bronimy ze względu na wartości, jakie niesie: miłość, oddanie, zaufanie, lojalność, wsparcie, możliwość zdrowego wychowania dzieci. Jeśli nie przynosi nam takich wartości, pozostaje separacja.

■ SOBÓR WATYKAŃSKI II

Po Soborze żaden katolik, jeśli chce pozostać wiernym nauce Kościoła, nie ma innego wyjścia: musi szanować inaczej wierzących. (...) Bóg zbawia człowieka we współpracy z jego wolną wolą, dlatego każdy akt religijny musi być absolutnie wolny. Musimy wyeliminować wszelki przymus w sprawach wiary.

■ UNIA EUROPEJSKA

Weszliśmy do Unii nie po to, żeby nałukać się chrześcijańskiego powietrza, ale po pierwsze, żeby jako katolicy dać świadectwo o Jezusie Chrystusie. Po drugie, bo należymy do europejskiego kręgu kulturo-

wego, do zachodniej cywilizacji – i musimy zająć tam należne nam miejsce.

Dziś w UE mamy zupełnie inny katalog praw człowieka [niż w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka ONZ], nieuznający niezmiennego prawa naturalnego, będący konstrukcją czysto ludzką. Prawem człowieka jest w nim już aborcja i wiele innych spraw, które dawniej leżały poza nieprzekraczalną granicą wynikającą z dekalogu.

■ USTAWA ABORCYNIA

Katolikowi nie może podobać się ustawa, która życie nienarodzonych chroni tylko częściowo – zresztą w tym przypadku nie chodzi wyłącznie o katolicyzm, ale o z gruntu humanistyczne przekonanie o nienaruszalności ludzkiego życia.

■ WARTOŚCI CHRZEŚCIJAŃSKIE

Myślę, że chrześcijaństwo ma już za sobą – dzięki Bogu – epokę ustawowych deklaracji. Dziś potrzebujemy aktywnego, codziennego świadectwa. Nie podpierajmy się prawem tam, gdzie nie musimy.

■ WYBORCZA AKCJA KATOLICKA

Biskupi, którzy zaproponowali wsparcie dla Akcji (...) byli przekonani, że Kościół dysponuje rządem dusz. (...) Fiasco nadziei związanych z Akcją sprawiło, że biskupi odstąpili od takich pomysłów, choć pokusa pozostała.

■ ŹŁE POJĘTA WOLNOŚĆ

Jeśli wolność oznacza, że można robić, co się komu żywnie podoba, to dlaczego nie pozwala się zabić drugiego, kiedy pojawia się taka chęć, dlaczego nie możnajechać ulicą pod prąd? Człowiek zaczął uważać siebie za źródło norm i efektem jest zasada, że nie jest zobowiązany do niczego. Dekalog odrzucono i zapanował etyczny chaos. Oto streszczenie współczesnej myśli.

©© Opracował MACIEJ MÜLLER

Wypowiedzi pochodzą z książki „Kościół bez znieczulenia. Z bp. Tadeuszem Pieronkiem rozmawia Marek Zajac”, Kraków 2004, oraz z materiałów publikowanych w „TP”: „Trzeba mieć osobowość”, „TP” 42/2003, „Mroczny mit »katolanduk«”, „TP” 21/2004, „Polski Episkopat po Janie Pawle II”, „TP” 42/2008, „Geografia Episkopatu”, „TP” 11/2009, „Zejście z piedestału”, „TP” 23/2011, „Na grzbiecie fali”, „TP” 39/2011.

Żegnaj, Tadeuszu

KS. ADAM BONIECKI

Oceniać kogoś to zawsze ryzyko. On często ryzykował, zwykle oceniał jednak trafnie – a to zainteresowani znoszą na ogół najgorzej.

POZNALIŚMY SIĘ CHYBA W 1965 R., PONAD 50 lat temu. Byłem wtedy duszpasterzem akademickim w kościele św. Anny w Krakowie, a ks. Tadeusz Pieronek, również związany z tym kościołem, odprawił tu mszę św. i przychodził na śniadanie. Naszym szefem był bp Jan Pietraszko. Byliśmy bardzo żytym zespołem, łącząca nas więc była bezpośrednia i swobodna.

Ta znajomość, a nawet – ośmielię się napisać – przyjaźń trwała do końca.

Bliski

Pamiętam, że postrzegałem go jako człowieka niezwykle przenikliwego, bardzo inteligentnie rozszyfrowującego rzeczywistość, a jednocześnie choleryka, którego czasem mogły rozżość drobne rzeczy. Był wtedy groźny. Wiedzieliśmy, że lepiej nie drażnić Pieronka. Biedna siostra zakrystianka czasem ostro od niego obrywała. Wybuchowy, ale niechowyjący urazy, człowiek pasji, przenikliwy, kompetentny, wykształcony, doskonale zorientowany w sprawach Kościoła. A przy tym miły współbrat czy – jak kto woli – kolega. Taki był Tadeusz Pieronek.

Nie pamiętam, żebym z nim przechodził na „ty”, i nie pamiętam, żebym z nim kiedykolwiek nie był na „ty”. Taki bliski człowiek. Zawsze zdolny do krytycznego zdania. Jak wiadomo, oceniać kogoś to zawsze ryzyko. On często w tej materii ryzykował. Zwykle oceniał jednak trafnie – a to zainteresowani znoszą na ogół najgorzej.

Nowy etap

Zanim został biskupem, był bliskim współpracownikiem kardynała Karola Wojtyły. Bardzo przez niego cenionym, co było widać szczególnie w długim okre-



W mieszkaniu na Wawelu, 2008 r.

sie przygotowań do Synodu Archidiecezji Krakowskiej. Potem Tadeusz został biskupem pomocniczym diecezji, w której właściwie nigdy nie pracował, bo jednocześnie wybrano go najpierw wicesekretarzem, a potem (od 1993 r.) sekretarzem Konferencji Episkopatu Polski, więc rezydował w Warszawie.

Był to nowy etap funkcjonowania Episkopatu w wolnej Polsce. Kościół nie był już przyczółkiem opozycji, nie był dłużej potrzebny jako ochronny „parasol”, ale jako partner. Czasem partner rozliczany bardzo twardo.

Kiedy upadł komunizm, odnosiło się wrażenie, że Kościół był tym zaskoczony. Zwłaszcza tym, że mimo zaangażowania po stronie opozycji i wspierania jej, nie jest doceniony, że mu się patrzy na ręce, wypomina różne sprawy, podejrzewa o chęć zagarnięcia władzy. Nagle podniosła się w Polsce fala antyklerykalizmu. Niektórzy eksponowani przedstawiciele Kościoła źle to znosili, wręcz mówili o „prześladowaniach Kościoła”.

Właśnie wtedy bp Pieronek został sekretarzem Episkopatu i jego rzecznikiem prasowym. Nie bał się krytyki, brutalnych ataków, odpierał je, polemizował. Miał poczucie humoru i cięty język. Owszem, czasem przeszarżował. Ale wtedy potrafił powiedzieć: „Przepraszam, ja się wtedy zapędziłem, za dużo powiedziałem”.

Kiedy powiedział straszne rzeczy o Izabeli Jarudze-Nowackiej, która też była ostra w stosunku do Kościoła. Jego słowa krążyły w mediach. Niedługo potem spotkałem go przypadkiem, kiedy siedł na spotkanie z jej udziałem. Powiedział, że idzie, by ją przeprosić.

Nie bał się

Miał dystans do siebie i poczucie humoru. Wiedział, dlaczego niektóre zachowania instytucji Kościoła prowokują dziennikarzy do ataków. Nie kłajstrował, nie zamykał trudnych spraw, ale nazywał je po imieniu, bardzo krytycznie. Nie był adwokatem Episkopatu, tylko jego rzecznikiem medialnym – to ważne rozróżnienie.

Pamiętam, że w czasie któregoś z posiedzeń wybuchła jakaś awantura wokół Kościoła. Nie wiem już, o co chodziło, ale żaden biskup nie chciał wyjść do dziennikarzy, którzy – to było w Częstochowie – cierpliwie czekali. Biskup Pieronek poszedł, wyjaśnił. Nie bał się dziennikarzy. Miał swoje zdanie, swoją wizję i nie martwił się o to, jak on sam wypadnie. Posiedzenia Episkopatu przygotowywał „technicznie”. Przewodniczącym był prymas, kard. Józef Glemp. Nie była to współpraca łatwa. Wielu biskupów źle znosiło Pieronka. Krążyły opowieści o tym, że potrafił skierować do nich gorzkie słowa, a reakcja bywała taka, że kiedy przemawiał, zaczynało się tupanie i stukanie w pulpity. Był ponoć przypadek, że został przez biskupów „wybuczany”.

Obecny

Nieraz mówił o przykrościach i ciosach, które zbierał. Nie płakał jednak z ich powodu. Właśnie taki styl bycia biskupem wybrał i ponosił tego konsekwencje. ➔

→ Dzięki bp. Pieronkowi Kościół w Polsce był wtedy interesującym partnerem dialogu społecznego. Jego wypowiedzi były ważne i zauważane, odbierane jako głos Episkopatu. Wyraziście wpisał się w historię polskiej transformacji.

Był to chyba ostatni tak wyrazisty sekretarz. Inna sprawa, że już wtedy Episkopat nie był tym zachwycony. Biskupi najwyraźniej woleli, żeby postać sekretarza nie była aż tak widoczna.

Kiedyś opowiedziałem papieżowi o konferencji w Częstochowie, podczas której nikt nie chciał wyjść do dziennikarzy, Jan Paweł II odparł z uznaniem: „To jest tak, jak kiedyś z kardynałem Wyszyńskim”.

W cień

Biografia bp. Pieronka jest jednak dramatyczna. Człowiek wielkich zdolności, zdrowych ambicji i świadomy swoich możliwości zostaje biskupem pomocniczym diecezji sosnowieckiej – ale jest nim tylko formalnie i ostatecznie z tej funkcji zostaje zwolniony. Kiedy przestaje być sekretarzem Episkopatu i zostaje rektorem Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie, odchodzi nieco w cień.

Jako rektor borykał się z różnymi problemami młodej wówczas uczelni. Później został przewodniczącym Kościelnej Komisji Konkordatowej, która stopniowo traciła sens istnienia. To już nie był Pieronek, w którego głos wsłuchiwało się społeczeństwo. Do tego stał się człowiekiem znienawidzonym przez niektóre środowiska i media, także katolickie. Nie znosiły go i atakowały, tak jak się nie znosi człowieka, który pokazuje nam lustro i nagle widzimy, jak wyglądamy. A przecież jego głos wciąż był ważny. Zwracano się właśnie do niego, biskupa emeryta, w trudnych sprawach Kościoła i Polski.

Biskup Pieronek, wypróbowany przyjaciel „Tygodnika Powszechnego”, był z nami w momentach radośnych, w doświadczeniach smutnych i trudnych. Wiele mu jako redakcja, pismo, środowisko zawdzięczamy.

Ja dziś chcę mu szczególnie podziękować za mszę św., którą na salwatorskim cmentarzu wspólnie żegnałmy śp. Piotra Szczęsnego.

© P. KS. ADAM BONIECKI

Z ogromnym żalem pożegnaliśmy

ś.†P.

Księdza Biskupa Tadeusza Pieronka

którego Kościół „nie boi się wolności”.
Ksiądz Biskup powierzał nam swoje teksty,
był współinicjatorem Dni Tischnerowskich,
w których corocznie uczestniczył,
wspierał Fundację Kultury Chrześcijańskiej Znak jako członek jej władz,
a nam wszystkim dodawał otuchy modlitwą,
dobrą radą i poczuciem humoru.

PRZYJACIELE

Z WYDAWNICTWA, MIESIĘCZNIKA I FUNDACJI ZNAK

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem żegnamy zmarłego

ś.†P.

Księdza Biskupa Tadeusza Pieronka

Honorowego Członka Łoży Małopolskiej Business Centre Club,
wieloletniego Przewodnika Duchowego
naszych spotkań wigilijnych i wielkanocnych,
podczas których swoimi wystąpieniami
inspirował nas do wielu refleksji oraz nowych działań.

Wraz z odejściem Księdza Biskupa Tadeusza Pieronka odchodzi wiele.
Ale zostaje w nas część Jego Odwagi, Determinacji, Wiary i Miłości do człowieka.

Dziękujemy Księdzu Biskupowi za Jego życie, że z nami był.

MAREK GOLISZEWSKI, PREZES BCC

MAREK PIWOWARCZYK, KANCLERZ ŁOŻY MAŁOPOLSKIEJ BCC

POŻEGNANIE

Ze smutkiem żegnamy

ś.†P.

Księdza Biskupa Tadeusza Pieronka

profesora nauk prawnych, kanonistę,
naszego Przyjaciela i jednego z Fundatorów.

FUNDACJA JERZEGO TUROWICZA

POŻEGNANIE

Odejście

Biskupa Profesora Tadeusza Pieronka

było dla nas wszystkich ogromnym zaskoczeniem. Podziwialiśmy zawsze jego wybitną osobowość, troskę o losy Polski i Europy. Mimo doświadczenia wypędzenia przez Niemców, które dotknęło jego rodzinę w czasie wojny, i szykan w okresie stalinizmu, poszukiwał dialogu, zarówno z oponentami, jak i ludźmi o odmiennych spojrzeniu na Boga i świat.

W sprawach Kościoła katolickiego w Polsce zabierał głos na rzecz otwartego i nowoczesnego katolicyzmu, choć często był to głos krytyczny, jak np. w sprawie kryzysu uchodźczego, zawsze jednak w imię godności człowieka, jego powołania do humanizmu i solidarności. Niezapomniane pozostanie też jego zaangażowanie w kwestie demokracji i wartości chrześcijańskich w życiu politycznym i społecznym.

Z głębokiego przeświadczenia o tym, jak ważny dla Polski jest „powrót” do Europy, zainicjował w 2001 roku cykl konferencji „Rola Kościoła katolickiego w procesie integracji europejskiej”, które miały na celu podejmowanie w Polsce – z udziałem polityków i duchownych z krajów Unii oraz bliskiego sąsiedztwa UE – dyskusji o aktualnych dla Europejczyków sprawach przez pryzmat wartości chrześcijańskich.

Obok Uniwersytetu Jana Pawła II, Fundacji Schumana, Frakcji EPL w Parlamencie Europejskim, Polskiej Delegacji w EPL i wydawnictwa Wokół Nas, Fundacja Konrada Adenauera była organizatorem tego cyklu ożywionych i ważnych debat.

Jego intelektualne wsparcie nadawało im otwartości, głębi i wysokiego poziomu merytorycznego. Jego wybitnej osobowości, jego mądrego i rozważnego głosu będzie nam brakować.

Rodzinie i Bliskim składamy nasze szczere wyrazy współczucia.

DR ANGELIKA KLEIN, DYREKTOR,
I PRACOWNICY FUNDACJI KONRADA ADENAUERA W POLSCE

Z głębokim smutkiem i żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

ś.†P.

Księdza Biskupa Tadeusza Pieronka

biskupa pomocniczego sosnowieckiego w latach 1992–1998,
sekretarza generalnego Konferencji Episkopatu Polski w latach 1993–1998
i rektora Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie w latach 1998–2004.

Jako osoba szczególnie zasłużona dla miasta został nagrodzony
Laurem Krakowa XXI wieku oraz odznaką Honoris Gratia.

Był też laureatem Medalu Świętego Jerzego,
przyznawanego przez „Tygodnik Powszechny”.

Śp. ks. bp Tadeusz Pieronek miał odwagę mówić o sprawach najważniejszych,
zawsze starał się szukać porozumienia między ludźmi różnych środowisk,
przez co był autorytetem dla wielu z nas.

To dotkliwa strata dla Krakowa.

Rodzinie i Bliskim śp. ks. bp. Tadeusza Pieronka
składam wyrazy głębokiego współczucia.

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA

W DOMU MĄDROŚCI BOŻEJ

Sobór kijowski to początek drogi do jedności ukraińskiego prawosławia.
Dokąd prowadzi ta droga w wymiarze politycznym?

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

UROCZYSTOŚĆ ZAPLANOWANO STARannie. W wigilię Bożego Narodzenia, 6 stycznia (zgodnie z kalendarzem juliańskim), obrany w grudniu metropolita Kijowa i całej Ukrainy oraz prezydent Ukrainy odbierają w Stambule z rąk patriarchy ekumenicznego Bartłomieja *tomos* – dekret ustanawiający Kościół Prawosławny Ukrainy. Następnego dnia dekret zostaje zaprezentowany w katedrze tego Kościoła: Złotowierzchnim Soborze św. Michała Wodza Zastępów Niebieskich (tak się wyklada grecko-ruskie określenie „archistrateg”) w Kijowie; w soborze, który podczas rewolucji godności był jednym ze szpitali polowych Majdanu.

Powołanie nowego Kościoła nie oznacza zjednoczenia ukraińskiego prawosławia, a jedynie je umożliwia. Otwiera proces stopniowego przechodzenia parafii (bo raczej parafii właśnie niż diecezji) prawosławnych z jurysdykcji moskiewskiej pod kijowską. Może to zająć lata, a i tak pewna część wiernych, zwłaszcza kapłanów i biskupów, zapewne pozostanie wierna patriarchom Moskwy.

U stóp Orędowniczki

15 grudnia 2018 r. zebrał się sobór generalny metropolii kijowskiej Kościoła prawosławnego, od października ponownie podporządkowanej patriarche ekumenicznemu. Wśród ojców soboru byli wszyscy, w liczbie 42, biskupi Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Kijowskiego (dalej: UPC-KP) i wszyscy z Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego (UACP; 13 biskupów) oraz tylko dwóch (na 73 biskupów) z Ukraiń-

skiego Kościoła Prawosławnego Moskiewskiego Patriarchatu (UPC MP), tj. uznającego zwierzchność patriarchy Moskwy. Każdemu towarzyszyło po jednym przedstawicielu kleru parafialnego i mnichów lub świeckich.

Sobór zebrał się w najczcigodniejszym miejscu Ukrainy: w nawie głównej kijowskiego soboru Mądrości Bożej (Sofii), wzniesionego 1000 lat temu (za datę rozpoczęcia budowy przyjmuje się rok 1017 lub 1037), u stóp pochodzącej z XI w. mozaiki przedstawiającej Matkę Bożą jako Orantkę (Orędowniczkę).

Mozaika ta, zwana od wieków Murem Niewzruszonym, ma sławę cudownej. Ku czci Bogurodzicy w tym właśnie przedstawieniu ustanowiono osobne święto (31 maja według kalendarza juliańskiego). Samo określenie odnosi się zaś nie do fizycznego muru, lecz do Maryi – to jedno z jej określeń w Akatyście, nabożeństwie maryjnym Kościoła Wschodniego. Ale też – mozaika ta, jedyna nienaruszona przez wieki w Sofii kijowskiej, jest uważana za symbol i gwarancję przetrwania Ukrainy.

Sobór obradował pod przewodnictwem egzarchy (specjalnego wysłannika) patriarchy Bartłomieja i trwał zaledwie kilka godzin. Nie był jednak dość dobrze przygotowany: spory trwały do ostatniej chwili, otwarcie obrad się opóźniło, później mogło dojść do ich zerwania, a ostateczny wynik oznacza zjednoczenie jedynie struktur UPC-KP i UACP – rozwiązanie się pojedynczych, nielicznych struktur UPC MP.

Pod skrzydłami Fanaru

Sobór zaakceptował opracowany przez Fanar (to stambulska siedziba patriarchatu ekumenicznego, termin paralelny do Watykanu w Kościele katolickim) statut Kościoła Prawosławnego Ukrainy (dalej: CPU) oraz wybrał nowego metropolitę kijowskiego i całej Ukrainy w osobie biskupa Epifanija (Epifaniasza, w świecie Serhija Dumenki) – liczącego zaledwie 40 lat namiestnika i strażnika tronu (*locum tenens*) patriarchy Filareta, wcześniej zwierzchnika UPC-KP, który w styczniu kończy 90 lat. Hierarchę wykształconego w Kijowie i Atenach, nie w Moskwie, ale pozbawionego jakiegokolwiek doświadczenia duszpasterskiego (nie był ani proboszczem, ani biskupem diecezjalnym).

Patriarcha Bartłomiej nie zgodził się na status patriarchalny CPU: pozostanie on autokefaliczną metropolią. Spowodowało to wielki zawód na Ukrainie, jednak było naturalną konsekwencją tego, że dokonując w 1992 r. schizmy, Filaret ogłosił się patriarchą samowolnie. Jemu samemu zezwolono posługiwać się dożywotnio tytułem honorowego patriarchy.

CPU będzie więc Kościołem autokefalicznym, czyli w pełni samorządnym: metropolici kijowscy nie będą zatwierdzani przez Fanar w żadnej formie. Jedynymi formami zależności metropolii pozostanie to, że olej krzyżma (w językach wschodniosłowiańskich „*myro/miro*”) →

Sobór zjednoczeniowy w świątyni Mądrości Bożej. Widoczna XI-wieczna mozaika Maryi Orędowniczki, uważanej za symbol przetrwania Ukrainy. Kijów, 15 grudnia 2018 r.



→ będzie ona otrzymywać z Konstantynopola, a nie przygotowywać samodzielnie (dotychczas otrzymywała go z Moskwy), a także konieczność uzgadniania kanonizacji.

To pierwsze jest kwestią czysto liturgiczną, drugie ma pewne znaczenie praktyczne: Fanar może zakwestionować niektórych kandydatów na ołtarze, a więc ingerować w politykę kanonizacyjną PCU (procedura kanonizacji w Kościele wschodnim nie jest tak sformalizowana jak w katolickim).

Długi cień Moskwy

Prawosławny Kościół kijowski – owoc chrztu Rusi Kijowskiej w 988 r. – przez kilkaset lat był podporządkowany patriarchom Konstantynopola, którzy jednak nigdy (aż do tej pory) nie przyznali mu autokefalii.

Po trwałym podziale w XIV w. ziem ruskich – na Ruś litewską (późniejszą Ukrainę i Białoruś) i Ruś tatarską (późniejsze Księstwo Moskiewskie) – nastąpił też podział kanoniczny: na Kościół kijowski i moskiewski. Ten ostatni w połowie XV w. samowolnie ogłosił autokefalię, a w 1589 r. zdobył status patriarchatu, ponoć przekupując patriarchę Konstantynopola Dionizego (był to czas głębokiego upadku Fanaru, z trudem poszukującego swego miejsca w świecie, w którym zabrakło Cesarza Nowego Rzymu).

Niecałe sto lat później Moskwa wymusiła hołd metropolii kijowskiej przed patriarchą Moskwy, a w 1686 r. uzyskała zgodę Fanaru na zwierzchność patriarchów Moskwy nad metropolią kijowską. Już 40 lat później car Piotr I zniósł patriarchat moskiewski, powierzając ster Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego świeckiemu urzędnikowi z tytułem oberprokuratora synodu. Był to element „oświeceniowej” transformacji państwa rosyjskiego, a wzorzec zaczerpnięto z prote stanckich księstw niemieckich.

Po upadku monarchii w 1917 r. patriarchat odrodził się na kilka lat, aby paść ofiarą bolszewickich represji. Trwale odtworzył go dopiero Stalin w 1943 r. Wiązało się to z mobilizacją patriotyczną lat II wojny światowej, w efekcie jednak przyniosło objęcie tego Kościoła pełną kontrolą sowieckiej bezpieki – o wszystkich istotnych sprawach Kościoła rozstrzygało KGB.

Sięgająca w latach 1917-19 po niepodległość Ukraina usiłowała zbudować autokefaliczny Kościół prawosławny. Sto lat

Patriarcha ekumeniczny
przywrócił metropolie
kijowską w jej historycznych
granicach, obejmujących też
obecną Białoruś.

Nikt dziś nie sugeruje,
że także ten kraj mógłby
zabiegać o autokefalię.
Ale droga została otwarta.

temu, 1 stycznia 1919 r., jego powstanie ogłosił Dyrektoriat (zwierzchni organ rządzący) Ukraińskiej Republiki Ludowej. Potem, po upadku Republiki, Ukraiński Autokefaliczny Kościół Prawosławny był tolerowany przez bolszewików – jako struktura rozłamowa, osłabiająca Rosyjski Kościół Prawosławny – aż do 1937 r. Podczas II wojny światowej odtworzyła go grupa hierarchów Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego: ta właśnie struktura przetrwała w diasporze do naszych czasów, by w 1991 r., po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości, wrócić nad Dniepr.

W niepodległym kraju

Wtedy jednak, niemal 30 lat temu, zjednoczenie emigracyjnych i krajowych zwolenników autokefalii (tych drugich wspierał pierwszy prezydent Ukrainy, Leonid Krawczuk) się nie powiodło. W efekcie zwolennicy emigracyjnego patriarchy Mstysława skupili się w UACP, a zwolennicy metropolity (później samozwańczego patriarchy) kijowskiego Filareta – w UPC-KP, silniejszym organizacyjnie i liczniejszym. Aż do niedawna żaden z nich nie był uznawany za kanonicznie prawomocny przez inne Kościoły prawosławne.

Po nieudanych próbach podejmowanych przez prezydenta Wiktora Juszczenkę (2005-10) „sztandar autokefalii” podniósł wiosną 2018 r. Petro Poroszenko. Religijny (dotąd był parafianinem UPC MP), nie tylko poparł starania biskupów, ale spotkał się z patriarchą Bartłomiejem i przekonał go do przyznania Ukrainie autokefalii. Było to zresztą o tyle łatwiejsze, że konflikt między Fanarem i Moskwą narasta od jakiegoś czasu niezależnie od kwestii ukraińskiej – rok wcześniej Moskwa udaremniła pierwszy od tysiąclecia Sobór

Wszechprawosławny, będący dziełem życia patriarchy Bartłomieja; nieobecność przedstawicieli Rosji i jej sojuszników odebrała mu walor powszechności.

11 października 2018 r. Sobór patriarchy patriarchatu ekumenicznego uchylił decyzję Fanaru z 1686 r., przejmując na powrót pod swą zwierzchność metropolię kijowską (w jej kształcie z XVII w.; to istotny szczegół, o czym będzie jeszcze mowa). Nakazał też zwołanie soboru zjednoczeniowego, po którym metropolii kijowskiej będzie mogła być nadana autokefalia.

Rozgrywka patriarchy Filareta

Kluczową osobą w procesie zjednoczeniowym – obok patriarchy Bartłomieja i prezydenta Poroszenki – był patriarcha kijowski Filaret. Od 37 lat zwierzchnik ukraińskiego prawosławia (do 1992 r. – jako egzarcha patriarchy Moskwy) i twórca „narodowego” Kościoła prawosławnego Ukrainy, jest on człowiekiem o ogromnej sile charakteru, konsekwencji i uporze. Ale też jest starcem. W dodatku – jak wszyscy biskupi z jego pokolenia – uwikłanym we współpracę z KGB i pionem ideologicznym partii komunistycznej.

Do ostatniej chwili zagadką było, w jakim nakryciu głowy pojawi się Filaret na soborze: w przysługującym patriarche białym kukole czy też w czarnym kłobuku arcybiskupa metropolity. Ostatecznie zdecydował się na to drugie. Ustał o krok, w sprawie symbolicznej. Ale to, że nie ubiegał się o zwierzchnictwo nowego Kościoła, wynikało – jak wolno sądzić – z wyraźnego zakazu patriarchy Bartłomieja.

Celem Filareta było jeśli nie potwierdzenie godności patriarchalnej (którą przywłaszczył w 1992 r. wbrew kanonom Kościoła) dla siebie i swych następców, to co najmniej zapewnienie jednoznacznej przewagi Patriarchatu Kijowskiego w zjednoczonym Kościele. Przekształcenie zjednoczenia we wchłonięcie. Niczego innego nie był skłonny zaakceptować. Nieobecność na Soborze zapowiadanych wcześniej siedmiu-dziesięciu biskupów UPC MP była jego sukcesem (a porażką Bartłomieja i Poroszenki). Nie można wykluczyć, że za wycofaniem się tych biskupów stały nie tylko dyscyplinujące działania metropolity Onufrego, głowy UPC MP, ale też zakulisowe działania Patriarchatu Kijowskiego.

Patriarcha (w oczach Fanaru i innych Kościołów prawosławnych już tylko metropolita) Filaret do ostatniej chwili nie chciał też zgodzić się na samorozwiązanie

nie Patriarchatu Kijowskiego przed soborem (podczas gdy UACP zaakceptowała ten wymóg Fanaru bez wahania). Decyzję w tej sprawie podpisał dopiero, gdy sobór wybrał metropolitą kijowskim Epifanią, jego kandydata.

Stanowisko Filaretę wspierał jego wiek. Nie dlatego, by dodawał mu autorytetu, lecz dlatego, iż wszyscy rozumieli, że jego zgon lub nawet konieczność hospitalizacji w czasie soboru oznacza katastrofę wiznerunkową. Gdy więc w pierwszej turze wyborów względna większość poparła metropolitę Łucka Mychajłę (także z UPC-KP), a Filaret zagroził zerwaniem soboru, usilnie przekonywano tego pierwszego do ustąpienia. I w końcu przekonano.

Monarsze gesty Poroszenki

Wróćmy na chwilę pod kopuły Sofii kijowskiej. Za prezydialnym stołem soboru, po prawicy egzarchy patriarchalnego, zasiadł... prezydent Ukrainy. Tym samym Poroszenko stał się współprzewodniczącym obrad (po lewicy egzarchy zasiadł Filaret, już tylko metropolita). Nieco z tyłu, przed ikonostasem, postawiono prezydencką mównicę – Poroszenko wygłosił mowę otwierającą sobór. Z kolei po zakończeniu obrad wyszedł do wiernych, zgromadzonych na wiecu przed soborem, przedstawił nowego metropolitę i wygłosił przemówienie bardziej polityczne niż religijne. Było to coś jakby dawna inwestytura, gest monarszy, cesarski wręcz.

Nie dość na tym: wkrótce okazało się, że prezydent osobiście brał udział w przedsoborowych sporach, był arbitrem między skłóconymi biskupami, miał własnego kandydata na metropolitę kijowskiego (był nim metropolita winnicki i barski Symeon, z UPC MP, który w pierwszym głosowaniu uzyskał spore poparcie). Prezydent miał w tym procesie własny cel, własną strategię: dążył do zapewnienia w nowym Kościele jak największego udziału i roli biskupów UPC MP, do choćby w przybliżeniu „parytetowego” charakteru zjednoczenia.

Gdy na soborze zarysował się opisany wyżej kryzys, to właśnie prezydent przekonał metropolitę Mychajłę do rezygnacji. Uratował zjednoczenie, ale przegrał walkę o jego kształt: CPU będzie „rozszerzonym” UPC-KP, nic innego nie jest już możliwe.

Nawet biorąc pod uwagę inną tradycję stosunków Kościołów wschodnich z państwem i większą w nich rolę świeckich – nie są to dobre standardy stosun-

Zabiegając intensywnie o autokefalię,

prezydent Petro Poroszenko – sam wierzący prawosławny – gra nie tylko o reelekcję w wyborach wiosną 2019 r., lecz także o swoje miejsce w historii, wśród „ojców niepodległości” Ukrainy.

ków państwo-Kościół. Zwłaszcza w kraju, w którym „Kościół i organizacje religijne” są konstytucyjnie oddzielone od państwa.

Inna rzecz, że w praktyce to nie do końca prawda. Zgodnie z obowiązującym, jeszcze sowieckim ustawodawstwem państwo ukraińskie nie uznaje istnienia Kościołów jako takich, a tylko poszczególne gminy religijne. Państwo jest też właścicielem i dysponentem obiektów sakralnych, które Kościoły użytkują. Nie może nie mieszać się w spory konfesyjne, chce tego czy nie.

W mowie na placu Sofijskim Poroszenko mówił o autokefalii jako „ostatecznym zdobyciu niepodległości”, a nową metropolię nazwał „Kościołem bez Putina”. Widać było, że gra o dużo więcej niż o reelekcję w wiosennych wyborach 2019 r. – że gra o swoje miejsce w historii, miejsce wśród „ojców niepodległości” Ukrainy.

Co może nas czekać

Sobór zaledwie zapoczątkował więc drogę do zjednoczenia. Wprawdzie po otrzymaniu tomosu struktury (byłej) UACP połączą się ze strukturami UPC-KP – wedle nieznanych na razie, ale opracowanych już zasad – ale nie należy oczekiwać podobnych kroków ze strony struktur UPC MP. Będziemy raczej świadkami „przeciekania” poszczególnych parafii, czasem klasztorów, rzadziej biskupów (ale biskupów, a nie całych diecezji).

Do końca 2018 r. do PCU przeszło kilkanaście, może 20 parafii UPC (z ponad 12 tys. parafii), a także dwóch biskupów (lecz nie ich diecezje). Czasem wspólnota wiernych uchwałała decyzję jednomyślnie, czasem – większością głosów. Czasem proboszcz stawał na czele procesu, a czasem wspólnota parafialna pokazywała mu drzwi (zgodnie z ukraińskim prawem kapłan jest pracownikiem gminy wyzna-

niowej). Konfliktów dotychczas nie odnotowano.

Można oczekiwać, że po otrzymaniu tomosu proces przyspieszy. Jak bardzo – nie sposób przewidzieć. Na pewno nie obejmie wszystkich, a rozłam pozostanie i stanie się bardziej definitywny niż dziś.

Jeśli Kijowowi uda się narzucić strukturę obecnej UPC MP posługiwanie się nazwą Rosyjski Kościół Prawosławny na Ukrainie (ustawę w tej sprawie, przyjętą już przez Radę Najwyższą, zaskarżono do Sądu Konstytucyjnego), nie będzie już miejsca dla wiernych ignorujących podziały międzykonfesyjne, którzy definiują się jako „po prostu prawosławni” (a jest ich całkiem sporo).

Agentura nie będzie próżnować

Można się więc spodziewać, że w miastach zadecyduje postawa tzw. prawosławnych kulturowych, dla których przynależność konfesyjna to głównie lub wyłącznie element tożsamości społecznej. Można też oczekiwać przechodzenia wiernych o orientacji patriotycznej do nowego Kościoła (choć znacząca ich część przeszła do parafii UPC-KP już po wybuchu wojny w 2014 r.), skupiania się zaś (i aktywizacji) w Kościele „starym” wiernych o orientacji antypatriotycznej (antykijowskiej). Będzie to o tyle słabiej widoczne, że zazwyczaj będą to przepływy wiernych, a nie – parafii.

Można również oczekiwać sporów i otwartych konfliktów o użytkowanie świątyń – zwłaszcza w tych miejscowościach, gdzie jest tylko jedna cerkiew, a wspólnota UPC MP się podzieli. Władze państwowe i samorządowe nie będą mogły pozostawać wobec nich obojętne, partie polityczne będą wykorzystywać je w tegorocznych kampaniach wyborczych, prezydenckiej i parlamentarnej. Z pewnością wiele też będzie działań prowokacyjnych, fałszywych informacji, medialnego hejtu. Tak ze strony przeciwników, jak i zwolenników nowego Kościoła.

Rosyjska agentura – w tym ta aktywna w ukraińskich organizacjach nacjonalistycznych – również nie będzie próżnować. Jej działania skupią się jednak zapewne na wielkich miastach (zwłaszcza Kijowie), bo te konflikty łatwiej będzie wygrać medialnie niż wiejskie zatargi. A także na sytuacji wokół dwóch ławr (klasztorów o specjalnej randze duchowej): Pocajowskiej – położonej na zachodniej Ukrainie – i tej stołecznej, Kijowsko-Pieczerskiej. ➔

→ Obecnie obie ławry są kontrolowane przez duchowieństwo o poglądach radykalnie prorosyjskich (Począjów jeszcze na początku XX w. był jednym z centrów ruchu czarnosecinnego w Imperium Rosyjskim). Jednocześnie – jako obiekty zabytkowe szczególnej rangi – mają one status państwowych „rezerwatów architektury”. Można mieć tylko nadzieję, że władze Ukrainy zachowają ostrożność i takt, a służby powstrzymają w porę próby prowokacji.

Religijny wymiar zjednoczenia

Dotychczas zajmowaliśmy się jedynie administracyjno-prawną i polityczną stroną jednoczenia ukraińskiego prawosławia. Pora na pytanie, czym stanie się PCU jako struktura życia sakramentalnego, duchowego? Czy jego kapłani i biskupi będą teraz bardziej głosić orędzie Chrystusa, czy też – jak dotychczas w UPC-KP – głównie Ukrainę: państwo i naród? Obawiam się tego drugiego (i nie jestem w tym osamotniony wśród obserwatorów).

Ale UPC MP też głosiła dotąd mniej Chrystusa, a bardziej *ruskiej mir* (rosyjski pokój/świat – to podwójne znaczenie jest ważne dla zrozumienia koncepcji). Ojcowie położonej na Wołyniu Ławry Począjowskiej mówią wprost, że Ławra to terytorium Federacji Rosyjskiej, a imiona w wypominkach nakazują pisać w wersjach rosyjskich (Władimir, nie Wołodomyr; Jelena, nie Ołena). Na wschodzie Ukrainy zdarzył się kilka lat temu przypadek odmowy pochówku dziecka ochrzczonego w Kościele „kijowskim” (a ile podobnych przypadków nie dotarło do mediów?).

W ostatnich latach pojawiały się też informacje, jakoby ten czy innych duchowny UPC MP miał odmówić poprowadzenia pogrzebu poległego ukraińskiego żołnierza.

Oslabienie na Ukrainie głosu *ruskowo mira* – koncepcji, przypomnijmy, pierwotnie cerkiewnej, a nie państwowej – jest z pewnością grą wartą świeczki. Ale czy przyczyni się do odnowy duchowej, odbudowy wiary i moralności chrześcijańskiej nad Dnieprem? Obawiam się, że nie. Ale może się myłę.

I nie wykluczam, że – tak jak podczas rozłamu z początku lat 90. XX w. – również na obecnych sporach, bardziej narodowo-politycznych niż religijnych, zyskają wyznania ewangeliczne: baptyści,

zielonoświątkowcy, adwentyści, już dziś liczni i wpływowi na Ukrainie.

Co na to Rosja?

Moskwa (i ta cerkiewna, i polityczna) na razie reaguje ostrożnie. Czeka. Zapewne zakulisowo krzepi swych zwolenników i prowokuje konflikty. I pewnie na tym poprzestanie. Nie uzna CPU, to jasne. Ale pogląd, że mogłaby zareagować pełnowymiarową agresją, należy raczej do instrumentarium wojny propagandowej. Chyba że Kijów zrobiłby coś bardzo, ale to bardzo głupiego...

Pytanie, jaki będzie dalszy stosunek Moskwy do patriarchatu ekumenicznego: w ostatnich dniach 2018 r. patriarcha moskiewski zagroził Bartłomiejowi utratą prymatu we wspólnocie prawosławnej oraz... Sądem Ostatecznym. Czy jednak odważy się na wyklęcie patriarchy Bartłomieja, czyniąc rozłam w świecie prawosławnym nieodwracalnym?

Tym bardziej że decyzje Bartłomieja zmieniają pogląd na naturę prymatu patriarchszego w Kościele prawosławnym: patriarcha ekumeniczny okazuje się czymś więcej niż tylko „pierwszym wśród równych” zwierzchników kilkunastu istniejących dziś na świecie Kościołów autokefalicznych – i, jak właśnie widzimy, w pewnych sytuacjach ma sporą władzę. To także nie jest na rękę Moskwie, dotychczas korzystającej z niewypowiedzianego, ale realnego przywileju „starszego wśród równych”.

Na koniec jeszcze jedno: jak już wspomniałem, cofając decyzję z 1686 r., patriarcha ekumeniczny przywrócił metropolię kijowską w jej ówczesnych historycznych granicach, a nie w jej granicach dzisiejszych. A te obejmowały również współczesną Białoruś.

Wprawdzie na razie nikt nie sugeruje, że także ten kraj mógłby ubiegać się o autokefalię (białoruski episkopat wydaje się jak najdalszy od tej myśli) albo nawet przejść pod zwierzchnictwo Kijowa. Ale droga została otwarta – jeśli tylko pojawi się chętny.

© TADEUSZ A. OLSZAŃSKI

Tekst ukończono 2 stycznia 2019 r.

Autor jest emerytowanym ekspertem Ośrodka Studiów Wschodnich im. M. Karpią w Warszawie. Opublikował kilka książek i liczne artykuły na temat dziejów Ukrainy i Europy Środkowej w wiekach XIX i XX, a także obecnej sytuacji na Ukrainie.

Przeszczep pokoju

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z TEL AWIWU

Co czwarty przeszczep serca w Izraelu to operacja „mieszana”: między żydowskim dawcą i arabskim biorcą lub odwrotnie. Choć wykonuje się je od lat, wciąż budzą kontrowersje.

TELAWIWSKI IHILOV, HAJFSKI RAMBAM, jerozolimskie Hadassa – ciągnące się kilometrami, jaskrawo oświetlone korytarze izraelskich szpitali kryją zaskakujący obrazek.

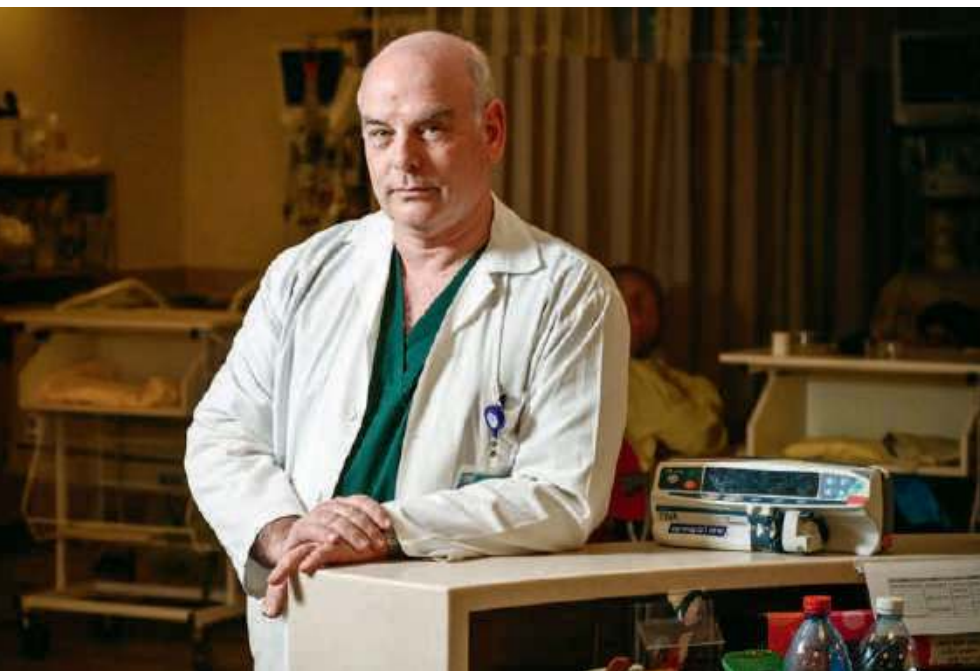
Obok siebie, chusta przy chuście, siedzą tu żydówki, muzułmanki, chrześcijanki. Mężowie w jarmułkach, ojcowie ściskający w prawej dłoni paciorki subhy. Druzowie, uchodzący z Sudanu czy Erytrei. Wreszcie: chore dzieci z Syrii, Zachodniego Brzegu Jordanu, Strefy Gazy.

To tutaj, w poczekalniach porodówek, w kolorowych salach oddziałów pediatrycznych, na smutnych oddziałach onkologicznych, przebiegają granice stuletniego konfliktu żydowsko-palestyńskiego. Tu on się kończy, ostyga, przestaje być ważny. Wobec narodzenia, śmierci lub choroby każdy z mieszkańców tego niewielkiego kawałka ziemi jest równy.

Serce żydowskie, serce arabskie

Oddział transplantologii serca Sheba Medical Center szpitala Tel Hashomer w Ramat Gan pod Tel Awiwem to miejsce szczególne: tutaj z sukcesem przeprowadza się 70 proc. takich operacji w Izraelu (łącznie w kraju notuje się rocznie ponad 20 przeszczepów serca).

Ostatnio lekarze z Sheby przeszczepili małe serce żydowskiej ofiary ataku terrorystycznego w osiedlu Ofra na Zachodnim Brzegu Jordanu. Dziecko urodziło się przedwcześnie, w 30. tygodniu ciąży, gdy palestyński terrorysta otworzył ogień w kierunku ludzi stojących na przystanku



Jacob Lavee, założyciel oddziału transplantacji serc w Sheba Medical Center.

autobusowym. Matce udało się przeżyć, dziecko zmarło po czterech dniach.

I wtedy, za zgodą rodziców, serce tego maleńkiego Żyda zostało przeszczepione sześciomiesięcznemu palestyńskiemu dziecku.

Nie była to pierwsza taka „dziecięca” operacja: poprzednią lekarze z Sheby przeprowadzili w październiku 2018 r., sercem żydowskiego dziecka ratując wówczas życie małemu Palestyńczykowi o imieniu Musa.

Rozmawiam z jednym z pacjentów szpitala, 45-letnim Ishaiem Eilat. Ishai jest Żydem, inżynierem elektronikiem w moszawie (spółdzielni rolniczej) Alonei Abba w Dolnej Galilei.

– Część polityki żyje wyłącznie w mediach, nie ma przełożenia na naszą codzienność, na relacje między izraelskimi Żydami i Arabami. Politycy czerpią siłę z konfliktu, żyją z różnic, wzmacniając to, co nas dzieli. A ja jestem przekonany, że większość z nas chce po prostu żyć w spokoju. Tam, skąd pochodzę, robimy to na co dzień – twierdzi Ishai.

Ishai niczego nie wymyśla, on dobrze wie, o czym mówi: w jego ciele od trzech lat tętni nowy organ. Zdrowe, arabskie serce.

Podwójne urodziny

Choroba go zaskoczyła. Ishai wiódł normalne aktywne życie 42-latką. Nagle, z dnia na dzień, poczuł się gorzej. Krótko po wizycie u lekarza i pierwszych badaniach otrzymał informację: natychmiast

stawić się w szpitalu. Jego serce było w ciężkim stanie.

– Po dłuższym czasie, bo postawienie diagnozy okazało się trudne, lekarze oznajmili, że mam bardzo rzadką chorobę autoimmunologiczną: olbrzymiomórkowe zapalenie mięśnia sercowego. Dotknęła zaledwie kilkaset osób na świecie. Był kwiecień 2015 r. Pogorszenie nastąpiło szybko, infekcje się namnażały, leżałem w szpitalu bez przerwy – opowiada Ishai.

Lekarze zdecydowali o przeszczepie serca. Na narodową listę biorców trafił w sierpniu 2015 r. Organ od arabskiego dawcy pojawił się szybko, Ishai nie czekał nawet miesiąca. Przeszczep uratował mu życie.

Operację przeprowadził prof. Jacob Lavee, ordynator i założyciel oddziału transplantacji serc w Sheba Medical Center.

– Nic dziwnego, że po operacji wielu z naszych pacjentów zaczyna świętować urodziny dwa razy do roku. Te drugie to rocznica transplantacji. Niestety, jest to możliwe tylko na skutek śmierci dawcy i decyzji jego rodziny, która wyraża zgodę na przekazanie organu – mówi „Tygodnikowi” prof. Lavee.

Zgodnie z izraelskim prawem do bezpłatnej transplantacji uprawniony jest każdy rezydent i obywatel Izraela. Priorytet mają pacjenci, którzy minimum trzy lata wcześniej podpisali tzw. kartę dawcy, wyrażając tym chęć przekazania swoich organów w przypadku śmierci. Idea ta-

kiego podpisu zrodziła się w Izraelu dokładnie 40 lat temu. Deklarację w formie zielonej plastikowej karty nosi dziś w portfelu prawie 940 tys. obywateli.

Temat transplantacji rozgrzał media w 2017 r., gdy znienawidzony w Izraelu palestyński polityk i negocjator w procesie pokojowym Saeb Erekat zachorował i zwrócił się z prośbą o donację płuca. Sprawa wzbudziła kontrowersje: wielu Izraelczyków zagroziło, że zwróci karty dawcy, jeśli Erekat otrzyma pomoc. Ostatecznie Izrael odmówił, tłumacząc, że prawo uwzględnia tylko obywateli i rezydentów Izraela, a Erekat nie spełnia tych kryteriów.

Mimo kontrowersji, jak szacuje prof. Lavee, od 20 do 25 proc. transplantacji przeprowadzanych od 30 lat na jego oddziale to operacje „międzyetniczne”. Głównie takie, w których dawcą jest Żyd, a biorcą Arab.

Oby nie dla terrorysty

Koordinacją przeszczepów, współpracą ze szpitalami, promocją kart dawcy i wsparciem dla rodzin, które utraciły bliskich, zajmuje się narodowe centrum transplantacyjne ADL.

Zapytana o „międzyetniczne przeszczepy” jego dyrektorka Tamar Ashkenazi nie kryje lekkiego oburzenia: jej zdaniem to pytanie wcale nie powinno padać w kraju, który z natury jest multi-etniczny.

Tamar Ashkenazi: – Gdy otrzymuję z któregoś ze szpitali informację, że pojawił się dawca, operuję tylko medycznymi danymi: grupą krwi, wiekiem oraz informacjami dotyczącymi organu, czy to serca, czy nerki, czy wątroby. Ale nie poznaję tożsamości dawcy. W tym konkretnym momencie liczy się dla mnie kontakt z rodziną. Zgodnie z prawem możemy pobrać organ do przeszczepu, jeśli dawca wyraził przed śmiercią taką wolę, ale uważamy, że należy poprosić wcześniej bliskich o zgodę. Przechodzą ciężki czas, nie chcemy ich dodatkowo ranić. Wrażliwość, z jaką się do nich kierujemy, jest opłacalna: 99 proc. zgadza się na pobranie organu do przeszczepu.

Rodzina dawcy wie, że nie może wybrać sobie biorcy. Tamar Ashkenazi przyznaje, że wtedy oczywiście padają pytania o jego tożsamość. Zwłaszcza gdy sytuacja polityczna jest akurat napięta. „Oby nerka nie trafiła do terrorysty” – zdarza się jej wówczas usłyszeć.

→ Prof. Jacob Lavee pamięta czasy, gdy „międzyetniczna” transplantacja budziła jeszcze większe spory. Zwłaszcza wtedy, gdy Izraelem wstrząsały kolejne intifady, palestyńskie wystąpienia zbrojne.

Jednej z takich operacji Lavee nie zapomni do końca życia. W 2001 r. Palestyńczyk wysadził się w dyskotecce, zabijając 21 młodych Izraelczyków. Następnego dnia muzułmanin ze Wschodniej Jerozolimy przeszedł śmierć mózgu. Jego ojciec zgodził się oddać organy do przeszczepu. Trafiły do żydowskich biorców, co w tak zaognionej sytuacji politycznej przykuło uwagę mediów z całego świata. Przeszczep serca odbył się na oddziale prowadzonym przez prof. Laveego. Dokonał go osobiście.

– Operacja była ciężka, ale przebiegła pomyślnie – wspomina lekarz. – Wyszedłem na korytarz, by powiadomić o tym rodzinę biorcy. Nie wiedziałem, że informacja o przeszczepie wyciekła do mediów. Ledwie uchyliłem drzwi, skierowały się w moją stronę kamery i mikrofony kilkudziesięciu dziennikarzy. Zadalili mi pytanie: „Jak to jest przeszczepić arabskie serce żydowskiemu biorcy dzień po krwawym ataku terrorystycznym?”. Byłem oszołomiony i nieprzygotowany na tę sytuację. Odpowiedziałem spontanicznie: „W czasie każdej operacji serca nadchodzi taki moment, w którym w jednej ręce trzymam serce dawcy, w drugim – biorcy. I wiecie, patrzyłem na oba, i nie mogłem znaleźć żadnej różnicy”. Następnego dnia ziałem to zdanie na czołwach gazet.

Współpraca niemożliwa

Profesor pamięta, że niedługo po tym przeszczepie ojciec palestyńskiego dawcy spotkał się z młodym żydowskim biorcą. I że w czasie tego spotkania nie było mowy o polityce. Za to dużo o wdzięczności oraz o drugim życiu, możliwym mimo czyjejś śmierci.

Lekarz podkreśla, że to nie jest pojedyncza historia: często jest świadkiem, jak rozwijają się więzi między rodzinami dawców i biorców „mieszanych” przeszczepów. Wspomina przypadek żołnierza, który zginął w wypadku drogowym, a jego organy przekazano Arabowi z Galilei. Biorcy udało się stworzyć świetne relacje z rodziną żołnierza, która pojawiła się nawet na jego ślubie.

Jednak Lavee nie kryje, że nie wszystkie plany czy marzenia udaje mu się zrealizować. Nie tu i nie w tej sytuacji politycznej.

„Gdybyśmy potrafili
doświadczenie z dziedziny
transplantologii
przenieść na politykę,
**wtedy nasze życie na
Bliskim Wschodzie byłoby
o niebo lepsze”.**

Prof. Jacob Lavee

Lavee: – W Sheba mamy oddział pediatryczny [jego głównym chirurgiem jest dr David Mishaly; to on w ostatnich miesiącach wraz z Laveem prowadził operacje na sercach małych Palestyńczyków – KPA]. Ponad 70 proc. naszych dzieci, które przechodzą operacje na otwartym sercu z powodu jego wrodzonych wad, to dzieci ze Strefy Gazy i Zachodniego Brzegu Jordanu. Dla nas spotkania z nimi to codzienność, choć w mediach się o tym nie mówi.

– Osobiście zwróciłem się z ofertą do palestyńskiego ministra zdrowia, by rozważył współpracę transplantologiczną z naszym szpitalem – mówi Lavee. – Pomyślałem, że to dobra oferta, bo w Palestynie nie ma tego typu operacji i pacjenci umierają, ponieważ nie mają żadnej alternatywy. Niestety odmówił. W tym sensie polityka bardzo nam przeszkadza – nie możemy liczyć na współpracę z naszym najbliższym sąsiadem.

Lekarz przyznaje jednak, że wątpi, czy jego projekt – gdyby został zrealizowany – spotkałby się z przychylnością w samym Izraelu. „Czy naprawdę musimy ratować życie tym, którzy za kilkanaście lat wyciągną noże i będą zabijać nas na ulicach?” – pisali niedawno internauci pod informacją o przeszczepie serca zmarłego żydowskiego dziecka małeńkiemu Palestyńczykowi.

Profesor przyjął to ze smutkiem. A wie, że to nie są odosobnione opinie.

Po prostu pacjent

Jacob Lavee twierdzi, że z transplantacyjnego punktu widzenia nie ma żadnej różnicy między arabskimi i żydowskimi dawcami oraz biorcami. Zauważa za to, że na listach biorców więcej jest arabskich nazwisk – wynika to z faktu, że w populacji

izraelskich Arabów jest więcej przypadków chorób serca.

Arraba w Dolnej Galilei to miejscowość niemal całkowicie zasiedlona przez arabskich muzułmanów. Omar Ayda ma 60 lat i – podobnie jak Ishai Eilat – jest urodzony podwójnie: od trzech lat żyje z nowym organem. Żydowskim sercem.

– Gdy moje serce przestało działać, jeszcze zanim dostałem nowe, byłem bardzo podbudowany tą niesamowitą opieką, jaką otrzymałem od żydowskich lekarzy w naszych izraelskich szpitalach – opowiada Omar. – Nie liczyło się dla nich, że jestem Arabem, byłem po prostu pacjentem. Pamiętam dzień, w którym przyjechałem do szpitala: prawie nie oddychałem, byłem zdesperowany. Ale dzięki terapii i ich wielkiemu wsparciu prawie nie czułem bólu. Dla mnie ci lekarze to anioły.

Nie spodziewał się zresztą niczego innego. Gdy 25 lat temu premier Izraela Icchak Rabin promował pokój w regionie, Omar otworzył dom gościnny pod nazwą Namiot Pokoju. Chciał, aby było to miejsce, w którym Żydzi i Arabowie będą mogli się spotykać i wspólnie promować dobre relacje, których tak brakuje w regionie. Namiot działa do dziś, wraz z restauracją.

Jest więc dumny z tego, że w miejscowości nazywają go „Arabem z żydowskim sercem”. – Jasne, zdarzają się tacy, którzy czasem skomentują to negatywnie – mówi Omar. – Ale większość ludzi w Arrabie nie ma z tym problemu. Żyjemy w Galilei jak jedna rodzina, a ja przekonuję tych nieprzychylnych, że Żyd, który odszedł z tego świata, dał mi szansę, żebym kontynuował moje życie na tym świecie. To pokazuje, że mimo napięcia między dwoma narodami ostatecznie wszyscy jesteśmy istotami ludzkimi.

Omar ogromnie się ucieszył, gdy usłyszał, że rodzina dawcy – mama i dwie siostry – chciałyby go spotkać. Na spotkanie szedł przejeży. Trwało krótko, ledwie kwadrans, kobiety mówiły tylko po hebrajsku. Omar: – Nie jesteśmy teraz w stałym kontakcie, ale może jeszcze będziemy. Czuję, że moje serce w środku prosi mnie, żeby spotkać się z rodziną jeszcze raz.

Doświadczenie dla pokoju

Miesiąc po operacji Ishai Eilat odebrał telefon.

– To była rodzina mojego dawcy. Pytali, czy chciałbym się z nimi spotkać. Ucie-

szylem się, bo uczestnicząc w transplantacji nigdy nie wiesz, kto jest dawcą, a rodzina dawcy musi wyrazić zgodę, żeby się z tobą spotkać. Bardzo chciałem ich poznać – wspomina Ishai.

Pamięta ekscytację, z jaką wjeżdżał do arabskiej wsi w Galilei, w której mieszkali rodzice zmarłego dawcy. Na jego powitanie wyszła nie tylko rodzina, ale też muzułmańscy sąsiedzi i znajomi.

Ishai: – Wszyscy mnie przytulali, byłem tym poruszony. Przeplakaliśmy razem wiele godzin. Odtąd jesteśmy jak rodzina: trzymamy kontakt, odwiedzamy się regularnie. Powtarzają, że czują we mnie serce ich syna. Że ono nadal żyje, a więc i on żyje we mnie. Spotykamy się także w jego urodziny.

W żydowskiej rodzinie Ishaia jego arabskie serce nie wzbudziło żadnych kontrowersji. Są rodzinie dawcy wdzięczni za ten dar życia. To jedyne, co się dla nich liczy.

– Wiesz, u nas, na północy kraju, jest tak wielu Arabów, że temat „mieszanej” transplantacji nie budzi większych emocji – mówi Ishai. – My tam razem żyjemy, pracujemy. Jesteśmy przykładem, że tak można, i to ponad głowami polityków prowadzących własną grę.

Ishai: – Dla mnie większym tematem jest to, że rodzina mojego dawcy musiała podjąć trudną decyzję. Że bez niej nie żyłbym od trzech lat. Że uratowali mnie wtedy, gdy jedyną pewną rzeczą w moim życiu była śmierć. Dlatego powinni być przykładem dla wszystkich ludzi w tym kraju i na świecie, świadectwem, że ofiarowanie organów może dać drugie życie innemu człowiekowi. Są wspaniali i kocham ich. Napisz to koniecznie.

– Gdybyśmy potrafili to doświadczenie z dziedziny transplantologii przenieść na inne obszary, na politykę, wtedy nasze życie na Bliskim Wschodzie byłoby o niebo lepsze – uważa prof. Jacob Lavee. – Gdy naprawdę skupiasz się na ludziach i odcinasz politykę, jedna i druga strona wynoszą z tego korzyści. Pod tym względem izraelska transplantologia powinna być wzorem dla innych dziedzin naszego życia.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Ameryka, republika oligarchiczna

PIOTR TARCZYŃSKI

Zwykło się mówić, że USA są podzielone na połowę republikańską i demokratyczną. To nieprawda. Republikańska mniejszość – bo już dawno nie połowa – ma jednak systemową przewagę i robi wszystko, by jej nie stracić.

PREZYDENTEM USA JEST CZŁOWIEK, NA którego głosowały 3 miliony ludzi mniej niż na jego przeciwniczkę. Senat kontroluje partia, którą w głosowaniu powszechnym poparło o 12 mln mniej obywateli. Wprawdzie od stycznia 2019 r. Izba Reprezentantów jest w rękach opozycyjnej Partii Demokratycznej, ale żeby uzyskać nad Izbą kontrolę, musiała ona zdobyć aż 10 mln głosów przewagi nad Republikanami.

Symetria polityczna w USA jest dziś iluzją. Stany nie są wcale krajem podzielonym na dwie mniej więcej równe części: „czerwoną” (to tradycyjny kolor Partii Republikańskiej) i „niebieską” (kolor Demokratów). W istocie poparcie dla Republikanów jest mniejsze i maleje coraz bardziej. Dlaczego więc tak często to oni rządzą?

Zachwiane proporcje

W wyborach do Kongresu w listopadzie 2018 r. (tzw. midtermach, bo odbywają się w połowie prezydenckiej kadencji) Demokraci odnieśli sukces nie tylko na poziomie federalnym, ale też stanowym, zdobywając aż siedem gubernatorstw, m.in. w Michigan i Wisconsin. Republikanie, mający większość w parlamentach tych stanów, doznali wtedy olśnienia: szybko, zanim nowi gubernatorowie zaczęli urzędowanie, odebrali im część prerogatyw i przekazali legislatorom, czyli sobie. Okazało się, że choć w Waszyngtonie Partia Republikańska dała Donaldowi Trumpowi wolną rękę, to tu, na Środkowym Zachodzie, nagle przejęła się kwestią równowagi między władzą a kontrolą władzy wykonawczej przez ustawodawczą.

Nieprzypadkowo w Wisconsin Republikanie przegłosowali również ograni-

czenie tzw. wcześniejszego głosowania – w USA metody coraz popularniejsze i zwiększającej frekwencję. Utrudnianie głosowania (*voter suppression*) od dawna należy do stałego ich repertuaru. Pod pozorem walki z oszustwami wyborczymi (pod pozorem, bo badania wykazują, że to zjawisko minimalne) Republikanie wprowadzają prawa utrudniające wydawanie dokumentów koniecznych do legitymowania się w lokalu czy rejestrowanie w spisach wyborców – zwłaszcza tym grupom, które w większości głosują na Demokratów, jak studenci czy Afroamerykanie.

Przykładem Republikanin Brian Kemp, który w listopadzie o włos pokonał Demokratkę Stacey Adams i został gubernatorem Georgii. Wcześniej, jako stanowy urzędnik odpowiedzialny za organizację wyborów, przez lata powykreślał ze spisów setki tysięcy ludzi, w tym nieproporcjonalnie dużo Afroamerykanów.

Również nie bez powodu Republikanie w Michigan utrudniają powstanie niezależnej komisji, która ma na nowo wytyczyć okręgi wyborcze. Narzędziem, które z powodzeniem stosują kontrolujący stanowe legislatury Republikanie, jest bowiem *gerrymandering*: takie wytyczanie okręgów, zazwyczaj o przedziwnych kształtach, by przeciwnicy za nic nie mogli zdobyć większości.

Wystarczy spojrzeć na skład wspomnianych legislatur. W Michigan Republikanie mają zdecydowaną większość mandatów, choć zdobyli mniej głosów od Demokratów. W Wisconsin różnica ta wyniosła aż 8 proc., ale i tak dała Republikanom dwie trzecie miejsc. A są stany, w których proporcje te zachwiane są jeszcze bardziej.

→



MARK PETERSON / REDUX / EAST NEWS

Zwolennicy Briana Kempa, kandydata Republikanów na gubernatora stanu Georgia, podczas wiecu wyborczego z udziałem prezydenta Trumpa. Macon w Georgii, 4 listopada 2018 r.

Alaska jak Kalifornia

→ Choć tworzenie korzystnych dla siebie map wyborczych jest stare jak Ameryka (i Demokraci też mają tu swoje na sumieniu), to Republikanie wspięli się na wyżyny tej sztuki. W 2010 r. krajowe szefostwo ich partii – przerażone znakomitymi wynikami Demokratów w wyborach dwa lata wcześniej – opracowało metodyczny projekt odbicia Kongresu, który otrzymał nazwę REDMAP: za cel wzięto przejęcie legislatur stanowych i wytyczenie jak najkorzystniejszych dla siebie okręgów. Był to *gerrymandering* niemający sobie równych w historii pod względem skali i precyzji. Plan zakończył się pełnym sukcesem: choć w 2012 r. Demokraci wygrali w głosowaniu powszechnym, to Republikanie zachowali sporą większość w Izbie Reprezentantów.

Zdarza się, że manipulowanie okręgami skutecznie zwalczają sądy, które nakazują władzom stanowym zmianę granic okręgów na bardziej proporcjonalne, powierzają to niezależnym komisjom albo wręcz robią to same. Decydujący w tej sprawie będzie kiedyś wyrok Sądu Najwyższego, który jak dotąd nie wypowiedział się na temat gerrymanderingu umotywowanego politycznie (co innego rasowo: tu panuje zgoda, że jest niekonstytucyjny).

Skład trybunału zależy jednak od prezydenta, który nominuje sędziów dożywotnio, oraz od Senatu, który wybór ten zatwierdza. W sytuacji kruchej równowagi ideologicznej w dziewięcioosobowym Sądzie Najwyższym partii bronią „swoich” miejsc sędziowskich niczym niepodległości. I atakują. W 2016 r. Republikanie przeszli do ofensywy i – nie bójmy się tego słowa – ukradli miejsce, którego obsadzenie należało do ówczesnego prezydenta Obamy. W bezprecedensowy sposób przez rok blokowali nominację, aby przeszła w ręce kolejnego prezydenta.

Republikańska większość w Senacie, która zatwierdziła już dwóch nominatów Trumpa, i tym samym „przesunęła” Sąd Najwyższy wyraźnie w prawo, także reprezentowała mniejszość, bo tylko 45 proc. obywateli. W izbie wyższej Kongresu każdy stan, bez względu na liczbę mieszkańców, ma bowiem po dwa miejsca – w efekcie Alaska (700 tys. obywateli) ma do powiedzenia tyle samo co 40-milionowa Kalifornia.

Owa nieproporcjonalność to wynik kompromisu zawartego u zarania USA między ludniejszą Północą i rolniczym (oraz, nie zapominajmy, wtedy niewolniczym) Południem. „Ludowa” Izba Reprezentantów miała reprezentować interesy obywateli, a Senat – interesy poszczegól-

nych stanów, które 230 lat temu przypominały nie tyle prowincje, jak dziś, ile raczej niezależne państwa.

Cel: dostosować elektorat

Ta sama motywacja stała kiedyś za utworzeniem kolegium elektorskiego, które wybiera głowę państwa. Pośredni wybór prezydenta miał być równieś gwarancją, że nie zostanie nim jakiś szarlatan, który omota rzekomo nieodpowiedzialnych obywateli. Jak skuteczne okazało się to zabezpieczenie, widzimy sami: zamiast ochronić prezydenturę, XVIII-wieczny mechanizm oddał ją demagogowi popartemu przez mniejszość obywateli.

Trudno w to może uwierzyć, ale w ciągu ostatnich 30 lat kandydat Republikanów na prezydenta wygrał w głosowaniu powszechnym tylko raz: w roku 2004. Choć we wszystkich pozostałych przypadkach Demokraci zdobywali więcej głosów, aż dwukrotnie nie przełożyło się to na głosy elektorów: w 2000 r. (gdy Sąd Najwyższy wstrzymał liczenie głosów na Florydzie i *de facto* oddał prezydenturę George'owi W. Bushowi) i właśnie w 2016 r. Rozbieżność między wolą obywateli a wolą elektorów, 20 lat temu będąca ledwie historyczną ciekawostką z XIX w., stała się niepokojąco zwyczajnym elementem politycznej rzeczywistości.

Donald Trump może – wzorem Richarda Nixona – mówić o „milczącej większości”, mającej jakoby popierać jego i jego ugrupowanie. Ale liczby pokazują, że Republikanie są w istocie partią mniejszościową. Zmiany demograficzne od dawna działają na ich niekorzyść: społeczeństwo USA robi się coraz mniej białe i coraz bardziej liberalne. Republikanie zdecydowanie przegrywają wśród młodych, Afroamerykanów, Latynosów, kobiet.

Choć za rządów Busha juniora podejmowali jeszcze próby przyciągnięcia do siebie tego elektoratu – choćby reformą imigracyjną – to od prezydentury Obamy widać, że wygrała inna strategia: dostosowania elektoratu do swoich potrzeb. Od czasu Trumpa Partia Republikańska dość wyraźnie zaczęła się identyfikować z białymi mężczyznami, bojącymi się utraty dominującej pozycji.

Dobrze oddaje to skład nowej Izby Reprezentantów. W klubie Demokratów prawie połowę stanowią kobiety, a jedną trzecią przedstawiciele mniejszości etnicznych, religijnych i seksualnych. Na ich czele stoi kobieta Nancy Pelosi, we władzach zasiadają też Afroamerykanie i Latynosi. Tymczasem klub Republikanów składa się w 90 proc. z białych mężczyzn, a w jego kierownictwie jest tylko jedna kobieta, skądinąd córka byłego wiceprezydenta Dicka Cheney.

Nieudana reforma

Ochrona praw mniejszości należy wprowadzić do fundamentów demokracji liberalnej, ale sytuacja, w której partia reprezentująca mniejszość obywateli sprawuje niemal pełną kontrolę nad instytucjami państwa, niewiele ma z demokracją wspólnego. Choć Amerykanie lubią mówić o „najstarszej demokracji świata”, to w konstytucji z 1787 r. nie ma o tym ani słowa. Stany Zjednoczone powstały jako republika, a nie demokracja, która w oczach większości ojców założycieli była – za Arystotelesem – rządami nieodpowiedzialnego motłochu. Dzisiejsze Stany rzeczywiście coraz bardziej przypominają republikę, ale niestety republikę oligarchiczną.

Nie chodzi tylko o to, że system faworyzuje jedną partię, daje nadmierny wpływ na politykę wielkim pieniądзом czy sprzyja tworzeniu politycznych dynastii (choć wszystko to również prawda). Prezydenta wybierają dziś mieszkańcy kilku, najwyżej kilkunastu „fioletowych” sta-

Republikanie wiedzą, że elektorski system wybierania prezydenta działa na ich korzyść,

i nie chcą słyszeć o jego reformie. Prezydentem jest w efekcie człowiek, na którego głosowały 3 mln ludzi mniej niż na jego przeciwniczkę.

nów, gdzie kandydaci prowadzą realną kampanię i próbują przyciągnąć elektorat na swoją stronę. Natomiast głos znacznej części obywateli – w zdeklarowanych stanach „czerwonych” i „niebieskich” – właściwie się nie liczy.

Z tego powodu przez wiele lat zdecydowana większość Amerykanów – w latach 60. i 70. nawet trzy czwarte ankietowanych – chciała zmiany sposobu wyboru prezydenta. Projekt stosownej poprawki, likwidującej system elektorski, popierali i Richard Nixon, i Jimmy Carter, przyjęła go nawet Izba Reprezentantów. Ale w 1970 r. przepadł o włos w Senacie – głosami konserwatystów z obu partii.

Konstytucja poprawiana

W latach 80. XX w. Republikanie, coraz bardziej konserwatywni i zideologizowani, zdołali narzucić interpretację, że konstytucja sprzed 200 lat to dokument doskonały, nieomal święty, który należy odczytywać zgodnie z intencjami ojców założycieli. Na tej fali 2. poprawkę do konstytucji USA udało się przedstawić jako bezwzględne prawo do noszenia broni palnej (co wcześniej nawet konserwatyści uważali za bzdurę), a także wmówić ludziom, że pod żadnym pozorem nie wolno zmieniać ustroju państwa.

Tymczasem wystarczy rzut oka w przeszłość – i to wcale nieodległą – by zorientować się, że poprawianie niedoróbek konstytucji przez prawie 200 lat należało do normalnej praktyki politycznej, także w sprawach ustrojowych. I tak, 17. poprawką w 1913 r. zdemokratyzowano wybór senatorów (wcześniej byli delegowani

przez stanowe legislatury). W 1951 r. za sprawą 22. poprawki wprowadzono limit dwóch kadencji w Białym Domu. W 1971 r. 26. poprawka przyznała czynne prawo wyborcze 18-latkom. Także pierwotny (i niepraktyczny) sposób wyboru prezydenta i wiceprezydenta zmodyfikowano wcześniej, bo już w 1804 r.

Teoretycznie można by więc zreformować dziś sposób wybierania prezydenta, zmieniając (poprawiając, jak akcentują to Amerykanie) konstytucję. Republikanie wiedzą jednak, że system elektorski działa na ich korzyść, więc o żadnej reformie nie chcą słyszeć.

Rzecz znamienna: choć za czasów Obamy zmiany takiej chciała połowa prawicowych wyborców, to po zwycięstwie Trumpa ich odsetek spadł do zaledwie 20 proc. „Usunięcie lub wypaczenie kolegium elektorskiego – czytamy w aktualnym programie Partii Republikańskiej – byłoby gwarancją korupcji i (...) dawałoby szansę na kradzież prezydentury”.

Czy demokracja to przeżyje

Owszem, Demokratom także zdarza się grać nieczysto, manipulować granicami okręgów wyborczych i pisać prawo pod siebie. Jednak w ich przypadku nie jest to zinstytucjonalizowana strategia, niezbędna do wygrywania wyborów.

Republikanie wiedzą doskonale, że w długofalowej perspektywie jedynie odwiekaja nieuniknione: demografia jest bezlitosna i sprawia, że za kilkanaście lat Partia Demokratyczna będzie mieć szansę na przejście rządów nawet w konserwatywnym dziś Teksasie, podczas gdy liberalne Kalifornia czy Nowy Jork nadal będą leżeć poza zasięgiem republikańskich możliwości.

Ale na razie strategia ta działa. Za pomocą agresywnego gerrymanderingu i utrudniania głosowania mniejszościom, a także z poparciem konserwatywnego Sądu Najwyższego, Republikanie mogą utrzymać się u władzy jeszcze przez długie lata – i to nawet przegrywając w głosowaniu powszechnym. Powtórzenie się w roku 2020 schematu, który zadziałał w wyborach prezydenckich w 2016 r. i umożliwił zwycięstwo Trumpa, wcale nie jest więc niemożliwe.

Republika amerykańska z pewnością to przeżyje. Pytanie tylko, czy przeżyje to amerykańska demokracja.

© PIOTR TARCZYŃSKI

BUNT WZGARDZONYCH

PROF. FRANK FUREDI, SOCJOLOG:

Mówi się, że populizm to reakcja na świat, w którym nie rozumiesz, gdzie jest twoje miejsce. Co jednak, jeśli rozumiesz i próbujesz go bronić? Wtedy jesteś uważany za wroga tolerancji.

DARIUSZ ROSIAK: Czy brexit to przejaw upadku demokracji, czy jej triumfu?

FRANK FUREDI: Przy okazji brexitu pierwszy raz od dawna wielu ludzi dostrzegło, że demokracja coś dla nich znaczy. W Wielkiej Brytanii wybory oznaczają niewiele – np. w Faversham w hrabstwie Kent, gdzie właśnie rozmawiamy, wygrywają zawsze konserwatyści, a w londyńskiej dzielnicy Islington – laburzyści. Tymczasem podczas referendum w 2016 r. każdy głos naprawdę się liczył. Referendum określiło ważny moment w brytyjskiej historii: pokazało, jak odległe od zwykłego człowieka stały się główne partie, oraz jak bardzo pragnął być on traktowany poważnie.

Oczywiście najbardziej popularna wersja wydarzeń jest inna: ludzie nie wiedzieli, za czym głosują, i dopiero teraz, kiedy orientują się, na czym naprawdę polega brexit, podejmują na jego temat poważną refleksję.

To klasyczny argument antydemokratyczny: ludzie są głupi, nie potrafią zmierzyć się ze skomplikowanymi problemami, nie wiedzą, co leży w ich interesie, dają się ogłupiać sofistom i demagogom. Nie ma nic wspólnego z rzeczywistością: ludzie wiedzieli, za czym głosują, nie mieli złudzeń co do konsekwencji referendum.

Nikt nie sądził, że w wyniku brexitu wszyscy nagle staniemy się bogaci. Brytyjczycy chcieli odzyskać niezależność i kontrolę nad własnym życiem.

Dzisiaj jednak niespecjalnie tryskają optymizmem.

Po referendum wśród niektórych ludzi nastąpiła demoralizacja. Wielu jednak nabrało dodatkowej energii widząc, że ich wcześniejsze podejrzenia są słuszne: elitom politycznym nie wolno wierzyć, celem elit jest teraz sabotaż, uniemożliwienie brexitu. Ten okres pokazał, po pierwsze, że Unia Europejska zachowuje się jak małostkowy imperator, a po drugie, że brytyjski *establishment* – media, politycy, urzędnicy – jest niemal w komplecie przeciwko brexitowi. Jednak, wbrew temu co piszą liberalne media, Brytyjczycy nie żałują, że zagłosowali za brexitem.

Być może ma Pan rację w opisie politycznego i społecznego otoczenia brexitu, ale jeśli popatrzymy np. na jego potencjalne konsekwencje gospodarcze, to wszystkie prognozy wskazują, że Wielka Brytania na nim straci – bez względu na wynik negocjacji z Unią.

Nie zgadzam się. Modele ekonomiczne to gra spekulatywna – wystarczy popa-

trzeć na tego typu modele w historii i porównać z rzeczywistym rozwojem wypadków. Żeby było jasne: nie wierzę również tym, którzy dowodzą, że po brexicie będziemy opływać w bogactwa. Moim zdaniem Wielka Brytania ma stosunkowo silną gospodarkę. Nie byliśmy biednym narodem przed wstąpieniem do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej w 1973 r. i nie ma powodu, dla którego po wystąpieniu z Unii mielibyśmy się stoczyć na gospodarcze dno. Ważne jest co innego: w brexicie nie chodziło o gospodarkę, tylko o kształt brytyjskiej demokracji, o to, kto sprawuje tu polityczną kontrolę. Innymi słowy – o suwerenność.

Ma Pan bardzo wysokie mniemanie o świadomości demokratycznej ludzi.

Raczej zauważam ich racjonalność. Elity polityczne na całym świecie nieustannie redefiniują, czym mają być demokracja i suwerenność. Używają do tego języka ekonomii, dowodząc zwykle, jak to będziemy biedni, jeśli nie zachowamy się w jakiś konkretny sposób. Rzeczy ważnych dla ludzi – jak suwerenność czy tożsamość – nie da się jednak zredukować do liczb.

Czy uważa Pan brexit za przykład ogólnoswiatowego zjawiska zwanego



Protest ruchu „żółtych kamizelek” na obwodnicy Caen, Francja, 22 grudnia 2018 r.

niepochlebnie populizmem? Myślę o tym, co się dzieje w USA, Włoszech, Francji, na Węgrzech, w Polsce.

Wspólną cechą tych ruchów jest kryzys establishmentu. Na Zachodzie partie, które tworzyły porządek europejski po 1945 r., straciły zaufanie wyborców. To zwolniło miejsce na poglądy, które część wyborców wyznawała, ale które nie były dopuszczane do głównego nurtu debaty publicznej. Na naszych oczach realizują się dążenia społeczeństw europejskich do stworzenia systemu bardziej otwartego na aspiracje ludzi. Nie jest to ruch homogeniczny, ale dążenie do bardziej otwartej polityki jest wspólne.

Mówi Pan, że tym ludziom nie chodzi o gospodarkę, i krytykuje modele ekonomiczne, które głoszą, że działania populistów doprowadzą do

katastrofy. Ale kategorie, którymi Pan operuje, są równie niejasne. Na czym miałyby polegać przywrócenie suwerenności? Jeśli jakieś państwo podpisuje umowę z innym państwem albo grupą państw, to ogranicza swoją suwerenność. Uznaje jednak, że taka decyzja leży w jego interesie. Szastanie argumentem niepodległości bywa manipulacją.

Główne przyczyny brexitu mają charakter kulturowy, a ponieważ chodzi o kulturę, nie da się wymienić np. 16 jego konkretnych powodów. Moim zdaniem, jednym z głównych jest protest przeciwko denacjonalizacji życia publicznego, patologizowaniu wszelkich przejawów patriotyzmu. To również reakcja na rozpad więzi wspólnotowych i piętnowanie przejawów takich więzi, a także na rozwój wielokulturowości.

Podstawowe założenie filozofii wielokulturowości głosi, że twój styl życia jest co najwyżej równie wartościowy, co styl życia ostatniej grupy migrantów, która osiedliła się w twoim kraju. Innymi słowy: populizm – w tym brexit – to reakcja na świat, w którym nie rozumiesz, gdzie jest twoje miejsce. A jeśli rozumiesz i próbujesz tego miejsca bronić, to jesteś uważany za staroświeckiego kretyna albo wroga tolerancji. To wkurza ludzi, sprawia, że rośnie w nich gniew. Uważają, że są traktowani przez *establishment* z pogardą, jak moralne karły.

Na ile ważny w tych ruchach jest nacjonalizm? Widzimy jego ożywienie m.in. na Węgrzech czy w Polsce, gdzie mamy do czynienia ze specyficzną mieszanką nacjonalizmu i katolicyzmu.



→ Przypadek Europy Wschodniej jest różny od Zachodu, zwłaszcza Wielkiej Brytanii. Jest różny dlatego, że wy w czasach stalinowskich straciliście poczucie narodowego przeznaczenia. W Polsce zostało ono silnie osłabione, w innych krajach – unicestwione. Teraz Viktor Orbán próbuje je odbudować, ale – mimo ciągłego machania flagą, nawiązań do „Wielkich Węgier” – to początkowe stadium procesu.

Niepokoja Pana te praktyczne odwołania do nacjonalizmu?

Zależy które. Decyzja o przyznaniu prawa głosu Węgrom mieszkającym poza krajem wydaje mi się zrozumiała. Nie mam problemu z tym, że Orbán próbuje zaszczyć u swoich rodaków odrobinę narodowej dumy, która kompletnie wyparowała. Uważa przy tym, żeby nie przekroczyć granicy – np. nie zgłasza pretensji wobec ziem zabranych Węgrom w 1920 r. Co więcej, w przemówieniach powtarza, jak jego rodakom blisko do ich „słowackich braci”, co w węgierskiej retoryce stanowi *novum*. Orbán rozumie, że przyszłość Węgier zależy w dużym stopniu od bliskości i konsensusu z innymi państwami Europy Środkowej.

Jest też wielkim przyjacielem Władimira Putina. Ciekawe, że ruchy populistyczne rzeczywiście różnią się od siebie, ale ta jedna cecha je łączy: podziw dla Rosji Putina. Nie przeszkadza to Panu, synowi uchodźców z Węgier po 1956 r.?

Czasem przeszkadza. Ale Orbán próbuje balansować między Unią a Rosją w interesie Węgier. Nie umniejszam zagrożenia ze strony Rosji i rozumiem, co czują np.

Polacy czy Litwini. Z drugiej strony, nie przesadzajmy: Putin nie jest demiurgiem, który pociąga za sznurki i kontroluje politykę na całym świecie. Nie on wybrał Trumpa, nie on zdecydował o brexicie. Jego wpływ na wydarzenia na świecie jest przeceniany. Rosja jest słabą gospodarką, a kryzys demograficzny osiągnął tam dramatyczny punkt. Znacznie większym zagrożeniem dla Zachodu są Chiny, z czego zresztą zdaje sobie sprawę Ameryka.

Przeciwstawia Pan ruchy populistyczne establishmentowi, ale przecież większość nowych liderów populizmu – włącznie z czołowymi działaczami kampanii brexitowej – to establishment w formie czystej. Potępia Pan manipulacje i opresyjność tradycyjnej polityki, ale Orbán, Kaczyński czy Salvini to mistrzowie manipulacji, dzielenia narodów, wrogiej, czasem poniżającej retoryki, instrumentalizacji polityki.

Ja nie wierzę bezkrytycznie żadnym politykom. Wierzyć należy ludziom – i pokładać nadzieję, że ich zbiorowa mądrość uchroni nas przed skutkami działań kretynów, którzy co jakiś czas dorywają się do władzy. Ma pan rację: większość liderów politycznych to ludzie, którzy manipulują innymi. Nigdy nie uważałem, że politycy z Europy Wschodniej stoją wyżej moralnie niż ci z Zachodu.

Jaką rolę w rozwoju ruchów populistycznych odgrywa pamięć historyczna?

To część szerszego zjawiska, które wpisuje się w to, co nazywam denacjonalizacją, a jeszcze precyzyjniej – prywatyzacją debaty publicznej.

W przeszłości nasza pamięć miała podstawy teologiczne. Pamiętaliśmy po to, by umieć odróżniać dobro od zła, postawy heroiczne od tchórzliwych i godnych potępienia. W XX w. teologia została zastąpiona psychologią, a pamięć i historia zaczęły służyć ludziom do uprawomocnienia ich postaw i zachowań. Mity zostały zastąpione horrorami, spisem krzywd, które mają uzasadniać nasze działania. Historia straciła sens mitotwórczy, za to nabrała sensu terapeutycznego.

Ta jej funkcja – rejestru krzywd i traum przeżywanych ciągle na nowo – znajduje swoją najbardziej czytelną i wpływową formę w obecnym podejściu do Holokaustu. Pamięć zostaje odłączona od historii. Trauma przodków przekazywana jest z pokolenia na pokolenie, cierpienie staje się materiałem genetycznym, który formuje tożsamość kolejnych pokoleń ludzi, którzy w żaden sposób nie cierpieli w czasach Holokaustu. Nie cierpieli, ale mimo to mogą budować swoją tożsamość ofiary i czerpać z tego konkretne korzyści psychoterapeutyczne.

Myślę, że wielu Polaków czy Węgrów odnajdzie się w takim opisie, ale jak taka prywatyzacja historii i wykorzystywanie pamięci do terapii grupowej wpłynęły np. na brexit?

Moim zdaniem pamięć nie odegrała istotnej roli przy okazji brexitu. Nie zauważyłem znaczących prób odgrzewania nostalgii za „dawnymi dobrymi czasami”. Nie było tęsknych wspomnień o czasach, w których Brytyjczycy cierpieli – z tego prostego powodu, że nie ma do czego się odwoływać. To raczej my w historii zadawaliśmy innym ból i cierpienie.

TP

Dołącz do grupy dyskusyjnej „Smaki” >> powszech.net/smaki



„Smaki” to gotowanie, jedzenie, restauracje, porady.

Tu dzielimy się najciekawszymi przepisami, ale także najlepszą publicystyką kulinarną. Dyskutujemy o wszystkim, co dotyczy jedzenia: jak je przyrządzać, gdzie zjeść na mieście, jak zadbać o jakość produktów, ale także na temat narzędzi takich jak patelnia, nóż czy mątełka.

Niebawem w grupie znajdą Państwo również fragmenty nowej książki Michała Kuźmińskiego „Nauka w kuchni”, przedpremierowo!

powszech.net/smaki

Brytyjczycy są prawdopodobnie jedynym społeczeństwem w Europie, które nie ma tradycji nacjonalistycznej. Piszę właśnie książkę na ten temat i jedna z moich tez mówi, że ludzie nie interesują się swoją tożsamością, dopóki są jej pewni. Jeśli ktoś rozumie, na czym polega jego rola i sens życia, nie drażni tematu tożsamości. Bycie Brytyjczykiem było do niedawna oczywistością, nie trzeba było się głowić, na czym ona polega. I dopiero potem w badaniach wyszło np., że najważniejszym aspektem brytyjskiej tożsamości jest dla nich Narodowa Służba Zdrowia (NHS).

Czy obawia się Pan nadużywania historii i pamięci do celów politycznych?

Takie próby są niebezpieczne, bo odciągają nas od tego, co trzeba naprawdę zrobić. Ale przy okazji brexitu widzę raczej ludzi, którzy w proteście przeciwko Imperium odmawiają przypinania maków w rocznicę zakończenia I wojny światowej, albo próbują obalać pomniki dawnych liderów. Nie ma nacjonalistów, którzy nawołują do budowy nowych pomników Nelsona, ale jest wielu antynacjonalistów, którzy chcieliby obalać te już istniejące.

A może próba wykorzystania historii do budowania więzów społecznych nie jest niczym złym? Jeśli szuka Pan teologii w historii, to wystarczy popatrzeć, jak traktowana jest ona przez rządzących w Polsce: budowany jest nowy panteon bohaterów, całe pojęcie historii są reinterpretowane w kategoriach teologicznych, heroicznych.

Niezbędne jest utrzymanie pewnej ciągłości historycznej. Historii narodowej uczymy się po to, by zrozumieć, skąd jesteśmy. Krytyczna ocena historii i czerpanie z niej kierunku myślenia o współczesności nie są niczym złym. Boję się jednak, gdy historia nabiera skrajnie pragmatycznego, instrumentalnego charakteru i zamiast służyć nam do wzmacniania wrażliwości moralnej, pomaga tworzyć sztuczne wartości.

Jaki będzie skutek populizmu? Niedawno dziennik „The Guardian” wyliczył, że ok. 25 proc. Europejczyków głosuje już na partie określone tym mianem. Jak to zmieni podejście ludzi do polityki i życia społecznego?



PETER MACDIARMID / REX / SHUTTERSTOCK / EAST NEWS

FRANK FUREDI jest brytyjskim socjologiem, emerytowanym profesorem University of Kent. Urodzony w Budapeszcie, po powstaniu w 1956 r. wyemigrował z Węgier i osiadł w Wielkiej Brytanii. W latach 70. XX w. był tu działaczem skrajnej lewicy, założycielem marksistowskiej Revolutionary Communist Party. Później angażował się w kampanie na rzecz wolności słowa, ale także krytykował np. konsensus naukowców ws. globalnego ocieplenia. Autor książek, m.in. „The Politics of Fear. Beyond Left and Right” (2005) oraz „Gdzie się podzieli wszyscy intelektualniści?” (wydanie polskie 2013).

Wiele zależy od reakcji na populizm. Jednym z powodów, dla których ludzie zaczęli interesować się własną tożsamością, jest fakt, że ich oponenci celebrowali inne tożsamości. W ciągu ostatnich 20 lat można było w nieskrępowany sposób celebrować tożsamość geja, kobiety, imigranta. Jedyną wstydu godną tożsamością była tożsamość narodowa. To, co

teraz widzimy, to w dużym stopniu reakcja obronna wobec tego, co działo się ostatnio w kulturze zachodniej. To reakcja na akceptowane formy hegemonii kulturowej.

A jak się rozwinie? Zobaczmy. Na przykład w Ameryce widzimy, że może przybrać okropny kształt. Tam pojawia się bardzo agresywny rodzaj tożsamości białych. Skrajna prawica jest w istocie lustrzanym odbiciem jej oponentów. Jeśli popatrzeć na jej retorykę i metody, to naśladuje ona tzw. *social justice workers* (aktywistów sprawiedliwości społecznej), którzy ją krytykują. Uważam jednak, że ruchy populistyczne są na początku drogi, są politycznie nieukształtowane, poszukują właściwego głosu, także solidarności między sobą. Podlegają wpływom różnych sprzecznych ideologii.

Na koniec wróćmy jeszcze do brexitu. Co będzie, jeśli w Wielkiej Brytanii zostanie rozpisane drugie referendum?

Zależy od zadanego pytania. Jeśli to będzie pytanie o brexit, skończy się tak jak poprzednio. Podczas kampanii przed głosowaniem odezwą się ci wściekli ludzie, których dziś traktuje się jak kretynów, i którzy rzekomo nie wiedzieli, za czym głosują. Obawiam się, że jest spora grupa zrezygnowanych, zdemoralizowanych, zniechęconych tym, że po raz kolejny ich głos nie jest brany pod uwagę.

Uważam jednak, że politycy i urzędnicy znajdą sposób, żeby nie dopuścić do brexitu nawet nie rozpisując drugiego referendum. Po prostu powiedzą nam, że teraz nie pora na takie dramatyczne decyzje, a my z czasem zapomnimy, że kiedykolwiek za brexitem głosowaliśmy.

© Rozmawiał DARIUSZ ROSIAK

Odszedł od nas

Ś.P.

Ksiądz Biskup Tadeusz Pieronek

Wspaniały kapłan, intelektualista, wybitny profesor prawa, a dla wielu z nas przewodnik i prawdziwy przyjaciel.

JAN OLBRYCHT
POSEŁ DO PARLAMENTU EUROPEJSKIEGO

CUDZOZIEMIEC, KTÓRY CZUŁ POLSKĄ

W powstaniu wielkopolskim walczył jako polski oficer,
kilkanaście lat później założył mundur Luftwaffe.
Historia Paula (Pawła) Krenza to opowieść o ludziach,
którzy musieli balansować między biegunami swych tożsamości.

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

FOTOGRAFIA ŻOŁNIERZA W MUNDURZE Armii Wielkopolskiej, lotnika, podpisana była: „Kuzyn Paweł jest kapitanem”. Na innych zdjęciach, znacznie już późniejszych został rozpoznany, gdy występował w mundurze oficera Luftwaffe. Kim zatem był: Niemcem czy Polakiem? A może raczej: za kogo się uważał?

Opowieści rodzinne, przekazy medialne

W rodzinnym przekazie – był kuzynem mojego ojca – zachowała się opinia, że był barwną postacią.

Urodził się jako Paul Krenz w 1896 r. w Biskupnicy koło Czluchowa (niemiecka urzędowa nazwa miejscowości brzmiała wtedy: Bischofswalde, Kreis Schlochau). Jego matka pochodziła z polskiej rodziny zamieszkującej pogranicze Pomorza, Warmii i Mazur. O ojcu, identyfikowanym w przekazie rodzinnym jako Niemiec, wiedzano tyle, że był nauczycielem.

Opowiadano, że w czasie I wojny światowej Paul służył w niemieckim lotnictwie. I że gdy wybuchło powstanie wielkopolskie, przeszedł na polską stronę. Wzięty do niewoli, miał wrócić do Berlina, gdzie mieszkali jego rodzice i młodszy brat. Ożeniony był z Polką, która po jakimś czasie zmarła.

W pierwszych latach II wojny światowej zjawiał się z matką w jej rodzinnych stronach, aby pomóc siostrze matki odzyskać zarekwirowany przez niemieckich okupantów majątek. W rodzinie mówiono, że chciał ożenić się ponownie, koniecznie z Polką. Gdy do tego doszło, zdezerterował z armii niemieckiej, po czym uciekł wraz z żoną do Afryki. Jego dalszych losów nie znano. W rodzinnych archiwach nie odnaleziono też żadnych dokumentów, które by go dotyczyły.

Czas pokazał, że – jak to bywa w opowieściach przechodzących przez usta wielu osób – pogłoski mieszają się z faktami, a całość wiąży domysły, które w miarę powtórzeń traktowane zaczynają być jako zdarzenia autentyczne.

Znacznie jednak poważniejszym od ustalania i porządkowania faktów stał się problem innego rodzaju. Okazało się bowiem, że zarówno niektórzy historycy, jak i dziennikarze skłonni są, aby na podstawie śladowych i bardzo niepewnych informacji tworzyć w swych publikacjach fantastyczne historie. A przede wszystkim – rozpatrywać biografię, która rozegrała się na etnicznym pograniczu, z zastosowaniem narodowych stereotypów.

W konsekwencji Paul Krenz zaczął być identyfikowany – w publicystyce poświę-

czonej powstaniu wielkopolskiemu – jako „cudzoziemiec” służący w polskiej Armii Wielkopolskiej.

Archiwa mają głos

Rozpoznawanie jego faktycznej biografii zajęło mi wiele lat – poszukiwaniem dokumentów zająłem się w 1997 r.

Na podstawie źródeł, odkrywanych zarówno w archiwach polskich, jak i niemieckich, udało się ustalić, że urodził się na terenie Prus Zachodnich. Podczas I wojny służył początkowo w kawalerii, później w oddziale karabinów maszynowych (w obu tych formacjach na froncie wschodnim). Następnie został skierowany do szkoły obserwatorów lotniczych, po czym walczył na froncie zachodnim – we Flandrii – na aeroplanach, określanych ówczesnie w polskiej terminologii mianem „latawców”. Koniec wojny zastał go w łazarecie w Bydgoszczy.

Akces Krenza do powstania wielkopolskiego miał miejsce w połowie stycznia 1919 r. Wedle polskich źródeł pełnił wtedy funkcję dowódcy gnieźnieńskiego oddziału karabinów maszynowych (jak wówczas mawiano: „kulomiotów”) i brał udział w bojach na froncie północnym powstania – m.in. w bitwie pod Kcynią, którą gen. Józef Dowbór-Muśnicki (naczelny wódz Ar-



Paweł Krenz jako oficer Armii Wielkopolskiej

mii Wielkopolskiej) określił jako punkt zwrotny w walce o utrzymanie tego frontu.

Z analizy przebiegu bitwy wynika, że po rozpoczęciu przez Niemców ofensywy – jej siła sprawiła, że wojska powstańcze zaczęły się cofać, ulegając miejscami panice – oddział Krenza zachował zdolność

bojową i powstrzymywał atak na swoim odcinku, aż do otrzymania wsparcia.

Przejście na polską stronę nie zakończyło się na epizodzie powstańczym.

W sierpniu 1919 r. Paul – teraz już jako Paweł, pisany też niekiedy jako Krenc – został przyjęty do 3. Wielkopolskiej Eskadry

Lotniczej. Jako pilot obserwator służył na froncie litewsko-białoruskim, gdzie w lutym 1920 r. dostał się do bolszewickiej niewoli. Do Polski wrócił w lipcu.

Zagadką pozostaje, w jaki sposób wy dostał się tak szybko z niewoli. Wiadomo, że w czerwcu był już w obozie przejściowym dla powracających z niewoli rosyjskiej żołnierzy niemieckich. Obóz znajdował się w miejscowości Czarne w Prusach Zachodnich – Krenz leczył się tam z tyfusu, którego nabawił się w niewoli. Czy kiedy został zestrzelony, podał się bolszewikom za Niemca? Czy dlatego go zwolniono i przekazano właśnie Niemcom?

Jakkolwiek się to odbyło, faktem jest, że po powrocie z niewoli zgłosił się ponownie do Wojska Polskiego, i że nadal uczestniczył w walkach, które jego eskadra toczyła w Małopolsce Wschodniej.

O jego dalszej służbie wiadomo, że odznaczony został Krzyżem Walecznych i że w październiku 1920 r. awansowano go na kapitana. W maju 1926 r., a zatem w czasie dokonanego przez marszałka Piłsudskiego zamachu stanu, na własną prośbę przeniesiony został do rezerwy.

Hauptmann z Luftwaffe

W kolejnych latach Paul/Paweł Krenz pracował początkowo w założonej w drugiej połowie lat 20. przez jego młodszego brata Alfreda berlińskiej wytwórni likierów. Później m.in. w firmie maszyn biurowych Mercedesa. A także, gdy nie miał już stałego zatrudnienia, czasowo jako reporter prasowy i agent ubezpieczeniowy.

W 1933 r. zwrócił się do urzędu w Berlinie z prośbą o jednorazową pomoc socjalną dla byłego oficera. Motywował to nędzą spowodowaną brakiem stałej pracy, hospitalizacją chorej na gruźlicę żony i koniecznością samotnej opieki nad córką.

Po kolejnym piśmie, skierowanym do Urzędu Lotnictwa, został w nim zatrudniony w 1934 r. w Schleissheim koło Monachium na stanowisku urzędniczym, w stopniu kapitana (wtedy znajdowało się tam lotnisko i lotnicze zakłady produkcyjne; dziś muzeum lotnictwa). Stopień hauptmanna nie miał związku z jego służbą w polskiej armii, lecz z awansem otrzymanym na podstawie wysługi lat w armii niemieckiej. Dodajmy, że udział w powstaniu wielkopolskim i służbę w polskiej armii Krenz skutecznie zataił w swej niemieckiej dokumentacji.

Po 1938 r. pracował w wojskowej szkole lotniczej w Halle, brał udział jako



Paul Krenz jako oficer Luftwaffe

ARCHIWUM PRYWATNE AUTORA

→ obserwator lotniczy w zajęciu przez Wehrmacht czeskich Sudetów. Następnie otrzymał zatrudnienie w wojskowej szkole lotniczej w Lechfeld (Szwabia).

Od 1940 do początków 1942 r. służył w Grosse Kampffliegerschule 3 na terenie okupowanej Polski. W 1942 r. przeniesiony został do Francji – początkowo do dowództwa lotniska w Lille, a następnie do Paryża, gdzie na tamtejszym lotnisku pełnił funkcję dowódcy łączności. W tym czasie awansowany został na majora Luftwaffe.

Do alianckiej niewoli dostał się w 1945 r. na terenie Holandii. W obozie jenieckim w Anglii przebywał do 1948 r., do Niemiec powrócił w roku 1954.

Zmarł w Pürgen koło Monachium w 1955 r.

Pytania i hipotezy

W biografii Krenza dają się zauważyć dwa zasadnicze punkty zwrotne. W obu przypadkach nieznane są motywy, które za-

wały na dokonanych przez niego wyborach. Nie wiadomo, z jakiego powodu zdecydował się wziąć udział w antyniemieckim powstaniu, co w konsekwencji powiodło go do służby w polskim wojsku. Nie wiemy też, co sprawiło, że z tego wojska wystąpił i przeniósł się do Niemiec, aby tam trafić na koniec do armii niemieckiej.

Oba te punkty rozpatrywać można jedynie hipotetycznie. Nie sposób przy tym zgodzić się na to, by we wnioskowaniu absolutyzowane były kwestie narodowościowe.

Szukając motywów, które zdecydowały o akcesie Krenza do powstania, warto mieć na uwadze, że wojska powstańcze były zrewoltowane nie tylko w kwestiach narodowych, ale też społecznych. Było to pochodną rewolty, jaka rozgrywała się w armii cesarskiej, z której żołnierze biorący udział w powstaniu się wywodzili.

Spółeczne uwarunkowania mogły mieć też wpływ na decyzję Krenza, gdy wystę-

pował z Wojska Polskiego w 1926 r. Jak podano w jednym z opracowań odnoszącym się do tamtego czasu: „Kapitan żonaty i dzietny pobiera [wynagrodzenia – red.] mniej niż przeciętny dozorca domowy”. Kapitan Krenz był akurat zarówno świeżo żonaty, jak i „dzietny”.

„Czuje i żyje Polską”

W publikacjach, jakie pojawiały się w Polsce na temat Krenza, jego tożsamość nazywano zwykle niemieckością. W dużej mierze wpływ na to miało przekonanie o etnicznym pochodzeniu jego ojca, a zwłaszcza wyrokowanie na podstawie finalnego efektu drugiego punktu zwrotnego, czyli zatrudnienia we wrogiej Polsce Luftwaffe. O matce Paula pisano zaś bezpodstawnie, że „choć pochodziła z polskiej rodziny, wychowała go na Niemca”.

Kierując się założeniami narodowymi, popełniano również istotny w konsekwencji błąd. Przeświadczenie o silnym naznaczeniu niemieckością sprawiło bowiem, że na podstawie jednego z historycznych opracowań – w którym podano, że od pierwszych, grudniowych dni powstania w Gnieźnie dowódcą oddziału kulomiotów był człowiek zwany „Prusakiem” – przyjęto, że człowiekiem tym był Krenz. Okazało się to nieprawdą. Wiadomo już, że Krenz przystąpił do powstania dopiero w styczniu 1919 r.

Przypisanie Krenzowi przydomku „Prusak” ugruntuowało tezę o jego obcej tożsamości. Teza ta zbywa całkowicie kwestię jego pochodzenia – ukształtowanego na etnicznym pograniczu, niejednoznacz-

tymczasem informacje o prywatnym życiu Krenza przemawiają za tym, że polski sentyment był w nim stale obecny – obie jego żony były Polkami, zarówno Maria, poślubiona w 1923 r., jak i Bronisława, z którą ożenił się w 1942 r. Jak podkreślano to w rodzinnym przekazie, Krenzowi na polskości żon bardzo zależało. Wnioskować z tego można, że był to efekt uczuciowego przywiązania syna do jego polskiej matki, jak również do jej polskiej rodziny, która być może stanowiła dla niego rodzinny wzorzec. Z rodziną tą już od dzieciństwa miał regularny kontakt.

Sentyment ten podważa tezę, jakoby matka wychowała go na Niemca. Przeczą jej również opinie wydane przez jego polskich przełożonych w wojsku. Jeden z nich napisał, że choć Krenz wychowany został w niemieckim środowisku,

to „czuje i żyje Polską”. Drugi przełożony – dowódca wspomnianej 3. Eskadry Józef Mańczak (to on zdobył lotnisko w Ławicy pod Poznaniem, założył szkołę pilotów i walczył na froncie litewsko-białoruskim; w 1940 r. został zamordowany w Katyniu) – ocenił Krenza tak: „świadomość narodowa – bardzo dobra”.

„Językiem nie włada”

Przebiegając w licznych polskich publikacjach rzekomo cudzoziemskość Krenza, używa się też nagminnie argumentu o słabym posługiwaniu się przez niego polszczyzną lub wręcz o całkowitej jej nieznajomości.

Jednak w źródłach znaleźć można świadectwa, że nie stanowił pod tym względem przypadku odosobnionego. O oficerze, służącym również jak on na froncie północnym powstania – podporuczniku Konradzie Golniewiczu – napisano w relacji, że choć nie znał języka polskiego, a rozkazy wydawał w uniformie i języku niemieckim, to jest jednak Polakiem „z krwi i kości”, wychowanym w Berlinie, przez co „językiem ojczystym dostatecznie nie włada”.

Jest rzeczą zastanawiającą, że w publikacjach, w których porusza się temat udziału cudzoziemców w powstaniu wielkopolskim, nie umieszcza się postaci Golniewicza. A przecież powinno tak się dziać z tego samego powodu, jak ma to miejsce w przypadku Krenza.

W biografii Pawła Krenza widać dwa punkty zwrotne:

akces do powstania w 1919 r.
i potem do Luftwaffe.

W obu przypadkach
nieznane są motywy, które
zaważyły na dokonanych
przez niego wyborach.

Nie kwestionuje się też polskości Golniewicza. Co jest tego przyczyną? Golniewicz podobnie jak Krenz odbył wszystkie kampanie wojenne toczące przez polską armię w latach 1919-20, w 1927 r. przeniesiony został w stan spoczynku, następnie pracował jako architekt w Poznaniu, skąd na początku II wojny został przez władze niemieckie przymusowo wysiedlony. Krenz w tym czasie służył już w Luftwaffe, gdzie zatrudniono go po desperackiej prośbie, której powodem nie było ideowe zaangażowanie, lecz prozaiczna bytowa nędza.

Zasadne pytanie brzmi, czy gdyby w identyfikowaniu tożsamości Krenza nie sugerowano się tak mocno jego służbą w hitlerowskich siłach zbrojnych, a skupiono na samym tylko akcesie do powstania, to czy można by w sposób tak absolutnie jednoznaczny przedstawiać go jako cudzoziemca?

Rysy ludzi tutejszych

Wątpliwości, które podważają taki sposób prezentacji Krenza w polskiej publicystyce i w mediach, jest zresztą więcej. Wiąza się z jego pogranicznym pochodzeniem, którego specyfikę tak ujął Hans Helmut Kirst w jednej ze swych nostalgicznych mazurskich powieści: „Rysy szczególne żyjących tu ludzi bywały ze sobą sprzeczne, mimo to przechodziły w siebie nawzajem. (...) Sprawiały wrażenie pół słowiańskie, a pół niemieckie, i nie sposób się było zorientować, która z dwóch stron bardziej się na nich odciśka”.

Rozważając motywy życiowych wyborów takich osób jak Krenz, warto mieć powyższe na uwadze. Pozwoli to zrozumieć, jak ludzie z pogranicza balansują między biegunami swej tożsamości – i jak trudna, tak mentalnie, jak i w życiowej praktyce, staje się ich sytuacja, gdy pomiędzy nacjami, z których się wywodzą, wybucha konflikt.

Przymuszeni do opowiedzenia się po którejś ze stron, ujawniają zawsze jakimś znakiem, że prawda o nich nie da się uwięzić w jednoznacznej formule.

© PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

Dziękuję ks. Robertowi Kulczyńskiemu za udostępnienie dokumentów z Centralnego Archiwum Wojskowego oraz Karstenowi Holstemu za wyszukanie dokumentów w archiwach niemieckich.

REKLAMA

**SZTUKA
MYŚLENIA**

Premiera książki
Piotra Augustyniaka

WYSPIAŃSKI
Burzenie polskiego
kościółka

Goście
Andrzej Leder,
Wit Szostak
Prowadzenie
Jarosław Gugata

15/01/2019 • 19.00

URODZINY STACHA

performans i debata

Scena MOS, ul. Rajska 12, Bilety ► 5 zł



UMYSŁY I KĄTY

MONSTRUM / EAST NEWS

Geometria – fundament matematyki i wzorzec ścisłego myślenia – opiera się na zdolnościach poznawczych, które dzielimy z innymi zwierzętami. Ale dzięki Grekom nauczyliśmy się ich używać inaczej.

MATEUSZ HOHOL, MARCIN MIŁKOWSKI

PSYCHOLOGOWIE BADAJĄ PRZETWARZANIE pojęć matematycznych przynajmniej od lat 60. XX w. W ostatnich dekadach dołączyli do nich antropolodzy, neurobiolodzy, filozofowie i lingwiści, tworząc nową, interdyscyplinarną perspektywę badawczą – kognitywistykę matematyki. Co roku publikowane są setki artyku-

łów, przybliżających nas do zrozumienia, jak ludzki umysł radzi sobie z liczbami. Znacznie mniej badań koncentruje się natomiast na geometrii euklidesowej.

Nie sposób tymczasem zrozumieć poznanie matematyczne, pomijając geometrię. Geometria euklidesowa – czyli ta znana każdemu z nas ze szkoły, funkcjo-

nująca w zwykłej (płaskiej) przestrzeni; sformalizowana ok. 300 lat p.n.e. przez Euklidesa – od wieków jest królową nauk i wzorcem ścisłego myślenia. W starożytności nawet teoria liczb miała geometryczny charakter, a system Euklidesa stanowił w istocie pierwszy system aksjomatyczno-dedukcyjny (czyli skonstruowany

*Plac zabaw w Kopenhadze,
październik 2017 r.*

ściśle na bazie kilku założeń początkowych – aksjomatów) w historii matematyki. Wokół natury wiedzy o przestrzeni toczą się gorące spory filozoficzne, a wielu słynnych uczonych, by wymienić tylko Richarda Feynmana i Rogera Penrose'a, sugerowało, że ich myślenie ma zawsze charakter geometryczny.

O psychologicznych podstawach geometrii wiemy mniej niż o myślowym przetwarzaniu liczb, ale z dotychczasowych badań zaczyna się wyłaniać spójny obraz.

Dwa systemy

Zgodnie z teorią zaproponowaną przez Elizabeth Spelke, badaczkę z Uniwersytetu Harvarda, ludzkie niemowlęta, podobnie jak inne ssaki, rodzą się wyposażone w podstawową wiedzę umożliwiającą im radzenie sobie w świecie. Mówimy, że wiedza ta zakodowana jest w „rdzennych systemach poznawczych”, ponieważ ich działanie obserwować można w rozwoju osobniczym zbyt wcześnie, by mogło być wytłumaczone jako wynik uczenia się. Są one raczej wytworami doboru naturalnego, mającymi rozwiązywać ważne życiowe problemy. Spelke wraz z Katherine Kinzler piszą, że: „systemy te służą do reprezentowania nieożywionych obiektów i ich mechanicznych interakcji, sprawczych podmiotów i działań nakierowanych na cel, zbiorów i liczbowych relacji uporządkowania, dodawania i odejmowania, a także lokalizacji przestrzennych i ich własności geometrycznych”. Podstawy naszej wiedzy geometrycznej tkwią w dwóch systemach rdzennych. Pierwszy z nich nazywany jest „systemem geometrii przestrzennej”, a jego mózgową podstawą jest formacja hipokampa, drugi zaś „systemem geometrii obiektowej”. Ten ostatni zlokalizowany jest w strukturach kory bocznej potylicznej oraz bruzdy skroniowo-potylicznej.

Pierwsze dane eksperymentalne świadczące o istnieniu systemu geometrii przestrzennej pojawiły się już w latach 80., kiedy Ken Cheng i Charles Randy Gallistel odkryli, że szczury orientują się w przestrzeni głównie na podstawie analizy całościowej geometrii pomieszczenia, a nie rozmieszczonych w nim charakterystycznych obiektów.

Postanowili sprawdzić, w jaki sposób szczury odnajdują nagrodę ukrytą w jednym z rogów prostokątnej areny ograniczonej ściankami. Gdy gryzonie wiedziały już, gdzie szukać pożywienia, badacze dezorientowali je, a następnie obserwowali ich ponowne poszukiwania. Najpierw zaaranżowano sytuację, gdzie jedyną informacją, z której mogły skorzystać szczury, była geometria pomieszczenia – pozbawione było ono punktów charakterystycznych, a wszystkie ściany miały ten sam kolor.

Okazało się, że poszukiwania zdeorientowanych gryzoni nie są chaotyczne, ale ograniczają się albo do poprawnej lokalizacji pożywienia, albo identycznego pod względem własności geometrycznych rogu po przekątnej areny. Cheng i Gallistel sprawdzili również, co się stanie, jeśli do wybiegu wprowadzony zostanie punkt orientacyjny (np. jedna ze ścian będzie mieć inny kolor). Okazało się, że szczury nie korzystały z tej podpowiedzi, ale wciąż poszukiwały nagrody w poprawnym rogu albo jego geometrycznym odpowiedniku.

Z wyników tych eksperymentów wyprowadzono dwa wnioski: po pierwsze, zwierzęta wykazują czułość na geometrię środowiska; po drugie, geometria środowiska jest podstawową informacją wykorzystywaną w orientacji przestrzennej. Późniejsze badania przeprowadzone przez Spelke ujawniły podobną prawidłowość u 22-miesięcznych dzieci.

System geometrii przestrzennej pomija informacje o kolorze, oświetleniu czy teksturze środowiska, koncentrując się na przetwarzaniu dwóch ważnych własności geometrii euklidesowej: odległości (długości) oraz kierunku. W konsekwencji pozwala na rozumowanie o pozycji osobnika oraz lokalizacji poszczególnych obiektów w środowisku. Poza jego zasięgiem jest jednak inna ważna własność geometryczna: kąt. Oznacza to, że system geometrii przestrzennej samodzielnie nie wystarcza do sprawnego myślenia na temat tego, co wszyscy doskonale pamiętamy ze szkolnych lekcji matematyki: dwuwymiarowych figur geometrycznych.

Zdaniem Spelke i jej współpracowników dobór naturalny ukształtował jednak także drugi system geometryczny. Jest on czuły na kształty niewielkich trójwymiarowych przedmiotów i z tego względu nazywany jest „systemem geometrii obiektowej”. Przy analizie kształtu system ten pomija, z czego przedmioty są zrobione, jaki mają kolor czy wreszcie to, jak są one

zorientowane. Specjalizuje się w analizie kątów oraz długości, ale nie jest czuły na kierunek. Z tego względu nie nadaje się do orientowania się w przestrzeni ze względu na geometrię środowiska oraz zawodzi w zadaniach takich jak odróżnianie kształtu od jego lustrzanego odbicia.

Poza rdzenną geometrię

Choć dzięki rdzennym systemom poznawczym reagujemy na własności geometryczne, ich ograniczenia sprawiają, że żaden z nich z osobna nie może stanowić całościowej podstawy geometrii euklidesowej. Jednakże zdaniem Spelke oraz jej współpracowniczek, Sang Ah Lee oraz Véronique Izard, około czwartego roku życia „dzieci wykraczają poza te ograniczenia i konstruują nowy, kompletny i ogólny, system reprezentacji geometrycznych, łącząc produktywnie reprezentacje dostarczane przez te systemy”.

Przełom ten dokonuje się dzięki doświadczeniu, jakiego dzieci nabywają w operowaniu „narzędziami poznawczymi” (sens tego pojęcia wyjaśnimy nieco dalej): rysunkami, schematami graficznymi oraz modelami przedmiotów w zmniejszonej skali. Uczą się one wówczas, że przetwarzane pierwotnie przez system geometrii przestrzennej układy, takie jak własny pokój, mogą być postrzegane również jako dwuwymiarowe obiekty, których kształt wyznaczany jest przez kąty. Co więcej, oglądając niewielkie przedmioty (np. zabawki) z różnych perspektyw oraz „obracając” w umyśle dwuwymiarowe figury – przetwarzane pierwotnie przez system geometrii obiektowej – dzieci zaczynają rozumieć, że obiekty te mogą być eksplorowane z różnych perspektyw, w czym rolę odgrywać zaczyna kierunek. Jak twierdzą Barbara Landau oraz Laura Lakusta, proces przechodzenia od ograniczonych systemów rdzennych do bardziej ogólnego umysłowego systemu geometrycznego, obejmującego odległość (długość), kierunek oraz kąt, wzmacniany jest ponadto poprzez naukę słownictwa, umożliwiającego opisywanie relacji przestrzennych.

Geometria euklidesowa to jednak coś więcej niż uchwytowanie własności otaczającej nas przestrzeni i rozmieszczonych w niej obiektów (z czym radzą sobie inne zwierzęta oraz bardzo małe dzieci). Polega ona na operowaniu abstrakcyjnymi pojęciami, zauważaniu relacji, w które one wchodzą, oraz „umieszczaniu” ich →

→ w dowodach twierdzeń, cechujących się ogólnością i koniecznością. Uczymy się tej sztuki w szkołach, wykorzystując narzędzia wzorowane na tych, dzięki którym starożytni Grecy opracowali geometrię.

Narzędziami tymi są diagramy oraz techniczny język.

Potęga diagramów

Gdy zajrzemy do najsłynniejszego podręcznika do geometrii wszech czasów, czyli „Elementów” Euklidesa, nie znajdziemy w nim specyficznych symboli, które kojarzą się nam zwykle z matematyką. Zamiast tego będą tam zapisy dwóch rodzajów: diagramy oraz ciągi słów. Używane dziś powszechnie, nie tylko w geometrii, słowo „diagram” wywodzi się z gr. *διάγραμμα*, oznaczającego zarys figury. Zgodnie z tradycyjnym przekazem Grecy rozwijali geometrię najpierw kreśląc kształty na piasku (używali także woskowych tabliczek), a później zapisując (i uściślając) wnioski w formie tekstowej.

Choć w starożytności diagramy kreślili już matematycy babilońscy, egipscy oraz chińscy (ci ostatni ukuli prawdopodobnie przysłowie, że „jeden obraz wart jest więcej niż tysiąc słów”), to Grecy dodali do diagramów pewien pozornie błahy szczegół: zaczęli używać liter do oznaczania punktów diagramu, takich jak np. wierzchołki trójkąta. Wynalazek ten tradycyjnie przypisuje się Hipokratesowi z Chios, który żył w V w. p.n.e. – historyk matematyki Reviel Netz twierdzi, że uTORował on drogę ku edukacji, będącej największym wkładem Greków w rozwój matematyki. Zdaniem Netza to właśnie dzięki literom greckie diagramy są czymś więcej niż rysunkami pomocniczymi czy też pomocami szkolnymi, towarzyszącymi dowodowi zapisanemu słownie. Litery osadzają diagram w dyskursie tekstowym, dzięki czemu jest on integralną częścią dowodu twierdzenia – w wielu przypadkach nie ma możliwości, by zrekonstruować diagram na podstawie tekstu, a bez niego dowód staje się wybrakowany, twierdzenie traci prawdziwość i nie jest możliwe określanie, o jakich obiektach geometrycznych w ogóle mowa.

Netz proponuje, żeby greckie diagramy (i diagramy w ogóle) pojmować nie tylko w kategoriach wytworów kultury materialnej, ale również „zewnętrznych narzędzi poznawczych”. Narzędzia takie pozwalają przezwyciężyć indywidualne ograniczenia poznawcze (np. pamięci roboczej), umożliwiają współpracę wielu osób, które

Grecy dodali do diagramów istotny szczegół:

zaczęli używać liter
do oznaczania punktów,
takich jak
np. wierzchołki trójkąta.

mogą się wspólnie mierzyć z danym problemem matematycznym, a przez to sprawiają, że możemy osiągnąć więcej. Warto zauważyć, że najprawdopodobniej oznaczenie diagramów literami służyło pierwotnie sprawniejszej komunikacji między geometrami, a nie do wyprowadzania wniosków w dowodzie. Z biegiem czasu wynalazek okazał się jednak mądrzejszy niż jego twórcy.

Końcowy efekt, z którym możemy się zetknąć, analizując „Elementy” Euklidesa, nie byłby jednak możliwy, gdyby nie sformułowanie technicznego języka geometrii.

Formuła i epos

Homera i Euklidesa łączy nie tylko to, że ich dzieła to filary kultury europejskiej, podczas gdy o nich samych nie wiemy prawie nic. Choć pierwszy z nich (o ile w ogóle istniał) spisał opowieści wyśpiewywane pierwotnie heksametrem przez niepiśmiennych bardów, drugi zaś uważany jest za ojca matematycznej ścisłości, to język, którymi posługiwali się obydwaj, cechuje się ważnym podobieństwem. W latach 60., analizując język homeryckich eposów, amerykańscy filologowie klasyczni Milman Perry i Albert Lord zauważyli, że nie jest on złożony z dowolnych fraz, lecz z ustalonych i powtarzających się ciągów słów, nazywanych „formułami”. Zgodnie z hipotezą Perry’ego i Lorda dzięki temu homerycki język zyskał swą charakterystyczną prozodyczną strukturę, która ułatwiała zapamiętywanie i przekazywanie treści. Dlatego homeryckie formuły – twierdzi Reviel Netz – są narzędziami poznawczymi.

Euklidesowe „Elementy” nie są oczywiście pisane heksametrem. Ich język daleki jest jednak od dowolności. Charakteryzuje się ograniczonym, złożonym wedle Netza z około 200 słów leksykonem, zorganizowanym wedle zasady „jedno pojęcie – jedno słowo”, co sprzyja precyzji i wyklucza homonimiczność typową dla języka

potocznego. Słowa z geometrycznego leksykonu nie tworzą dowolnych kombinacji, ale układają się w ograniczoną (również około 200) liczbę formuł zorganizowanych wedle ścisłej hierarchii. Formuły te mogą być składnikami operacji matematycznych prowadzących do pewnych wniosków.

Specyficzny język Homera rozszerzał zdolności pamięciowe niepiśmiennych bardów; formularny język geometrii stanowi narzędzie poznawcze, które (jak twierdzi Netz) doprowadziło Greków do dostrzeżenia ogólności i konieczności twierdzeń matematycznych. Wypada zauważyć jeszcze jedno: choć mało kto dzisiaj zaczytuje się oryginałem dzieła Euklidesa (lub jego przekładem), prezentacja materiału geometrycznego w postaci diagramów i specyficznego języka technicznego przetrwała w szkolnej edukacji do czasów współczesnych.

Uchwytowanie własności geometrycznych nie jest czymś specyficznym kulturowym (potrafią to wszyscy ludzie) ani nawet specyficznym gatunkowo (występuje także u innych zwierząt). Tylko człowiek potrafi jednak wykorzystać ewolucyjnie stare, rdzenne systemy poznawcze do precyzyjnej charakterystyki przestrzeni, co wymaga przezwyciężenia ich ograniczeń. Niezależnie od tego, czy mówimy o podstawach poznania geometrycznego w rozwoju osobniczym, czy też historycznym, wydaje się, że szczególną rolę odgrywają pewne narzędzia. Choć są one wytworem ludzkiej kultury, oddziałują na nas zwrótnie, wzmacniając nasze poznanie – dlatego nazywamy je „poznawczymi”.

O matematyce zwykło się myśleć w kategoriach odkryć wybitnych jednostek. Nawet geniusze, tacy jak Euklides czy Archimedes, nie działali jednak w próżni, ale opierali się na prostych narzędziach, które okazały się mądrzejsze od ich twórców.

© MATEUSZ HOHOL, MARCIN MIŁKOWSKI

DR MATEUSZ HOHOL jest adiunktem w Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych UJ i pracownikiem Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Realizuje projekt NCN „Mechanizmy poznania geometrycznego”.

DR HAB. MARCIN MIŁKOWSKI jest profesorem nadzwyczajnym w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Kieruje projektem NCN „Kognitywistyka w poszukiwaniu jedności: Unifikacja i integracja badań interdyscyplinarnych”.

WOJCIECH

Bonowicz:

Dwa żółte ślepia



KOT LEON NIE POZWALA MI PISAĆ. NIE MOGĘ powiedzieć, że przeszkadza, co to, to nie. Ale nie pozwala. Wcześniej, kiedy tylko brałem do ręki notes albo otwierałem laptopa, kładł się grzecznie obok albo po prostu szedł na górę. Nie wiem, co się stało, ale odkąd wróciłem z Wiednia, obyczaje się zmieniły. Kiedy sięgam po notes albo po laptopa, Leon siada naprzeciwko i uważnie mi się przygląda. A właściwie nie przygląda się, tylko komunikuje. W jego spojrzeniu bez trudu można wyczytać, co zaplanował na wspólne przedpołudnie. O pisaniu w tym planie nie ma ani słowa. I co robić?

Kot jest najpiękniejszym panem człowieka. Zrozumiałem to na tyle późno, że mogłem cieszyć się wolnością przez większą część życia, a teraz żałuję. Kot wie lepiej, co dla nas dobre. Nie pozwolił nam wyjeżdżać, ale wyjechaliśmy – okrutną karę musimy wymierzyć sobie sami. Kiedy w końcu dwa żółte ślepia przestają wpatrywać się w nas z wyrzutem, czujemy się jeszcze gorzej, jeszcze bardziej przytłoczeni winą. Leon idzie na górę, ale idzie pojeżdżając, a to znaczy, że go zawiedliśmy. Miała być zabawa wędką, ściganie myszy i czochranie w tunelu. Ale zawiedliśmy na całego i kot Leon wchodzi na górę w taki sposób, że wiadomo – do końca dnia nie wydobędziemy się z tego czyścica.

Z drugiej strony, pokuta pokutą, ale trudno żałować, że się do Wiednia pojechało. Po pierwsze, Instytut Nauk o Człowieku, gdzie przez kilka dni przeglądałem archiwa, to jest jednak miejsce historyczne i w archiwach można śledzić, jak się ta historia tworzyła. Nie sposób nie zachwycić się determinacją tych, co go

powołali do życia (Krzysztof Michalski, Józef Tischner), i tych, którzy pomagali owemu życiu się rozwinąć (tu musiałbym wymienić wiele nazwisk). Powstało coś unikalnego; niby instytutów naukowych są na świecie tysiące, ale tu przecinały się drogi, które gdzie indziej przeciąć się nie miałyby szans (Soros u papieża w Castel Gandolfo, niech mnie kule biją!). W takim miejscu człowiek jakoś się otrząsa ze złych myśli co do przyszłości świata, intelektualnie się mobilizuje, odzyskuje wiarę w wyzwalającą moc upartego poszukiwania prawdy.

Po drugie, obejrzałem w Wiedniu cztery dobre wystawy i to też jest dla ducha pokarm, który powinien starczyć na trochę. W Albertinie – Niko Pirosmani, Helen Levitt i retrospektywa Moneta. W Kunsthistorisches Museum wiadomo – Bruegel. „Biała maciora z warchlakami” Pirosmaniego to obraz, do którego człowiek najdosłowniej chciałby się przytulić, choć kolory są zimne i raczej nieprzytulne. Zdjęciach Helen Levitt oferują to, co najbardziej lubię w sztuce: realistyczne sceny, w których jest równocześnie jakaś „surrealistyczna sprężyna”, wyrzucająca widza w inną rzeczywistość. Młody Monet niespodziewanie wydaje się ciekawszy od starego; wydobyty z prywatnej kolekcji „Drewniany most” czy przywieziona z Bostonu „Zadymka w Argenteuil” to retorta impresjonizmu, badanie możliwości, coś, co jeszcze nie jest „czymś” (stylem, programem, filozofią), i dlatego jest tak zajmujące. Na Bruegla z kolei oko wariuje od kolorów – najbardziej znane prace zostały dodatkowo powiększone na gigantycznych planszach i ekranach – dopóki nie spocznie na małej, monochromatycznej „Śmierci Matki Boskiej” przywiezionej z Kolekcji Fricka. Zwiedzający zatrzymują się przy niej na krótko, a szkoda. Zaludniona tłumem postaci scena dzięki umiejętnemu operowaniu światłem zdaje się kameralna, niemal intymna. Ktoś poprawia umierającej poduszkę, ktoś inny wsuwa jej do rąk zapaloną świecę. Na podłodze, tyłem do łóża, skulony kot wpatruje się w ogień kominka. Zdejmuję obraz ze ściany, chowam pod bluzą i wychodzę, jak gdyby nigdy nic, z galerii.

Chciałbym powiedzieć o tym wszystkim Leonowi, jakoś usprawiedliwić to zmarnowane przedpołudnie – ale on jest na górze. Zwinęty na krześle posapuje, bo władza nad naszym życiem jednak go zmęczyła. ©

TYGODNIK
POWSZECHNY

BANGLADESZ 2019 Pomóżmy uchodźcom z Birmy



„Tygodnik Powszechny” wraz z fundacją Dobra Fabryka Szymona Hołowni prowadzi akcję pomocy birmańskim Rohingom przebywającym w obozach na terenie Bangladeszu.

„Operacja antyterrorystyczna” – tak władze Birmy nazwały skoordynowany atak na wioski Rohingów w sierpniu i we wrześniu ubiegłego roku, w którym – jak wynika z ostatnich wyliczeń ONZ – zginęło co najmniej 25 tys. osób, a ponad 700 tys. zmuszono do ucieczki. Rok temu dzięki hojności Czytelników „TP” nasz reporter Marek Rabij pojechał do Bangladeszu relacjonować ten kryzys na miejscu.

Teraz prosimy o pomoc dla uchodźców. Nie uwolnimy ich od koszmarnych wspomnień i nie zwrócimy życia ich krewnym. Możemy jednak wzbogacić im ubogą dietę, wyposażyć szatały w palniki gazowe, maty do spania, koce, opał. Będziemy również starali się ułatwić im dostęp do opieki medycznej. Zróbmy to razem!

■ Link do zbiórki oraz więcej informacji pod adresem powszech.net/bangladesz

A photograph of a middle-aged man with grey hair, wearing a light-colored trench coat over a blue shirt and dark trousers, sitting on a stone bench at night. His hands are clasped in his lap. A black backpack with a red flower pinned to it sits on the ground next to him. The background is a blurred city street at night with warm lights and other people.

KULTURA

DRUGIE ŻYCIE REPORTERA

Stał się światowej klasy dziennikarzem,
bacznie patrzącym na ręce państwu opiekuńczemu.
I niedościgłym wzorem dla polskich reportażystów z obywatelskim zacięciem.

MICHAŁ SOWIŃSKI



GRAŻYNA MAKARA

Maciej Zaremba Bielawski podczas Festiwalu Conrada, listopad 2011 r.

JAKO SIEDEMNASTOLATEK MYŚLAŁ, ŻE NA swoją nową ojczyznę wybiera kraj ulubionego Henryka Ibsena, Norwega przecież. Dzięki pomysłce nastolatka, który autora „Dzikiej kaczk” używał głównie do imponowania licealnym koleżankom, Szwecja zyskała najbystrzejszego obserwatora i najwybitniejszego krytyka zarazem. Reportera, który ciosy wymierza precyzyjnie, ale zawsze w imię obywatelskiego obowiązku i konstruktywnego działania, bez rytualnego darcia szat.

Zgrabnej anegdoty o Ibsenie Maciej Zaremba Bielawski przez lata używał jako wygodnego wyminięcia pytań o emigrację z Polski w 1969 r. Po lekturze wydanego właśnie „Domu z dwiema wieżami”, poruszającego autobiograficznego reportażu, możemy poznać szczegóły tej dramatycznej decyzji. O wyborze nowej ojczyzny faktycznie zdecydował przypadek – Ameryka wydawała się zbyt prostacka, Szwajcaria nie miała wystarczająco pociągających pisarzy. Szwecja za to kusila

tajemnicą. No i jednak Ibsenem. Zresztą trudno po nastolatku oczekiwać pogłębionej analizy i ostrożnego ważenia argumentów. Zwłaszcza gdy decyzję trzeba podejmować w obliczu antysemickiej nagonki. W 1969 r. biografia Bielawskiego została przełamana na dwie części.

Aby opowiedzieć o tej pierwszej – trudnych losach rodziny, w których odbija się los wszystkich ocalałych po wojnie Żydów w Polsce – Bielawski czekał pół wieku. Dlatego zostawmy ją na koniec, a wpierv przyjrzyjmy się tej drugiej, w której Bielawski stał się światowej klasy dziennikarzem i reporterem.

Za kogo się wstydzisz?

Traf więc padł na kraj leżący po przeciwnej stronie płytkiego morza. Geograficznie blisko, ale pod wieloma względami to drugi kraniec Europy. Nastoletni Bielawski szybko wsiąkł w szwedzkie społeczeństwo. Wydatnie pomogła mu w tym konieczność ciężkiej fizycznej pracy – od operatora dźwigu aż po salowego w szpitalu. Na Uniwersytecie Sztokholmskim studiował historię filmu i historię idei (tę drugą ukończył).

Gdy w Polsce zaczął się solidarnościowy ferment, namówił kilka redakcji, aby wysłały go jako korespondenta do dawnej ojczyzny, a powoływał się przy tym na, delikatnie mówiąc, mocno wyolbrzymioną siatkę kontaktów i znajomości. Tak zaczęła się jego przygoda z dziennikarstwem. Aby uniknąć represji ze strony władz PRL-u, używał pseudonimu „Zaremba”, czym ponoć do pasji doprowadzał rzecznika rządu, Jerzego Urbana, który długo nie potrafił zidentyfikować „szwedzkiego donosiciela”.

W swoich relacjach, które kontynuował także po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 r., próbował wytłumaczyć Szwedom, na czym polegała ta egzotyczna z ich perspektywy robotnicza rewolucja przeciwko państwu socjalistycznemu, w dodatku prowadzona pod katolickimi sztandarami. Tu po raz pierwszy, przynajmniej w życiu zawodowym, przydał mu się dar podwójonej perspektywy.

Zaremba bowiem często w wywiadach używa zaimka „my”, który w jednym zdaniu odnosi się do Szwedów, w kolejnym do Polaków, przemieninie i bez dysonansu. W tym przypadku najlepiej chyba sprawdzi się przywołana przy innej okazji jego robocza definicja tożsamości – pochodzisz z kraju, za którego działania rządu ➔

→ się wstydzisz: „A ja wstydzę się po równo za polski i szwedzki. Czasem nawet za izraelski”.

Światowy prymus

O Szwecji uwielbiamy fantazjować. Wystarczy zerknąć na dowolne fora internetowe, gdzie (przynajmniej w założeniach) dyskutuje się o polityce, aby natknąć się na setki obrazów mających niewiele wspólnego z rzeczywistością – obecną bądź minioną. I to zarówno ze strony przedstawicieli prawej, jak i lewej strony sceny politycznej. Dla tych pierwszych Szwecją to Sodoma i Gomora, która już za chwilę upadnie pod jarzmem multikulturalnego szariatu (data ostatecznego wymierzenia kary odwlekana jest systematycznie od początków istnienia prawico-wego internetu).

Współczesna lewica z kolei, która wciąż pracuje nad kodyfikacją własnych mitów założycielskich, bardzo często szwedzki model państwa opiekuńczego wskazuje jako niedościgniony wzorzec i cel swoich politycznych wysiłków. I uparcie ignoruje fakt, że jego początki miały miejsce ładnych kilka dekad temu, do tego w radykalnie innych warunkach geopolitycznych.

Ale fantazjowanie o Szwecji i przypisywanie jej cech przydatnych akurat w toczących się sporach ma długą tradycję i nie ogranicza się do polskiej debaty publicznej. Już w latach 30. Amerykanie osadzili Szwedów w roli światowego prymusa – zarówno w kwestii rozwoju mechanizmów oraz instytucji społecznych, jak i wypracowywaniu kompromisowego modelu gospodarczego, nadającego socjalistyczną twarz agresywnie liberalnemu kapitalizmowi.

Fantazja jak fantazja – mówi więcej o jej autorze niż o samym obiekcie, który w tym modelu jest jedynie pustą przegródką do wypełnienia dowolną treścią. Szwedzi oczywiście tytuł chętnie przyjęli (kto by nie przyjął!) i bycie w awangardzie przemian na stałe zinterioryzowali w swojej narodowej wyobraźni. Dobry obywatel progresywnego społeczeństwa to od kilku pokoleń centralna fantazja organizująca szwedzki system wartości.

Co to ma wspólnego z Maciejem Żarembą Bielawskim? Aby dobrze zrozumieć jego teksty, trzeba było wpierw nakreślić komplikację sceny, na którą wkroczył jako dziennikarz-reporter. Szwed z krwi i kości, który jednak ma w sobie intelektualną zadziorność imigranta. Taka

Szwed z krwi i kości,
ale z intelektualną
zadziornością imigranta.
Ta swojsko-obca perspektywa
pozwala mu raz za razem
mówić „sprawdzam”.

swojsko-obca perspektywa pozwala mu raz za razem mówić „sprawdzam”, nie popadając przy tym w miąłki i obliczone na łatwy lament krytykanctwo – mamy tego u nas aż nadto.

Kraj, który wylania się z jego tekstów, jest fascynującą wypadkową ciągów ku nowatorstwu (oraz nieuniknionych na tej drodze potknięć) i unikalnej (momentami dziwacznej) historii państwa, które nie tak dawno temu jeszcze leżało na peryferiach Europy.

Pokazywanie

Od połowy lat 80. publikuje swoje teksty w największych szwedzkich dziennikach. Od 1990 r. na stałe związany z „Dagens Nyheter”, największą w kraju gazetą, która w najlepszych latach potrafiła osiągać – w kraju cztery razy mniej ludnym niż Polska – nakłady bliskie miliona egzemplarzy. Konsekwentnie wypunktowuje w nich wady i słabe punkty szwedzkiego państwa opiekuńczego, które przez lata rozbudowanej działalności i ingerowania w najróżniejsze płaszczyzny życia doczekało się licznych biurokratycznych absurdów i niedociągnięć.

Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że Bielawski znalazł sobie łatwego chłopca do bicia, a międzynarodowa popularność jego książek wynika ze zwyczajnej złośliwości, która potrzebuje się karmić opowieściami o niepowodzeniach innych, skądinąd idealizowanych (potknięcia prymusów cieszą przecież najbardziej). To złudzenie ma swoje źródło w zaburzonej perspektywie, o ile nie wynika po prostu ze złej woli. Tytuł polskiego zbiorczego wydania jego reportaży – „Polski hydraulik i nowe opowieści ze Szwecji” – mylnie sugeruje, o czym zresztą sam autor pisze w przedmowie, że mamy tu do czynienia z formą przewodnika czy też raportu z nieudanych eksperymentów na poligonie nowoczesności.

Choć tych niewątpliwie jest wiele. Żeby wymienić kilka: powracający wątek

służby zdrowia, która miota się w niemożliwym do wytrzymania uścisku wolnorynkowych reguł i decyzji podejmowanych centralnie, często na podstawie źle prowadzonych lub niewłaściwie interpretowanych statystyk; polityka migracyjna, która mimo dobrych chęci potrafi przybierać, w zależności od regionu, najróżniejsze odcienie szarości, a najlepszym problemem tej słabości jest rosnąca popularność populistycznej partii Szwedzcy Demokraci; język poprawności politycznej, który stał się obowiązującym dialektem biurokracji, co uniemożliwia podjęcie skutecznej debaty o zmieniających się potrzebach najróżniejszych grup społecznych. Wreszcie – o to chyba byśmy najmniej podejrzewali Szwedów – gospodarka leśna, której rabunkowo-destrukcyjny charakter wzbudziłby szczere uznanie nawet u naszego poprzedniego ministra środowiska.

Ważne jest jednak, że nie interesują go jednostkowe przypadki – choć oczywiście od nich wychodzi – ale raczej problemy i ich rozwiązania na poziomie systemowym. Jego reportaże rzadko mają jednego bohatera, nie służą też opowiadaniu historii ani nie mają uwodzić czytelnika swoją literackością. Już po lekturze kilku akapitów widać, że znajdujemy się na absolutnych antypodach tego, co zbiorowo nazywa się „polską szkołą reportażu”, w której nonszalancki stosunek do faktów (i ich solidnej weryfikacji) często maskuje się mniej lub bardziej udanymi wylewami dyskursywności.

I nie chodzi tu o granice tego, co dopuszczalne w dziennikarstwie – wszak te dyskusje wybuchają u nas co rusz przy okazji kolejnych wydawniczych skandali – lecz o skuteczność reporterskiego tekstu, który ma, o czym Bielawski wielokrotnie przypominał, przede wszystkim pokazywać świat. Różnica między pokazywaniem a opowiadaniem polega na tym, że autor musi porzucić ambicję bycia tłumaczającym „jak jest” (a także rozbuchane ego i niespełnione literackie ciagoty) na rzecz gęstego, pełnego niuansów opisu rzeczywistości.

W posłowie do „Polskiego hydraulika” Bielawski pisze: „Zostałem reporterem, bo nie potrafiłem streścić artykułu. Czyli napisać tego, co dziennikarze nazywają leadem”. *Lead* (po polsku czasem nazywany „główką tekstu”) ma w dwóch lub trzech zdaniach podsumować to, co najważniejsze w tekście – zachęcić czy wręcz uwieść czytelnika do dalszej lektury.

Bielawski oczywiście myli tu tropy, bo pisanie leadów to rudymenty dziennikarskiego rzemiosła. Niemniej ta anegdotyczna metafora (jak widać, wiele ich jest w jego biografii, pewnie je lubi, bo uwalniając od ryzyka ekshibicjonizmu) dobrze streszcza zadanie reportera, który ma przede wszystkim poszerzać nasze pole widzenia, pokazując świat w jego maksymalnej złożoności.

Poprawianie

Bo tylko tak – o czym świadczy praktyka – można świat zmieniać na lepsze. Reportaże Bielawskiego, w których dokonywał krytycznej analizy niedziałających elementów społecznej maszyny, nie były bowiem obliczone na generowanie oburzenia opinii publicznej, ale na realne i konkretne zmiany w prawie bądź urealnianie jego stosowania.

Doskonałym tego przykładem może być seria artykułów z 1997 r. o eugenice, które potem, w rozszerzonej wersji ukazały się w książce „Higieniści”. Punktem wyjścia były najrozmaitsze szwedzkie praktyki, mające na celu zachowanie „higieny rasy” z lat 30., które trwały jeszcze do początku lat 70. Zjawisko było w Szwecji przemilczane, nic dziwnego więc, że teksty Bielawskiego wzbudziły międzynarodowe kontrowersje. Jak to możliwe, że praktyki eugeniczne, kojarzone przede wszystkim z nazizmem, nie tylko narodziły się w sercu socjaldemokracji, ale też na lata stały się ważnym elementem jej ideologii?

Bielawski, jak przystało na światowej klasy reportera, nie udziela jednej, prostej odpowiedzi. W zamian za to mnoży kolejne konteksty, podsuwa wątki i prezentuje najróżniejsze stanowiska. W ten sposób temat, który w innych rękach skleiłby się w plejadę sensacji lub utonął w oparach moralizmu, przekuty został w ważną i nieoczywistą książkę o wstydlivych i zapomnianych odnogach naszej nowoczesności.

I bolało wszystkich. W Polsce ukazywały się artykuły z wyrzutami, że to strzał w plecy lewicy, i jak tak można. Bo lewica w tej historii rzeczywiście nie broni słabych, choć broni „postępu”, jak go tam sobie wówczas definiowała.

Ale to nie wszystko – dzięki jego skutecznym dziennikarskim interwencjom państwo szwedzkie w końcu przestało zamiatć problem pod dywan i wypłaciło tysiącom ofiar swoich eugenicznych eksperymentów wielomilionowe odszkodowa-

Reportaże Bielawskiego
nie tylko wyznaczają
standardy dziennikarskie,
ale przede wszystkim
pokazują, o jaką stawkę
powinna toczyć się walka.

wania. Dlatego reportaże Bielawskiego nie tylko wyznaczają najwyższe standardy dziennikarskiego rzemiosła, ale przede wszystkim pokazują, o jaką stawkę może toczyć się ta gra. Raczej: o jaką stawkę powinna toczyć się walka. A państwo zmienia albo nowelizuje ustawy, bo przeczytało reportaże.

Dom z wieloma wieżami

Wydana właśnie, bardzo osobista książka „Dom z dwiema wieżami” wyrasta z tego samego pnia i wyraźnie widać w niej ponad 40-letnie doświadczenie dziennikarskie autora. Tym razem jednak Bielawski wziął na warsztat historię bardzo intymną – nie tylko własne dzieciństwo, ale też losy rodziców i dziadków. Aż gesto tu od wątków i postaci – rzadko kiedy rodzinna opowieść tak mocno zespolona jest z wydarzeniami historycznymi. Przewodnikami są tu ojciec i matka, którzy poznali się w 1946 r. On miał wtedy 57 lat i był szanowanym psychiatrą, ona, 30 lat młodszą, bezskutecznie próbowała zapomnieć o traumie wojennej tułaczki. Choć pochodzili z zupełnie różnych środowisk i miejsc, antysemita narracja (i to jeszcze długo przed okupacją) uprościła ich tożsamość do słowa „Żyd”.

O przeszłości w domu mówiło się mało albo wcale – choćby postać dziadka od strony mamy została spłaszczona do jednego zdania. Bielawski rozpoczął więc śledztwo – zapewne jeszcze jako nastolatek – mające przywrócić pamięć nie tylko o swoich przodkach, ale o całych pokoleniach ludzi prześladowanych i gnębionych na setki sposobów – zarówno przez zmieniające się reżimy polityczne, jak i przez współobywateli – czego zwieńczeniem był rok 1968.

Widać wyraźnie, że to temat dla autora trudny, być może najtrudniejszy w dotychczasowej karierze. Raz za razem zawiesza głos i waha się, czy aby nie ominąć tego czy innego fragmentu. Jednak za każdym razem profesjonalizm i dziennikarska rze-

telność biorą górę, przez co ten autobiograficzny reportaż od początku do końca pozostaje brutalnie szczery. W ten sposób udaje mu się ominąć mielizny sentymentalizmu i egzaltacji, na które tak łatwo przy takiej okazji wpaść. Otrzymujemy historię niezwykle poruszającą, do tego wciągającą bardziej niż niejedna powieść.

„Dom z dwiema wieżami” to książka wartka i zaskakująco różnorodna. Za każdym razem, gdy wydaje się, że dany wątek się wyczerpuje, autor wprowadza nowy kontekst, a wąskie, intymne kadry swobodnie przeplatają się z szeroką panoramą historyczną. Z racji zawodu ojca pojawiają się intrygujące wstawki o historii polskiej psychiatrii, a także przemilczana nieprawdopodobna historia oflagów – niemieckich obozów jenieckich dla polskich oficerów, w których wojnę spędził Oskar Bielawski.

Jednak „Dom...” przede wszystkim opowiada o miłości – i nie ma w tym cienia przesady ani pretensji. Raz oczami dorastającego chłopca, kiedy indziej już z perspektywy dojrzałego autora, obserwujemy blaski i cienie trudnego małżeństwa rodziców, przerwane dramatem konieczności emigracji w 1968 r., na którą podówczas prawie już 80-letni ojciec ostatecznie się nie zdecydował. Pół wieku później Bielawski próbuje ustawić się w niemożliwej pozycji rozjemcy, tłumaczącego decyzje jednego i drugiego rodzica – a przy okazji swoje własne.

I to właśnie ten wątek – mimo że w warstwie historycznej mamy do czynienia z jednym z najciekawszych w ostatnich latach dokumentów o trudnej i niesprawiedliwej historii XX wieku – decyduje o wyjątkowości tej książki, dedykowanej pamięci rodziców. Rozbrajająco proste i szczere wyznanie miłosne, wysłane pod prąd i na przekór mijającemu czasowi.

©© MICHAŁ SOWIŃSKI

Wszystkie wymienione w tekście książki Macieja Zaremby Bielawskiego zostały napisane w języku szwedzkim. „Polski hydraulik i nowe opowieści ze Szwecji”, przeł. Wojciech Chudoba, Katarzyna Tubylewicz, Jan Rost, Anna Topczewska, Agora SA, Warszawa 2013 (pierwsze wydanie nosiło tytuł „Polski hydraulik i inne opowieści ze Szwecji”, Czarne, Wołowiec 2008); „Higieniści. Z dziejów eugeniki”, przeł. Wojciech Chudoba, Czarne, Wołowiec 2011; „Dom z dwiema wieżami”, przeł. Mariusz Kalinowski, Karakter, Kraków 2018.

Uratowany przez rap

MARCIN GUTKOWSKI, RAPER:

Bycie kieszonkowcem to niesamowita sprawa. Gdyby nie było w tym krzywdzenia ludzi i okradania ich, to myślę, że robiłbym to dalej.

RAFAŁ WOŚ: Nazwisko?

MARCIN GUTKOWSKI: Gutkowski Marcin.

Urodzony?

22 października 1981 roku.

Gdzie?

W Krakowie.

Zawód wyuczony?

Ślusarz.

Zawód wykonywany?

Raper, pisarz, biznesmen. Ostatnio nawet i aktor.

Pochodzenie społeczne?

Aaa... rynsztok.

Aż tak?

Ja nie dostałem tego rynsztoka w spadku. Ojciec był bardzo dobrym biznesmenem. Był bardzo zaradny finansowo. Umiał sobie poradzić.

To czemu mówisz, że rynsztok?

Bo widzisz, w latach 80. i 90. radzenie sobie nie zawsze wiązało się z prostą ścieżką prawną, że tak powiem. Od dziecka widziałem te ojca nie do końca jasne interesy. To taka nauka dla wszystkich, co myślą, że dzieci nie widzą. Pewnie, że on mi mówił: „zatkać uszy”, „nie słuchaj”... Ale to do mnie przenikało. Myślę, że ten świat już wtedy zaczął mnie fascynować.

Jaki świat?

Ulica. Interesy. Ale to była moja decyzja. Na ulicę poszedłem sam. Bo chciałem.

To było w Krakowie?

Tak. Lata 90. Ale jak potem poznawałem chłopaków robiących rap w innych częściach Polski, to wyszło, że wszędzie wyglądało podobnie. Kolorowo nie było.



Kraków się z rapem nie kojarzy. Szczytem hardcore'u to tu był Marcin Świątlicki. W rapie mapa Polski wyglądała wtedy tak: Śląsk miał Kaliber i Paktofonikę. W Poznaniu Peja. W Kielcach Liroy i Wzgórze Ya-Pa3. W Warszawie Molesta i Chada. A Kraków? Mielicieście w ogóle jakiś rap?

Pewnie. Prokursorem był Bolec. Już świętej pamięci. Był Karramba, który potem poszedł w kierunku muzyki tanecznej. No i byliśmy my – Firma.

Co Was wyróżniało?

Robiliśmy rap uliczny. Uliczny to znaczy z kryminalnym tłem.

W Ameryce bardzo popularny. Tam raperzy opowiadają w tekstach o handlu narkotykami, strzelaninach i rozbojach. Niektórzy nawet faktycznie kończą z kulą w głowie. To się nazywa gangsterski rap.

Jest takie określenie. Ale na wyrost. Raperzy raczej nie są gangsterami. Nawet jak się na nich kreuja. Bo to niemożliwe. Może w Stanach Zjednoczonych. Ale nie w Polsce. Ja nie znam takich przypadków. U nas to klimaty drobnego złodziejstwa.

Sam mówisz, że poszedłeś na ulicę, bo Cię to nie do końca legalne życie pociągało.

Zwał jak zwał. Miałem swoją ekipę. Z tą ekipą popełnialiśmy przestępstwa.

A rap?

Rap robiliśmy, bo to była możliwość wyrażenia siebie. Ale zarabialiśmy na życie procederem. Trochę pieniędzy szło na rap. Pamiętam moment, jak zbierałem na adapter Technicsa. Ale jak zebrałem, to w końcu nie kupiłem, bo pomyślałem: „A kupię sobie później”. I kupiłem buty. Jak o tym teraz myślę, to było paradoksalne. Z jednej strony lubiłem myśleć, że proceder to jest tylko droga do tego, żeby

się odbić od dna i zacząć żyć inaczej. Z drugiej zawsze czegoś brakowało. A to chęci, a to odwagi. Więc robiliśmy to, co nam wychodziło dobrze, czyli proceder. Rośliśmy w siłę, mieliśmy coraz więcej i brnęliśmy coraz głębiej. Co się później źle skończyło. Dla mnie i dla innych. Pomidor siedział, Tadek siedział. Popek siedział. Później ja siedziałem. Ale jak jesteś w środku, to cię wciąga. A ja na dodatek lubiłem ten swój fach.

Jaki fach?

Byłem kieszonkowcem.

Doliniarz?

Doliniarz. Specjalizacja: komunikacja miejska. Inni chodzili na Rynek albo do restauracji.

Niewielu powie ci to wprost, ale bycie doliniarzem to niesamowita sprawa. Gdyby nie było w tym czynnika krzywdzenia ludzi i okradania ich, to myślę, że robiłbym to dalej. Wstawałem rano i cieszyłem się z nadchodzącego dnia. A robiłem to długie lata.

Jak długo?

Pięć-sześć lat. Ta świadomość, że potrafię robić dłońmi tak niesamowite rzeczy, które się innym nawet nie śniły, że są możliwe. Do tego rywalizacja z innymi kieszonkowcami. Ta torebka jest trudna, a ten facet ma w takim miejscu portfel. Ale co? Ja nie dam rady? Czasem nawet bawiłem się tak, żeby po wyjęciu pieniędzy włożyć portfel w to samo miejsce. Człowiek się może często w ogóle nie orientować, że pieniądze stracił. Myślał, że wydał, że się rozeszły. Dodam, że interes był lukratywny. W wieku 17 lat zarabiałem więcej niż cała moja rodzina razem wzięta. Oczywiście nie licząc ojca, który też miał smykałkę do interesów. Ale rodzice się rozstali.

Złapali Cię kiedyś?

Nigdy. Więc chyba byłem dobry. Raz mieliśmy taką sytuację, że nas złapali i znaleźli pieniądze. Ale portfela nie znaleźli, więc nie byli nam w stanie niczego udowodnić. Zazdrościli nam wszyscy. Byliśmy elitą wśród złodziei. Inni musieli się namęczyć. Szybę w aucie wybić, żeby wyjąć radio. Albo stacyjkę wyłamywać. Na dziesięć chodząc i kogoś pobić, żeby mu zabrać pieniądze. A my zwinnie i ci-chutko. *Move in silence*. Nie musiało też niczego sprzedawać, więc nikt ci nie mógł

przybić paserki. Trochę się to popsło, jak się pojawiły telefony.

Dlaczego?

Na portfelach żyło się świetnie. No, ale jak już bierzesz portfel, no to czemu nie telefon, który jest tuż obok. Ale jak masz telefon, to się robi problem. Trzeba sprzedać. Mogą cię złapać.

Dokumenty?

Był taki okres, że dokumenty też sprzedawaliśmy. Byli goście, co płacili pięć dych za dowód. Ale przeważnie wsuwaliśmy do skrzynki pocztowych. Szkoda nam było ludzi, że muszą potem jeździć i wyrabiać nowe.

Czyli wyrzuty sumienia były?

Świadomość, że robisz drugiemu człowiekowi krzywdę?

Jak teraz o tym myślę, to tak. Ale jak myślałem o sobie wtedy, to nie. Zwłaszcza na początku. Nie miałem żadnych skrupułów.

Żadnych?

Mieliśmy swój kodeks. Chcieliśmy być trochę jak ci dawni doliniarze ze szkoły rosyjskiej, co nie okradali starców, kobiet, niedołączonych i chorych. My nie okradaliśmy kobiet w ciąży. Ale matki z dziećmi już tak. Dziwne, nie?

Ale w końcu trafiłeś do więzienia.

W pewnym momencie uzbierałem pięć albo sześć wyroków. Łącznie to się sumowało chyba do dziewięciu lat. Na moje szczęście skończyło się na trzech. Tyle w sumie siedziałem.

Napisałeś bestsellerową powieść sensacyjną „Krim story” i nagrałeś płytę pod tym samym tytułem. Są o Tobie?

Bohater jest oparty na mnie. Psychicznie to jestem ja sprzed 20 lat. Zły, sfrustrowany, bez perspektyw. Nieszczęśliwy.

I po co to opowiadasz?

Ja jesteś artystą, to nie ma pytania „Po co opowiadasz?”. Musisz opowiadać, bo cię ciśnie. Potem to wyjaśniasz sobie i innym.

Racjonalizacja.

Czasem myślę, że chcę pokazać młodym, którzy są tacy jak ja 20 lat temu, żeby uważali. Bo błędne decyzje mogą ich drogę kosztować. Chcę, żeby mieli perspektywę ➔

MARCIN KAMIL GUTKOWSKI „KALI” jest raperem. Zaliczany do nurtu hip-hopu ulicznego. Współtworzył (m.in. razem z Popkiem) legendarny krakowski skład Firma. Potem był członkiem kolektywu Ganja Mafia. Od 2011 r. nagrywa solo. Ma na koncie wiele złotych i platynowych płyt. W 2015 r. napisał powieść „Krim story”.

→ tej zbliżającej się szubienicy. Ja jej nie miałem.

Jak to jest z tą świadomością? Przecież nawet w tej naszej rozmowie co chwila mówisz, że wiedziałeś, dokąd to prowadzi.

To jest chyba najważniejsza rzecz, której nie rozumieją ci, co nigdy nie byli na ulicy. Oni mówią, że każdy ma wybór. Pewnie, że każdy ma wybór. Ale nie taki, jak im się wydaje. Chcesz wiedzieć, jak ja widziałem swój wybór?

Opowiedz.

Mój wybór był prosty. Albo je...ć za 4,10 zł za godzinę – bo takie były stawki – i nie mieć nic od życia. Albo próbować inaczej. Od dziecka miałem świadomość, gdzie żyję. I odkąd pamiętam, wiedziałem, że nie chcę tak żyć, jak ludzie, których miałem wokoło.

A jak oni żyli?

Lewitowali. Niby istnieli, ale co to było za życie?

Mówiłeś, że ojciec taki nie był. Że miał łatwość zarabiania. Nie zawsze legalnego.

Dokładnie. Z jednej strony miałem uczciwie lewitujących, z drugiej przykład ojca, który – gdy miał pieniądze – to był królem. Co miesiąc inny samochód. Dobre ubrania. Był wzorem. Jak się moi rodzice rozeszli, to chciałem dalej tak żyć. Chciałem, żeby mnie było stać. Wiedziałem, że nie chcę być biedny. Nigdy.

Wybrałeś opcję „nie chcę być biedny, a cel uświęca środki”.

To nie takie kategorie. Miałem wtedy wrażenie, że wybieram życie. Nie mam wykształcenia politologicznego ani socjologicznego. Nie umiem tego oceniać fachowym językiem. Ale takie miałem wrażenie. Polska się budzi do życia. Kończy się prywatyzacja. A ja razem z nią chciałem się obudzić. Widziałem wokół ludzi, którzy się męczą za gówniane pieniądze. A mnie to ominęło. Bo wziąłem sprawy w swoje ręce. To była duma. Ale wiesz co... *(chwila ciszy)*

Co?

Właśnie sobie uświadomiłem, że ja dokładnie tych biednych ludzi okradałem. Tych, co mieli jeszcze gorzej... *(śmiejak z zakłopotania)* Uśmiechnąłem się teraz, ale mi wstyd, bo nie powinienem.

Prawda, Robin Hoodem nie byłeś.

No nie byłem. Byłem marginesem, który okrada biednych. Dziwne to jest...

Czyli najpierw wybrałeś, że nie będziesz biedny, choćbyś miał kraść.

A potem jednak wybrałeś, że trzeba z tego gangsterskiego żywota wyjść.

To długi proces. Wzloty i upadki. Sprzeczne decyzje. Szukasz, miotasz się. Upadasz, wstajesz. Na szczęście miałem rap.

Od kiedy zarabiasz na rapie?

Od 2011 r. Wcześniej to były frytki, pieniądze na paliwo albo buty. Ale był taki

moment, że postawiłem wszystko na jedną kartę. Sprzedałem jedyną wartościową rzecz, którą miałem w życiu.

Czyli?

Babcia, którą się opiekowałem, chociaż w zasadzie powinienem powiedzieć: „z którą się nawzajem sobą opiekowaliśmy”, zostawiła mi mieszkanie w spadku. Sprzedałem to mieszkanie, spłaciłem kredyt, który gdzieś tam nieroztropnie zaciągnąłem, a resztę chciałem przeznaczyć na wystartowanie z rapem i z własną marką odzieżową. To się nie do końca udało tak, jak chciałem. Ale nastąpił przełom. Znalazłem współnika i poszło do przodu. Od tamtej pory mogę żyć inaczej niż z procederu. Taki jest mój największy życiowy sukces.

Bycie zawodowym artystą?

Nawet nie to. Najcenniejszą dla mnie rzeczą jest to, że nie budzę się już przed szóstą. I nie myślę: „czy dziś przyjdą”.

Policja?

Tak. Czy nie przyjdą i mnie nie zabiorą. To było najgorsze w tych czasach, kiedy kradłem. W dzień się nie bałem kompletnie. Ale jak przychodził wieczór, to był koszmar. Zamykasz oczy i nie wiesz, co będzie, jak je otworzysz. Może już będą stali? I zaraz pójdziesz na glebę. Może obudzi cię walenie do drzwi. Pod koniec to nie potrafiłem już sypiać w domu.

Uratowany przez rap. Musisz mieć w związku z tym bardzo nabożny stosunek do swojej muzyki.

Raperzy w ogóle traktują rap bardzo poważnie. To nas różni od wielu innych artystów. Dla nas to jest skarb.

A Ty jesteś w rapie ze starej szkoły czy z nowej? Wyjaśnijmy przy okazji ten fundamentalny podział tym czytelnikom, którzy z hip-hopem nie są na bieżąco.

Akredytację mam jeszcze ze starej szkoły. I to mocną. Więc mogę sobie od nowej szkoły pożyczać brzmienie. Na pierwszych płytach trzymałem się old-skulowych boom-bapowych beatów. „Boom-bap” to wyraz dźwiękonaśladowczy, oddający brzmienie podkładu klasycznych rapowych utworów. Kojarzony ze Wschodnim Wybrzeżem Stanów Zjednoczonych i popularny w czasie pierwszej fali zainteresowania rapem w latach 90.

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 31 października 2018 r.
zmarła w wieku 92 lat

ś.†p.

**Barbara z Hadel Szklarskich
Łastowiecka Czarny**

córka Antoniego i Anny z Pogonowskich

Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego,
długoletni adiunkt w Instytucie Badawczo-Rozwojowym
Kauczuków i Tworzyw Winylowych w Oświęcimiu.

Spoczywa w grobowcu rodzinnym na cmentarzu parafialnym w Oświęcimiu.

RODZINA W KRAJU I ZA GRANICĄ

– red.]. Na płycie „V8T” z 2018 r. przesko-
czyłem na bardziej nowoczesne brzmie-
nia.

Mnie chodzi nie tyle o brzmienie, co
o przekaz. Odpalam sobie teraz takie
zespoły jak Wzgórze Ya-Pa3 i słyszę:
„kapitalizm jest ustrojem takim / że
ludziom ubogim wypruwa flaki”. Albo
„Wuj Sam opanował nam umysł /
mamy Dziaki Zachód nad brzegiem
Wisły”. I to jest na płycie – nawet nie
na płycie, tylko na kasecie – z 1995 r.!

Elitom intelektualnym potrzeba
było 30 lat, żeby dojść do krytyki
nadmiernej fascynacji modelem ame-
rykańskim. A Wy to mieliście już
wtedy.

Bo byliśmy w samym środku. Problemy
społeczne dotyczyły właśnie nas. To na
nas eksperymentowano. To my nie mie-
liśmy dokąd uciekać. To my się wzajem-
nie okradaliśmy – o czym ci już mówiłem.
Wydaje mi się, że takie problemy nie do-
tyczą ludzi sytych, bo widzę to teraz po so-
bie.

Też się oderwałeś?

Czasami siedzę w tym fajnym, bezpiecz-
nym mieszkaniu i brakuje mi tego wszyst-
kiego, co było. No, nie tej policji o szóstej
rano. Ale tego poczucia braterstwa już tak.
Bo jeśli pytasz, jak się to ma do tego, że je-
stem dziś fajny i dobrze ubrany, to ci po-
wiem szczerze, że ch... się to ma. Dla nas
– raperów starej generacji – to jest pro-
blem. Nas ta groźba oderwania od korzeni
męczy. Słysząc to na płytach. Niestety
młodszy już nawet tego nie mają.

Czego nie mają?

My nie mówimy, że wiemy wszystko.
Ale wiemy parę rzeczy na pewno. Że ra-

MARCIN GUTKOWSKI:

Czasami siedzę w tym
fajnym, bezpiecznym
mieszkaniu i brakuje mi tego
wszystkiego, co było.
Nie tej policji o szóstej rano.
Ale tego poczucia braterstwa
już tak.

per powinien być dla ludzi, raper powin-
ien wiedzieć, co się dzieje w społeczeń-
stwie. Powinien wiedzieć, jakie problemy
ma państwo, jakie problemy ma jego dziel-
nica i jego ziomki. Raper powinien kryty-
kować. Raper powinien umieć podnieść
na duchu.

Kiedyś to robili pisarze i poeci. Taki
Broniewski na przykład albo Stein-
beck. Ale już nie robią. Albo rzadko
robią.

Ja to przez lata robiłem. I ktoś mi powie,
że nie jestem skromny. Ale nie zamierzam
być fałszywie skromny. Przecież setki lu-
dzi z parapetów ściągłem.

Dostownie czy w przenośni
to mówisz?

Dosłownie, bo oni pisali maile i listy.
Dziękowali płacząc, że im ta muzyka po-
mogła żyć, odciągnęła od jakiejś decyzji,
otworzyła oczy albo dała impuls do zmian.

Z jednej strony mamy starą szkołę
rapu, do której należysz: pochwa-
ła równości, tęsknota za wspólnotą,
za ekipą, za światem, gdzie nie liczy
się, co kto ma, ale kim jest. Z drugiej

strony rap to także ostentacyjna
konsumpcja, dobre samochody, szpa-
nerskie ciuchy, pochwała wiecznej
balangi. Jak to pogodzić? Czy to się
w ogóle da pogodzić?

Ten pierwszy trend, który wymieniałeś,
czyli rap braterski, to był ten rap, w któ-
rym ja się zakochałem. Wtedy, lata temu,
jako ten zły, nieszczęśliwy, sfrustrowany
„Kali”. Jak ten rap umrze, to będzie koniec.
W rapie liczy się też intencja. Po co robisz
rap? „Po pierwsze, nie dla sławy. Po drugie,
nie dla pieniędzy”. To był chyba pierwszy
tekst rapowy, z którym się identyfikowa-
łem. Każdy raper sobie to powinien na ścia-
nie napisać. Owszem, można z tego żyć. Ja
z tego żyję. Ale jeśli nie będziemy umieli
przekazać nowym raperom z nowej szkoły
naszych wartości – to będzie śmierć rapu.
Będzie coś, ale to nie będzie już rap. Jak za-
uważę, że tak jest ze mną – to koniec.

Poznał się przy okazji prac
nad filmem „Proceder”, inspirowa-
nym życiem warszawskiego rapera
Tomasza Chady. Wejdzie w tym roku
na ekrany. Grasz w nim jedną z ról,
a ja doradzałem przy pisaniu scena-
riusza. Myślisz, że takie rzeczy mogą
być ciekawe dla kogoś innego niż fani
Waszej muzyki? Że w historii rapera
może być jakaś bardziej uniwersalna
opowieść?

Myślę, że my raperzy jesteśmy ciągle
niedocenieni. Nakłady płyt mamy naj-
większe w Polsce, na koncertach tłumy
nie tylko w dużych miastach. A w me-
diach tak, jakby nas nie było. Jakbyśmy
ciągle byli tylko dziwną młodzieżową sub-
kulturą. Ludzie, raperom ze starej szkoły
już czterdziestka stuknęła! Pół życia ko-
mentujemy polską rzeczywistość!

© P Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy
na „Lekcje
czytania”



BIAŁOSZEWSKI, RUSINEK I LUBACZÓW

Pierwsze tegoroczne spotkanie w ramach naszej akcji odbędzie się
w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Lubaczowie.

W piątek 11 stycznia MICHAŁ RUSINEK poprowadzi „Lekcję...”,
podczas której uczestnicy będą rozmawiać o wierszach Mirona Białoszeńskiego.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na  / LekcjeCzytania



Gra w klasy

JAKUB MAJMUREK

Bohaterowie tego serialu to osoby przekonane, że są ocalałymi z rewolucyjnej rzezi potomkami dynastii Romanowów, rządzącej przez trzy wieki imperium rosyjskim.

PIERWSZY ZWIASTUN NOWEGO SERIALU Matthew Weinerja – twórcy mającej już status serialowej klasyki produkcji „Mad Men” – pokazywał tylko nazwiska zaangażowanych w projekt aktorów i aktorek na tle umieszczonego na czerwonym tle czarnego, dwugłowego orła Romanowów. Serial ten nie jest jednak kolejnym historycznym dramatem kostiumowym. Wszystkie odcinki „Romanowów” rozgrywają się współcześnie, na kilku kontynentach, wśród przedstawicieli klasy średniej, często jej wyższych warstw.

Ta produkcja nie jest też w zasadzie serialem. Każdy z ośmiu odcinków – trwających od 60 do 90 minut – to osobna dramaturgiczna całość, w zasadzie pełnometrażowy film telewizyjny. Bardziej niż cokolwiek znanego ze współczesnej telewizji, „Romanowowie” przypominają filmowe cykle Erica Rohmera – „Opowieści moralne” czy „Opowieści czterech pór roku”. Łączy je bardziej stawiane problemy i nastrój niż wspólna fabuła. W zaledwie kilku scenach widzimy, że postaci ze wszystkich filmów dzielą wspólny świat przedstawiony. Weiner sprawuje nad każdą z odsłon serii pełną autorską kontrolę, występuje nie tylko jako główny producent i scenarzysta serialu, ale także jako reżyser każdego z odcinków.

Pani Bovary XXI wieku

Co stanowi centrum, wokół którego krążą wszystkie filmy? Punktem wyjścia każdego z nich jest pragnienie bohaterów, by być gdzie indziej i kimś innym, niż się jest. Amerykanin w Paryżu, Greg, chce wyrwać się z podupadającego hotelu, który prowadzi ze swoją francuską partnerką zyciową, Sophie. Michael Romanoff, kierujący razem z małżonką Shelley firmą pomagającą amerykańskim nastolatkom w wyborze najlepszego college'u, chce uciec

z nudy podmiejskiego życia i coraz mniej satysfakcjonującego małżeństwa.

David Patton, zarabiający na przyzwoite życie jako nauczyciel pianina bogatych rodzin z Kalifornii, mitomańsko stwarza kolejne wersje swojej biografii – opowiada o tym, jak jego muzyką zachwycił się Elton John, i o pochodzeniu od panującej kiedyś w Rosji dynastii. W ostatnim odcinku poznajemy bohaterkę, która by odnaleźć swoją tożsamość i potwierdzić własne dziedzictwo, musi opuścić rodzinny dom, przemierzyć cały glob, przejść przez uzależnienie od twardych narkotyków, a w końcu dokonać korekty płci.

Każda z postaci zgromadzonych przez Weinerja przypomina pod tym względem Flaubertowską panią Bovary – zaczytaną w powieściach Waltera Scotta żonę prowincjonalnego lekarza marzącą o życiu na miarę nie najlepszej „gotyckiej” literatury. Postać Emmy Bovary komplikuje stereotyp racjonalnego, XIX-wiecznego mieszczaństwa, podzielany zarówno przez apologetów, jak i krytyków tej warstwy społecznej. Obraz mieszczaństwa pozostaje bowiem niepewny, jeśli będziemy rozumieć go tylko przez pryzmat nastawionego na cel, aktywnego człowieka interesu. Jeśli zapomnimy o konstytuujących go fantazjach. Praktyczny zmysł interesu i romantyczne marzycielstwo mieszą się zresztą w niejednej postaci XIX-wiecznej powieści, splatają się w arywizmie Juliana Sorela (u Stendhala) czy szaleństwie starszego Goriot (u Balzaca), genialnie konkretnego w interesach i karmiącego się najbardziej dziecinnie sentymentalnymi złudzeniami w relacjach z córkami.

W „Romanowach”, podobnie, widzimy szereg pozornie przyziemnych bohaterów, których pragmatyczna, interesowna konstrukcja psychiczna utrzymuje się wyłącznie dzięki pewnej fantazji. Dla niektó-

rych z bohaterów to fantazja o dawnym cesarskim dziedzictwie, dla innych o wielkiej romantycznej miłości zmuszającej do przewartościowania egzystencji. Dla jeszcze innych o cudownym lekarstwie na chorobę nieuleczalną przez konwencjonalną medycynę.

Przywilej i deklasacja

Bohaterowie Flauberta, Balzaka, Stendhala należeli do świata, gdzie przed mieszczaństwem jako klasą (jeśli nawet nie przed każdym jej przedstawicielem) świat wydawał się stać otworem, a przyszłość obiecywała wyłącznie poprawę. Bohaterowie Weinerja zamieszkują inną społeczną przestrzeń. Nic w niej nie jest pewne, przyszłość przynosi przede wszystkim zagrożenia.

Ten ton ustanawia już pierwszy, paryski film w serii, „Fioletowa godzina”. W jednej z pierwszych scen obserwujemy proszoną kolację w mieszkaniu Grega i Sophie. Rozmowa szybko schodzi na finansowe i życiowe problemy gości. „Klasa średnia na Zachodzie umiera” – mówi jeden z nich. Sophie widzi ten proces na co dzień. Hotel, który odziedziczyła po rodzicach, kiedyś dostarczał rodzinie ekonomicznej stabilności, gromadząc przy tym solidną, budzącą zaufanie i szacunek klientelę. Dziś klienci są nie tylko coraz bardziej pośledni, ale i jest ich coraz mniej. Wszystko w hotelu się sypie, para nie ma pieniędzy na generalny remont, nie wiadomo, jak długo ten biznes jeszcze pociągnie.

Jedyna nadzieja Sophie i Grega w korzystnym spadku – jesteśmy w świecie współczesnego kapitalizmu z badań Thomasa Piketty'ego, gdzie najpewniejsza droga do ekonomicznej stabilności i społecznego awansu wiedzie nie przez pracę, pomysłowość, innowację czy przedsiębiorczość, ale przez dziedziczenie. W przypadku Sophie i Grega wyczekiwany spadkiem jest luksusowy, wielki, wypełniony złoceniami, stiukami i antykami arystokratyczny apartament w centrum Paryża. Zamieszkuje go starsza, bezdzietna, odległa krewna Grega, Anushka. Mężczyzna jest jej jedynym żyjącym krewnym, wyłącznym spadkobiercą.

Żyjąca w kokonie przywileju starsza kobieta sprawia jednak wrażenie kogoś, komu świat usuwa się spod nóg. Nie tylko dlatego, że jej ciało odmawia posłuszeństwa. Anushka żyje przeszłością, i to nawet nie własną. Opowiada ciągle o swoich carskich przodkach i wysokiej sto-





MATERIAŁY PRASOWE

Christina Hendricks jako Olivia Rogers i Isabelle Huppert jako Jacqueline w pierwszym odcinku serialu „Romanowowie”

pie, na jakiej kiedyś żyli w mieszkaniu, które dziś sama zajmuje. We współczesnej Francji czuje się coraz bardziej obco. Opowiada o grożącej V Republice islamizacji i inwazji z Afryki. Z czasem widz zaczyna się zastanawiać, czy wszystkie genealogiczne anegdoty Anushki nie mają również wiele wspólnego z rzeczywistością, co wygłaszane przez kobietę pełne furii filipiki przeciw wieloetnicznej Francji, brzmiące, jakby przepisane zostały z broszury Frontu Narodowego.

Kolejne filmy z cyklu pokazują, że im większa niepewność przyszłości, tym bardziej zwyzkują akcje przeszłościowych fantazji. W drugim filmie, „Nasza królewskość”, Shelley Romanoff spędza weekend na morskim „rejsie tematycznym” dla potomków rodziny Romanowów. Ludzie z kilku kontynentów, przekonani o własnym pochodzeniu od rosyjskiej dynastii, wysłuchują tam wykładów telewizyjnych historyków o osiągnięciach carów i zbrodniach bolszewików. W trakcie uroczystej kolacji, ubrani we fraki i balowe suknie, jakby wypożyczone z planu „Anny Kareniny”, „współcześni Romanowowie” podziwiają tańczących kozaków w strojach z epoki. Historyczna pamięć zmienia

się w marnej jakości spektakl i surrealistyczną turystyczną atrakcję. Cała impreza wygląda jak sprytny sposób na wyciąganie pieniędzy od ludzi z nadmiarem wolnego czasu, gotówki i statusowych pretensji.

Nieprzejrzystość

Krytyk telewizyjny „New York Timesa” James Poniewozik napisał, że „Romanowowie” są jak „Black Mirror” w temacie nie technologii, ale przywileju, statusu społecznego i relacji międzyludzkich związanych się w ich cieniu. Weiner przyjmuje wobec swoich bohaterów postawę ironicznego moralisty, wrzuca ich w sytuacje zmuszające do weryfikacji własnych fantazji, przekonań, założeń.

W czwartym filmie serii, „Oczekiwanie”, widzimy kobietę z nowojorskiej wyższej klasy średniej, Oliwię Wells, oczekującą narodzin pierwszego wnuka. Przeraża ją ten graniczny punkt. Nie może pogodzić się z tym, że zostanie babcią. Ma też liczne pretensje do swojej córki. Uważa ją za potworną snobkę. Nie akceptuje tego, że jej dziecko, mimo świetnej edukacji, wybrało rolę bogatej, niepracującej żony u boku męża. Sama Olivia, choć mąż zapewnia jej bardzo wysoki status finan-

sowy, pracuje w organizacji pomagającej bezdomnym. Uważa się za progresywną liberałkę i feministkę.

Za postawę córki Olivia wini męża – dumnego z rodzinnego dziedzictwa, z rzekomego pochodzenia od rosyjskiej rodziny panującej. „Noblesse oblige” – mówi zupełnie serio, gdy pomaga finansowo uboższemu przyjacielowi. Olivia jest wściekła, że wraz z jej wnukiem idiotyczna i irytująca ją rodzinna legenda odtworzy się w kolejnym pokoleniu, i to mimo tego, że jej mąż nie jest biologicznym ojcem córki (o czym nigdy nie powiedziała żadnemu z nich). Wraz z rozwojem akcji przekonujemy się jednak, że być może wcale nie „dziedzictwo Romanowów” ukształtowało w ten sposób córkę Olivii. Że sama Olivia ponosi odpowiedzialność za jej wychowanie w świecie takich, a nie innych wyobrażeń i oczekiwań.

Z jeszcze bardziej bolesną prawdą na swój temat konfrontują się bohaterowie przedostatniego filmu z cyklu, „Koniec linii” – amerykańskie małżeństwo Anki i Joe’a Garnerów. Para przyjeżdża do Władywostoku, by adoptować rosyjskie dziecko. Anka, jak twierdzi, pochodzi z rodziny Romanowów. Adoptując dziecko z Rosji pragnie „oddać hołd własnemu dziedzictwu”. Na miejscu okazuje się jednak, że wymarzone dziecko, które Garnerowie mieli adoptować, najpewniej jest upośledzone. Para nie może się z tym pogodzić. Kryzysowa sytuacja odsłania ukryte motywacje, uprzedzenia, kłamstwa na własny temat.

Jak każdy prawdziwy moralista, Weiner konfrontuje swoich bohaterów z nieprzejrzystością ich własnych pragnień. W każdym filmie docierają oni do momentu, gdy muszą powiedzieć „to nie to”. To nie to, czego naprawdę pragnę, nie to, co naprawdę mną kierowało, nie to, co od początku zakładałem jako oczywiste.

Pożytki z frustracji

„To nie to” w trakcie seansu wielokrotnie powtarzał będzie widz. Bo to nie jest serial o Romanowach, bo w zasadzie wcale nie mamy do czynienia z serialem, bo nowa produkcja Weinerja w niczym nie przypomina „Mad Menów”.

Stawia to widza często we frustrującej sytuacji. Tę frustrację widać w prasowych recenzjach produkcji: „Eleganckie, ale przekombinowane”, „Zbyt długie”, „Ambitna porażka”, „Absolutna wolność ➔

→ twórcza nie pomogła Weinerowi”, „Piękne, lecz irytujące dzieło, przekonane o własnej ważności”, „Brak szacunku do widza”, „Zbyt wiele grzybów w barszczu”.

To wszystko prawda, ale nie cała. Powolny rytm tego cyklu odpłaca się w końcu widzowi. Gdy poddamy się potokowi narracji, wszystkim pełnym retrospekcji szkatułkowym konstrukcjom, naszym oczom odsłania się subtelne, pełne genialnych kreacji aktorskich dzieło. Weiner zgromadził niespotykaną w telewizji obsadę. W jednym z filmów reżyserkę kręcącą dramat kostiumowy o Romanowach gra sama Isabelle Huppert – praktycznie nieobecna poza tym na małym ekranie. To nie jest telewizja, która automatycznie zachwyca każdego. Ale nawet jeśli czasem meandry narracji Weinerja grzęzną na manowcach, to mamy do czynienia z jedną z najbardziej autorskich, odważnych i ambitnych produkcji tego sezonu.

Romanowowie okazują się ostatecznie McGuffinem – jak głównie za sprawą Hitchcocka nazywa się w kinie pewne popularne narracyjne rozwiązanie. Czym jest McGuffin? Sam Hitchcock lubił odpowiadać na to pytanie anegdotą.

W pociągu siedzi dwóch mężczyzn. Jeden z nich na półce nad siedzeniem trzyma ciężki worek. „Co jest w środku?” – pyta drugi. „To McGuffin” – odpowiada tamten. „A co to McGuffin?” „To urządzenie do łapania lwów w górach Adirondack”. „Ale w górach Adirondack nie ma lwów”. „W takim razie to nie jest McGuffin”.

McGuffin to puste miejsce, gdzie w narracji ogniskuje się pragnienie postaci i widzów, uruchamiając w ten sposób akcję. Może nim być Święty Graal, Sokół Maltański czy czarna walizka z „Pulp Fiction”. „Romanowowie” ujawniają tę pustkę i z dystansu przyglądają się pragnieniom, jakie budzi w bohaterach i widzach. Tak jakby twórca celowo popsuł telewizyjną maszynkę do obsługi pragnień, by przenieść nasze spojrzenie w inne miejsce. By poza publicystyczną kliszą powiedzieć coś istotnego o współczesnym świecie politycznego i tożsamościowego kryzysu, o meandrach nierówności i przywileju. Warto posłuchać.

© JAKUB MAJMUREK

Czarna plamka

ANITA PIOTROWSKA

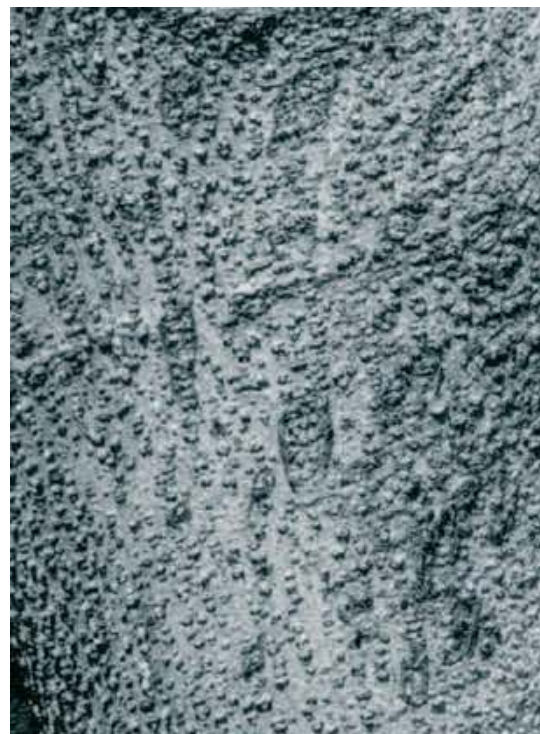
Opowieść o Stanisławie Szukalskim to wielowymiarowy obraz człowieka dużo większego niż życie, szukającego na własną rękę i często po omacku alternatywnych wersji dziejów sztuki i wszechświata w ogóle.

DŁUGOWŁOSY MŁODZIEŃC O PROFILU mrówkojada – na wczesnych fotografiach wygląda niczym Kopernik, którego sam wielokrotnie portretował. Plakat z wizerunkiem astronoma odegra zresztą w tym filmie ważką rolę, opatrzony słynnym węzowatym podpisem. Wynalezienie w głębokim dzieciństwie własnego alfabetu było jedną z wielu ekstrawagancji, jakich dopuścił się podczas długiego życia. Zrealizowany przez Irka Dobrowolskiego, a wyprodukowany przez Leonarda DiCaprio i Netflix dokument o Stanisławie Szukalskim podobnym, meandrycznym ruchem filmuje jego „zakręcone” rzeźby. I podobnie krętymi drogami podąża za jego biografią.

To największa wartość, jaką kryje w sobie „Walka”. Opowieść o szalonym geniuszu prowadzi nas w zaskakujących kierunkach – nie tylko do międzywojnia czy na Wyspy Wielkanocne, ale i do Polski jak najbardziej współczesnej. Nie tylko do szacownych galerii sztuki, lecz także do amerykańskiego undergroundu lat 70. – artystycznego ruchu *lowbrow*, punka i subkultury komiksu. Właśnie przedstawiciele tych środowisk – Robert Williams, Glenn Bray czy George DiCaprio, ojciec znanego aktora – odnaleźli mieszkającego w Los Angeles polskiego artystę. Urodzony w 1893 r. Szukalski, głosiciel nieskrępowanej niczym artystycznej ekspresji, stał się dla nich guru. Regularnie go odwiedzali, dokumentowali jego wy-

powiedzi, próbowali nadać jego twórczości zasłużony rozgłos. Bez nich zapewne ten film by nie powstał, ale bez tego filmu wielu niepolskich fanów znalazłoby tylko jeden profil tej migotliwej, janusowej postaci.

Na pierwszym planie jest oczywiście Szukalski wizjoner. Malując i rzeźbiąc przede wszystkim „z siebie”, na początku ubiegłego wieku nie mógł się zmieścić w murach krakowskiej ASP. Inspiracji dostarczali mu nie tyle dawni mistrzowie, co anonimowi twórcy prekolumbijscy. Anatomii uczył się ponoć na zwłokach własnego ojca. Z wypowiedzi znawców i znajomych wyłania się sylwetka „Michała Anioła XX wieku”, a zarazem wielkiego awanturnika sztuki, samonapędzającej się legendy, zbudowanej z mitomanii i narcyzmu. Po odrodzeniu Polski w 1918 r. (wspomina o tym w filmie Timothy Snyder) powraca na chwilę z amerykańskiej emigracji, by współtworzyć „czystą” sztukę narodową – pogańską, antykatolicką, zanurzoną w niesamowitej turbosłowiańszczyźnie. Ukąszenie nacjonalizmem i niechęć do polskiego multikulti zaowocuje w latach 20. powstaniem Szczepu Rogate Serce i czasopisma „Krak”, ale dekadę później staje się wyjątkowo niebezpieczną aberracją. Amerykańscy wielbiciel Szukalskiego mają dziś miny prawdziwie zasromane, kiedy uświadamiają sobie, jak dalece posunięty był ekscentryzm ich idola, głoszącego on-





MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Kadr z filmu „Walka. Życie i zaginiona twórczość Stanisława Szukalskiego”

giś treści jawnie antysemickie czy przyjmującego zagraniczne zlecenie na pomnik Hitlera i Göringa. Kiedy na ekranie pojawiają się współczesne polskie ulice, coraz bardziej brunatne, z zamaskowanymi młodzieńcami, którzy odpalają race i wymachują symbolem toporła, przedwojenny twórca tego znaku zapewne przewraca się w grobie.

„Walka. Życie i zaginiona twórczość Stanisława Szukalskiego” przynosi bowiem jeszcze jeden biograficzny zawijas. Opowiada o ukrytym dramacie patrioty bez ojczyzny i artysty bez dzieła. Te same demony, które wypuścił z butelki i karmił do końca lat 30., zabrały mu podczas II wojny światowej lwią część jego dorobku, zachowanego głównie na rysunkach i fotografiach. Na ironię losu zakrawają także jego skomplikowane relacje z Polską. Czasem był jej potrzebny, czasami stawał się niewygodny, a samych Polaków kochał i nienawidził jednocześnie. Zmarł dwa lata przed upadkiem komunizmu, nie doczekawszy wzmożonego zainteresowania jego sztuką w wolnej ojczyźnie. Z archiwaliów nakręconych przez Glenna Braya w latach 70. wyłania się jowialny, zakochany w sobie starszy pan, ale i człowiek dotkliwie naznaczony przez historię, tułaczkę i własne ego – jakby ta czarna plamka, której nabawił się w dzieciństwie wpatrując się w słońce, determinowała coś więcej niż tylko artystyczny sposób widzenia.

Zygmunt Hübner, Konstanty Puzyna, Zbigniew Raszewski, Jerzy Prokopiuk czy Wilhelm Brasse, polski fotograf z Auschwitz – Dobrowolski wyspecjalizował się w dokumentalnych portretach ludzi niezwykłych. Tym razem stworzył wielowymiarowy obraz człowieka dużo większego niż życie, oświeconego różnymi *idées fixes*, szukającego na własną rękę i często po omacku alternatywnych wersji dziejów sztuki i wszechświata w ogóle. Na osobne omówienie zasługują związki Szukalskiego z Hollywoodem czy jego wpływ na amerykańską kulturę popularną. Zdawać by się mogło, że „Walka”, zrobiona z detektywistyczną żyłką, elementami historycznego bryku, ze skomplikowaną miłością do bohatera oraz iście amerykańskim rozmachem, powstała z myślą o widzu spoza Polski, który po raz pierwszy styka się z wielkością i romantycznymi fantazmatami tego artysty. Tymczasem dla nas, w związku ze stuleciem odzyskania niepodległości, dyskusjami o patriotyzmie, galopującą „pomnikozą”, tudzież odżywianiem niektórych nastrojów czy symboli, film o Szukalskim staje się prezydentem szczególnie aktualnym i cennym. Zwłaszcza że rodzime kino trochę prześpało tę ważną rocznicę. ©

WALKA. ŻYCIE I ZAGINIONA TWÓRCZOŚĆ STANISŁAWA SZUKALSKIEGO (*Struggle. The Life and Lost Art of Szukalski*) – reż. Irek Dobrowolski. Prod. USA 2018. Netflix.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [12 – 18 I]

1. Ciche miejsce



Horror, reż. John Krasinski, USA 2018, HBO, 13 I, 20.10, 14 I, 16.05, 16 I, 20.10

Jeden z najlepszych filmów grozy minionego roku to postapokaliptyczna wizja świata, którym zawładnęły mordercze istoty reagujące na dźwięk. Ostatnia rodzina musi walczyć o przetrwanie w kompletnej ciszy, co buduje na ekranie wyjątkowy nastrój i napięcie.

2. Wyzwolenie



Teatr TV, reż. Maciej Prus. Polska 2007, TVP Kultura, 15 I, 20.20

Kim jest dzisiejszy Konrad? Kim współczesny Polak? Czy te pytania, postawione na nowo dekadę temu w inscenizacji dramatu Wyspiańskiego, dziś znajdują podobną odpowiedź? W roli głównej Piotr Adamczyk, w pozostałych m.in. Maja Komorowska, Jerzy Trela i Gustaw Holoubek.

3. Tajemnica Silver Lake

Dramat, reż. David Robert Mitchell, USA 2018, Cinema VOD, od 18 I



Twórca uznanego horroru „Coś za mną chodzi” nie spoczął na laurach i zabiera nas

w zwariowaną podróż po bezdrożach popkultury. Andrew Garfield gra tu chłopaka z Los Angeles, który wpada na trop kryminalnej intrygi i zostaje wkręcony w labirynt tajemniczych znaków.

4. Czarne lustro: Bandersnatch



Science fiction, reż. David Slade, USA 2018, Netflix

Kultowy serial o zagrożeniach, które niesie współczesna technologia, powrócił właśnie w formie interaktywnego filmu pełnometrażowego. Historia młodego programisty gier komputerowych osadzona została w 1984 roku i okraszona muzyką tamtych lat.

SPROSTOWANIE: Zapowiadany w poprzednim numerze dokument „Bliscy nieznajomi” nie jest dostępny na Netflixie.

JAN

Klata: Trumna 4D



CZYM ZAJMUJE SIĘ MINISTERSTWO OBRONY Narodowej? Ławeczkami. Nekroperforme-
rzy z obozu rządzącego konsekwentnie re-
alizują hasło: „Ojczyzna to ziemia i groby”.
Postanowili rocznicowo upstrzyć polski

krajobraz podświetlanymi śpiewającymi ławeczkami-trumnami. Oddajmy głos autorce projektu ławeczki, pani Marcie z Jaworzna, która zapytana o oddźwięk rozsunęła garść refleksji: „W najśmielszych snach nie spodziewałam się tak emocjonalnych reakcji. W mojej profesji najgorsza jest obojętność odbiorcy”. Tutaj pozwolę sobie zauważyć, że zaiste, jest kilka takich profesji.

Zwycięzczyńnię wyłonił ministerialny – uwaga! uwaga! – konkurs. I tutaj niespodzianka: wśród MON-jurorów nie było żadnego architekta ani eksperta z dziedziny wzornictwa. Wybrali więc trumienne siedziska miejskie czy też może katafalki, ale chyba jednak multimedialne trumny. Za ile? W sumie nie należałoby zważać na koszty, przecież sto lat niepodległości zdarza się raz na sto lat (a w Polsce nawet rzadziej), wszak trumienne ławki są nader rzadką w dzisiejszych czasach inwestycją jedno-

częśnie w przyszłość i w przeszłość... Sama autorka słusznie za-
uważyła, że prawda i autentyczność społecznej reakcji jest bez-
cennym barometrem polaryzacji... bezcennym...

No dobra, MON wyłożyło jedyne 30 tys. PLN za sztukę, czyli ok. 4 mln za całość dekoratorskiej fantasmagorii pary Macierewicz-Błaszczak... a nie, przepraszam, eksminister Macierewicz wołał kolumny, kolumny niepodległości, a mamy jednak siedziska. Gdyby po następnych zwycięskich wyborach pan Antoni jednak wrócił, siedziska można postawić na sztorc i naonczas będą kolumny. Jak to będzie się prezentować – nie wiadomo, gdyż według najświeższych wiadomości ławki niepodległości już się łuszcą... Po prostu farba odchodzi, może nie chce być widziana w ich towarzystwie, chce się oddalić jak najrychlej.

Od samorządów napłynęły już 262 oferty przyjęcia tego cudu, więc wygląda na to, że ludzie będą przed nimi uciekali w wielu miejscach, a filmowe ekipy z całego świata zaczną kręcić horrory o szalonych podtytułach: „Trumna Niepodległości – Ryckarska Buta” czy „Trumna Niepodległości 2 – Depesza Dziadka”. W rolach tytułowych: Mel Gibson, oczywiście dofinansowany przez MinKulta z funduszy zaoszczędzonych na „Dwutygodniku”. W pierwszym ujęciu Gibson odwiedzi Łazienki i spontanicznie przycupnie na siedzisku, niczego nie przeczuwając...

Aha, trumny odlala firma Betonovo. Dobrze, że nie Castrum Doloris. Tak czy owak: z Podkarpacia. Podkarpacie jest trochę naszą Transylwanią, i koło się zamyka, łamigłówka zaczyna się układać, szafa gra. Multimedialne trumny są, rzecz jasna, betonowe i posiadają trzy pliki dźwiękowe tudzież światła LED. Oraz ładowarkę. To może pomóc. ©

Lektor: Jeleński żywy



■ Konstanty Jeleński
ZBIEGI OKOLICZNOŚCI

Opracował, wstępem i posłowiem opatrzył Wojciech Karpiński.
Instytut Literacki Kultura – Instytut
Książki, Paryż – Kraków 2018,
ss. 450.

BYŁ JEDNYM Z NAJŚWIETNIEJSZYCH eseistów polskich, choć talent pisarski i dar przenikliwego widzenia traktował służebnie. Z kraju wyjechał na zawsze jako 17-latek, walczył u generała Maczka, po II wojnie stał się współpracownikiem Jerzego Giedroycia (umiejącym też wejść z nim w spór) i architektem międzynarodowej sławy Gombrowicza. Czterojęzyczny

kosmopolita i lewicowiec, zachowywał krytyczną pamięć własnej tradycji.

„Nigdy nie miałem zamiaru z własnej inicjatywy zebrać w wydaniu książkowym artykułów napisanych zawsze na skutek takiej czy innej zewnętrznej podniety – tłumaczył. – Nie będę jednak ukrywał, że propozycja wydania ich w kraju »poza zasięgiem cenzury« sprawiła mi całkiem

nieoczekiwaną, wielką radość”. To z odautorskiej noty w pierwszej polskiej książce zbliżającego się już wtedy (w roku 1981) do sześćdziesiątki Jeleńskiego. Legendarna dwutomowa edycja „Zbiegów okoliczności (o przeczytanych i przeżytych przez 30 lat)”, w której szkice ułożono w odwrotnym porządku chronologicznym, opracowana przez Piotra Kłoczowskiego, z grafiką Jana Lebensteina na okładce, wciąż stoi u mnie na półce. Krakowskie wydawnictwo KOS zdobyło niezły papier, wcale nie pozółł jak w większości druków tamtego czasu, czcionka drobna, ale wciąż czytelna. I jeszcze informacja: „Książka ta (t. I-II) sprzedawana była w punktach kolportażu po 330 zł”. Po edycji podziemnej przyszło wkrótce poszerzone i zmienione wznowienie w Instytucie Literackim. Ono właśnie jest podstawą obecnego wydania w ramach

serii „W kręgu paryskiej Kultury”. Przygotował je Wojciech Karpiński, zamykając całość dyptykiem portretowym. Pierwsza jego część powstała jesienią 1980 r., gdy tylko zelała cenzura, i wydrukował ją „Tygodnik Powszechny”. Część druga napisana została po przedwczesnej śmierci Jeleńskiego w 1987 r. dla „Zeszytów Literackich”. Przedstawiam historię książki, nie pisząc niemal nic o jej zawartości. A na jej kartach naprawdę można spotkać autora: odbiorcę czulego jak sejsmograf, krążącego między światami, między szczegółem obyczajowym, konkretem wiersza czy obrazu a szerokim planem idei, zawsze zresztą kwestionowanych. Mistrzowskiego interpretatora Gombrowicza i Miłosza, Wata i Iwaszkiewicza, Czapskiego i Lebensteina. Obywatela świata i obywatela polskiej kultury. ©P

PAWEŁ

Bravo:

O chemicznej parówce



DWA. TYLE KILOGRAMÓW, I TO LICZĄC OSTROŻNIE, tzw. dodatków do żywności wchłonął każdy i każda z was, drodzy moi goście, w ciągu ubiegłego roku. Jak eufemistycznie określa poświęcony im raport Najwyższej Izby Kontroli, są to „substancje, które

w normalnych warunkach nie są spożywane same jako żywność i nie są stosowane jako charakterystyczny składnik żywności”. Czyli, tak już mniej urzędowo, chemiczne świństwa, których zwierzęca, instynktowna, ponoć bezrozumna część naszej osoby nigdy by nie tknęła nawet długim kijem, gdyby nie została do tego przymuszona gwałtem przez część tzw. racjonalną, myślącą i kalkulującą.

Jeśli wczoraj na śniadanie zjedliście kajzerkę z margaryną lub serem topionym i parówką, popiliście napojem smakowym i jogurtem owocowym, do obiadu zrobionego własnoręcznie dodali kupną sałatkę, po południu przekąsili drożdżówkę, a na kolację zjedli np. polędwicę, to w waszym ciele, jak wynika z symulacji typowego jadłospisu zrobionej przez inspektorów NIK, znalazło się 85 dodatków. Przeciwtłuszczaczy, stabilizatorów, zagęstników, wypełniaczy, barwników, wzmacniaczy smaków, konserwantów – bez nich jedzenie zrobione w fabrykach nie miałoby komercyjnego sensu. Psułoby się za szybko, żeby dystrybucja i sprzedaż komukolwiek się opłacały. Wyglądałoby paskudnie, od długiego stania na półce jogurt by się rozwarstwił i szlag by trafił „jedwabistą” konsystencję kremu waniliowego oraz chrupkość biszkopta. A przecież integralną częścią niepisanej umowy społecznej, na mocy której oddajemy technologicznemu Lewiatanowi kontrolę nad kluczowymi aspektami życia, jest to, że być niewolnikiem systemu wychodzi nam taniej i wygodniej, ale do tego mamy gwarancję, że nie pocujemy zmiany. Krem dalej będzie kremowy, śmietana gładziutka, ciasteczko chrupkie, rosołek sycący, a paróweczka tak pyszna, że jakże tu nie sięgnąć od razu po drugą.

Oczywiście każda z tych substancji z osobna jest przebadana i dopuszczona po ekspertyzach określających górne limity ich użycia, a także sprawdzana w ramach kontroli przez instytucje mające dbać o zdrowie publiczne – w polskim przypadku potocznie zwane sanepidem. Tylko że system ten powstał w pierwszej połowie XX wieku, kiedy głównym wrogiem człowieka były zarazki i epidemie wywołane przez zagrożenia biorące się z porządku natury. A teraz mamy już XXI wiek i obok pałeczek, krętków i ameb nasz system żywienia zamieszkują azotyny, stearylomleczany, sorbiniany. Brzmiałyby mniej groźnie, bo to byty stworzone przez człowieka i jako takie, chcemy wierzyć, są poddane ludzkiej kontroli. Uczeń Czarnoksiężnika się kłania.

NIK słusznie założył i udowodnił w swoim badaniu, że służby ochronne widzą drzewa, ale nie widzą lasu. Ustalają, czy dany wafelek zawiera dopuszczalną ilość barwnika X albo przeciwtłuszczacza Y, nie dociekają jednak, jak działa cały ten mende-

lejew razem wzięty, jakie są interakcje między chemikaliami w jednym produkcie oraz w zbiorze potraw, które pochłaniamy w ciągu dnia. Dają się oszukać jak dzieci – oto pewne parówki zawierają cztery różne stabilizatory i trzy regulatory kwasowości. Po co? Każda substancja oddzielnie mieści się w normie, ale ich suma to już toksyczna bomba. Wystarczy prosta operacja dodawania – nawet jeśli nasz mózg jej nie wykona, to na pewno zrobi to za niego wątroba, ona raczej nie zna się na księgowych sztuczkach.

Ileż było ostatnio rozważań, jak trudno realnie zmniejszyć „ślad węglowy”, jesteśmy bowiem z całą naszą cywilizacją, jej przemysłem i obyczajami uwikłani w system produkcji i obiegu energii, którego nie da się ot tak zmienić – choćby dlatego, że prezesi spółek energetycznych nie oddadzą swoich pensji, a odbiorcy ich reklam nie odpuszczają sobie sutych zleceń. System rynku spożywczego to analogiczna do energetyki mała Gwiazda Śmierci – samonapędzający się mechanizm maksymalizacji zysku o skutkach również ekologicznych, który potrafił nam wmówić, że nie da się go zastąpić. Otóż da się, i jest to o wiele prostsze niż obcięcie zużycia prądu o połowę albo rezygnacja z jazdy samochodem. Woda zamiast coli albo omlet zamiast mrożonej pizzy? Może nie na co dzień, ale po troszeczkę... zrobmy tak, żeby za rok tych „substancji” był w nas tylko jeden kilogram. © P

Wysoko na liście zimowych comfort food jest znany narciarzom z alpejskich schronisk napój bombardino. W wersji knajpianej zabutelkowany likier jajeczny to kolekcja z dwudziestu chemikaliów. Zrobienie go w domu jest pracochłonne, ale dość proste – tu moja ulubiona wersja z nutą cytrynową. Najpierw ubijamy ok. 200 ml śmietanki ze szczyptą soli, kiedy już zaczyna się robić sztywna, dodajemy startą skórkę z cytryny (ale nie cukier!). Odstawiamy do lodówki. W rondelku mieszamy dwie łyżki cukru z ok. 70 ml limoncello (można część zastąpić słodkim winem), podgrzewamy moment, aż się rozpuści, studzimy. W miseczce osadzonej na większym garnuszku z podgrzewaną na wolnym ogniu wodą zaczynamy ucierać w kąpieli wodnej 5 żółtek z 2 łyżkami cukru. Dolewamy pomalutku limoncello z rondelka, cały czas pracując trzepaczką. Kontrolujemy temperaturę wody, nie powinna przekroczyć 80 stopni. Lepiej dłużej się pomęczyć z ubijaniem, niż żeby żółtka miały się ściąć. Po ok. 7–10 minutach takiej pracy powinniśmy mieć puszysty, gładki krem zabajone, o dość gęstej konsystencji. Smakujemy – jeśli za bardzo przypomina mdły kogel-mogel, dolewamy jeszcze trochę limoncello albo parę kropel mocnego trunku, np. grappy. Rozlewamy do szklaneczek, póki gorące, dodajemy po łyżce bitej śmietany.



ADOBE STOCK

RAJSKI BUFET

Dotknięcie turysty
nieodwracalnie zmienia wszystko.
Turyście nie smakuje? Będzie się gotować
tak, żeby mu smakowało!
Oczywiście w imię poszukiwanej
przez niego autentyczności.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

NA KULINARNYM KANALE TRZECH SZEFÓW KUCHNI KONKURUJE na dziewiczej plaży. Mają za zadanie „ugotować coś autentycznego przy użyciu prymitywnych metod”. Dwie siostry – laureatki „MasterChefa” gotują własne wersje lokalnych delikatesów dla barwnych gości hinduskiego wesela, zrobiwszy uprzednio zakupy na najprawdziwszym lokalnym targu. Podróżujący po Meksyku Australijczyk odwiedza tam profesjonalną kuchnię ekskluzywnej restauracji i wyznaje: „Nie tego się spodziewałem w Meksyku”.

To programy pełne barw, wibrujące energią i sprawiające, że niemal czuje się owocowo-korzenne aromaty bijące z ekranu. Pełne życzliwych lokalsów oprowadzających naszego bohatera po swoim egzotycznym świecie, chwalebnych jego wersję miejscowych dań i radujących się, że takiemu gościowi smakuje ich kulinarne dziedzictwo. W tle biegają pełne naturalnej wesołości dzieci, a na zatłoczonych, zwariowanych nieco ulicach podzwaniają riksze.

Inne kraje, ludy, kultury i tradycje najpiękniej i najskuteczniej poznaje się przez kuchnię – zgodzi się z tym pewnie każdy, kto wyjechawszy za granicę wyściubił choćby nos za ogrodzenie kurortu z opcją *all inclusive*. A jeśli ktoś nie może akurat rzucić wszystkiego i ruszyć w podróż, z pomocą przyjdzie mu telewizja, której jedną z podstawowych funkcji jest przecież dostarczanie doznań zapośredniczonych. Gdy identyfikujemy się z superbohaterami, bezkompromisowymi śledczymi, czy – a jakże – namiętnymi kochankami, ich doniosłe czyny stają się też naszym udziałem. Tak samo rzecz się ma w przypadku kulinarnego podróżnika, szefa kuchni czy celebryty, który występuje w jednym z ulubionych formatów telewizji kulinarnej: rusza w egzotyczne kraje.



Ale czy taka kulinarna podróż rzeczywiście pozwala te kraje, kultury i ludzi poznać? Przyjrzyjmy się nieco bliżej, w co układają się ciepłe barwy na ekranie. Wsłuchajmy się jeszcze raz w zaklęcia, które służą do wywoływania wizji tych światów.

Dotknięcie

A więc po pierwsze: autentyczność – wielkie pragnienie człowieka Zachodu. Jedno z ulubionych słów w promocji przemysłu turystycznego, ale też kulinarnego. Tak jakby człowiek Zachodu, otoczony technologią, wzięty w ramy kultury i wymogi cywilizacji, żywił gdzieś głęboko w sobie poczucie utraty własnej autentyczności. Upatruje jej więc w świecie owych „ludów egzotycznych”, żyjących w har-



SURIYA SILSAKORN / ALAMY STOCK / BEW

monii z naturą i nieskrępowanych zachodnimi ograniczeniami. Mogących w przekonaniu ludzi Zachodu czynić to, czego nie wolno „człowiekowi cywilizowanemu”. XIX-wieczny, wtłoczony w rygorystyczny gorset Zachód fantazjował o permissywnym haremie. Dzisiejszy Zachód, który owego gorsetu dawno się wyzbył, zdaje się fantazjować o „naturalności” czegoś, co sam nazywa „stylem życia”.

Jak to wygląda? Kilka lat temu ukazała się w Polsce znana książka reportażowa szwedzkiej dziennikarki Jennie Dielemans „Witajcie w raju” o poszukiwaniu „autentyczności” (Czarne 2011, przeł. Dominika Górecka). Książka rozpracowuje przemysł turystyczny, ale mechanizmy w niej opisane doskonale pasują do poszukiwań kulinarnej egzotyki: „Miasto Sa Pa

i jego okolice przeszły w ciągu ostatnich dziesięciu lat ogromną przemianę. Z niewielkiej stacji górskiej przy granicy z Chinami (...) stało się jedną z największych atrakcji Wietnamu. Biura podróży w Hanoi oferują wycieczki do „górskich plemion, które każdy musi zobaczyć» (...). Broszury turystyczne rozpisyją się o ich przyjaznym usposobieniu, pięknych strojach i tradycyjnym sposobie życia (...). Hmong, Zai, Dao i inne grupy etniczne konkurują o pieniądze turystów, sprzedając wyroby rzemieślnicze, dając występy, oferując noclegi, a czasem również usługi seksualne”.

I tak opowiada o wizycie u jednej z bohaterek swojego reportażu: „Choć rodzice Mao nie lubią, gdy do domu przychodzi obcy i na dodatek chodzą po mieszkaniu, uśmiechają się, ➔

→ pokazują coś palcem, robią zdjęcia i zadają mnóstwo pytań, to trudno im wzgardzić tym dodatkowym groszem”.

Może więc to dobrze? Turyści przywożą pieniądze, miejscowe społeczności zarabiają, wszyscy są zadowoleni. Niestety, Jennie Dielemans pozbawia złudzeń: „Gotowość turystów do podglądania życia mieszkańców za pieniądze w wielu z nich wzbudziła nadzieję. Ubogie miejscowości, wśród nich Sa Pa, potrzebują zastrzyku finansowego. Renowacja dróg i domów i nowe miejsca pracy to korzyść dla wszystkich. Pojawia się jednak zagrożenie w postaci narkotyków i prostytucji, a także wycieku pieniędzy, które zamiast do mieszkańców trafiają do biur podróży i właścicieli hoteli z Hanoi”.

Ten ostatni problem powraca w książce Dielemans wielokrotnie: tzw. lokalsi większości wydawanych rzekomo „na nich” pieniędzy nawet nie oglądają. Wszystko jest drenowane bądź to przez miejscowe władze i biznesy, bądź – co zakrawa na gorzką ironię – przez zachodnie koncerny i przemysł turystyczny. W dodatku: „turyści nie są praktycznie w ogóle kontrolowani. Przyjeżdżają coraz liczniej pociągami z Hanoi i coraz częściej trzeba się dostosowywać do ich potrzeb”.

Oto paradoks pędu za autentycznością, doświadczaniem tego, co tradycyjne i lokalne. Dotknięcie turysty nieodwracalnie zmienia wszystko, czego dotknie. W przypadku dziedzictwa kulinarnego odbywa się to dosłownie. Turyście nie smakuje? Będzie się gotować tak, żeby mu smakowało, a przy okazji owo dziedzictwo kulinarne zostanie porzucone (modelowym przykładem, choć tylko na lokalną skalę, jest kuchnia naszych górali podhalańskich – gdyby Sabała usłyszał o klepańcu Maryny albo nawet o grillowanym oscypku z żurawiną...).

Ala jest jeszcze coś gorszego. Jannie Dielemans pisze: „Zapotrzebowanie turystów na kulturę i tradycję innych (nieważne, czy będą to Masajowie w Kenii, Majowie w Meksyku, lud Akha w Tajlandii, czy Hmongowie w Wietnamie) stawia wysokie wymagania ludziom, których odwiedzamy. To, czy im zapłacimy, uzależnione jest od tego, czy uznamy ich za malowniczych, autentycznych i nieskażonych cywilizacją. W dniu, w którym Mao oprowadzająca turystów po wietnamskim Sa Pa kupi sobie antenę satelitarną, samochód, lodówkę z zamrażarką lub po prostu inne ubrania, turyści zaczną mieć problem. Przesłanie być autentyczna, a jako obiekt zdjęć – atrakcyjna. Konsumujemy nie tylko jej kulturę i tradycję, konsumujemy również jej biedę. Ona musi być biedna dla nas”.

I tak, żeby spełnić oczekiwania turystów i zasłużyć na ich pieniądze, lokalne społeczności muszą utrzymywać stereotypy Zachodu na temat własnej kultury. W jakimś sensie zmuszone są do samoupokorzenia. Komu się spodoba program kulinarny, w którym kulinarny celebryta w Tajlandii czy Indiach wejdzie do supermarketu czy choćby do sklepiku wyposażonego w lodówkę i zamrażarkę? Przecież wiadomo, że autentyczne są biedne targi, na których ludzie w kucki patroszą ryby nad rynsztokiem. Przecież na dziewczęcej plaży gotuje się w prymitywnych warunkach. Przecież w Meksyku nie ma się co spodziewać profesjonalnej restauracji.

Widz telewizji kulinarnej
nie jest jak backpackersi
czy wczasowicze
z pięciogwiazdkowych
kurortów w Hurghadzie.
Nigdzie nie jedzie,
tylko ogląda.
**Ale spojrzenie
też nie jest niewinne.**

I przecież wizyta telewizyjnego szefa kuchni z kamerą powinna być dla całej lokalnej społeczności powodem do radości i dumy. Mają się uśmiechać do kamery, umorusane dzieci mają biegać, a kobiety tańczyć, wszyscy zaś – reagować entuzjazmem w niezrozumiałym języku, gdy białemu smakuje.

Polacy stosunkowo niedawno awansowali do tego procenta ludzi świata, który może podróżować i zwiedzać wszystkie te miejsca.

„Przebieramy bez umiaru w rajskim bufecie i oczekujemy wdzięczności od tych, których praca polega na usługiwaniu nam – pisze Jennie Dielemans. – Wydaje nam się, że

akt konsumpcji, któremu się oddajemy, jest dobrym uczynkiem, aktem solidarności. Że ludzie, którzy usługują nam na plażach w biedniejszych częściach świata, powinni się cieszyć, bo akurat ich wybraliśmy. (...) Nie chcemy wiedzieć, że dziewczyna, która przed chwilą wymasowała nasze stopy, wstaje o szóstej rano i pracuje do dziesiątej wieczorem za równowartość dwunastu złotych dziennie. Albo, że rdzenni mieszkańcy kraju, których odwiedzamy, odgrywają dla nas tańce, bo są do tego zmuszeni”.

Co tam słyhać po tajfunie

No dobrze, ale widz telewizji kulinarnej – bo cóż może być w tym świecie bardziej niewinnego niż telewizja kulinarna? – nie jest przecież jak ci backpackersi czy wczasowicze z pięciogwiazdkowych kurortów w Hurghadzie. Nigdzie nie jedzie, tylko ogląda. Ale spojrzenie też nie jest niewinne. Widz uczestniczy w tym samym procesie. Telewizyjny foodie-podróżnik jedzie za niego i w jego imieniu, przygotowując dlań spektakl odpowiadający jego wyobrażeniom o egzotycznym świecie. To ów świat ma się dopasować do oczekiwań, na potrzeby telewizyjnego *show*. Nie będzie biedy, będzie autentyczny, tradycyjny styl życia. Nie będzie niedożywienia ani głodu, będzie tradycyjna kuchnia. W każdym znajdzie się tylko to, co nie zaburzy kojącej zachodnie sumienie wizji świata pierwotnie szczęśliwego.

Krytyk kultury Edward W. Said w swojej kanonicznej książce „Orientalizm” pisał, że hegemonia Zachodu nad Wschodem opiera się na władzy nad dyskursem, nad nazywaniem i interpretowaniem: to zachodnią interpretację Wschodu oglądamy i konsumujemy. Orientalizm to postawa z natury rzeczy oparta na wyższości i uprzedzeniu, bo jest fascynacją obcym, prymitywniejszym („tradycyjnym”), dzikszym („naturalnym”).

„To hegemonia, czy raczej efekt kulturalnej hegemonii w działaniu, daje orientalizmowi wytrzymałość i siłę – powiada Said. – Orientalizmowi nigdy nie jest daleko od tego, co Denys Hay nazwał ideą Europy, kolektywnym pojęciem identyfikującym »nas«, Europejczyków, przeciwstawianych tym »onym«, nie-Europejczykom, i w rzeczy samej można utrzymywać, że głównym komponentem kultury europejskiej jest dokładnie to, co uczyniło tę kulturę hegemoniczną zarówno w jej obrębie, jak i poza Europą: idea europejskiej tożsamości jako nadrzędnej (*superior*) w porównaniu z wszystkimi tymi nieeuropejskimi ludami i kulturami” (tłum. własne).

W przypadku podróży kulinarnych bodaj najbardziej agresywnym przejawem owej hegemonii nazywania jest jedno z ulu-

bionych zagrań gotujących celebrytów: tzw. moja wersja. To ten moment w programie, w którym prowadzący, naoglądawszy się już autentycznych targów, prymitywnych palenisk i tradycyjnie biednych potraw, sam zabiera się do gotowania na ekranie.

Ten moment też ma swój własny słownik: oto szef kuchni „zainspiruje się” poznanym niedawno daniem, „zaczepnie” z tradycji, „sięgnie” po lokalne składniki, „wydobędzie” z nich smak i aromat. Wszystko to słowa z języka eksploatacji. Ale nie dorównują one ładunkowi symbolicznej przemocy, którą niesie owa „moja wersja”, akt dominacji nad dyskursem w czystym sensie. Oto teraz gość z Zachodu pokaże jak on, profesjonalista, mistrz kuchni, zrobiłby to tradycyjne danie. Jak zrobić je lepiej. Przychodzi niczym ów cywilizowany biały kolonizator, wprowadza swój język, swoje kategorie i swoje porządki. Cywilizuje. Wreszcie, w tej części programu następuje moment finałowy: przedstawiciele miejscowej społeczności – czy to na ulicy, w goszczącej prowadzącego chacie, czy na przyjęciu weselnym – mają skosztować ucywilizowanej wersji pożywienia własnej kultury. Mają się promiennie uśmiechnąć, pokiwać głowami do kamery i powiedzieć, że takiego dobrego to jeszcze nie jedli.

Uprzejmy, przyjazny lokals z programów kulinarnych, każdy z tych niezliczonych miejscowych przyjaciół Anthony’ego Bourdaina, to ta sama postać: autentyczny obcy (aczkolwiek może nieco bardziej cywilizowany, bo znający język i noszący się z europejską), którego zadaniem jest oswajać lęk człowieka Zachodu przed Wschodem, tłumaczyć go na przyswajalne dla łakomych zachodnich żołądków kategorie. Być przewodnikiem po bezpiecznej wersji orientu (naturalnie wspomniany jako jeden z przykładów Meksyk to nie orient, ale mechanizm jest ten sam), o którym Zachód od zawsze wie, że jest niecywilizowany. Niepokorny. Dlatego trwoży i fascynuje zarazem.

W takiej oswojonej wersji egzotycznego świata kuchenny celebryta czy foodie-podróżnik co najwyżej z poczuciem ekscytacji skosztuje duriana, popływa łódką wśród autentycznych rybaków czy da się przewieźć riksą niczym biały sahib. Nie zmierzy się z wykarmieniem rodziny za cztery dolary dziennie. Ze zbieraniem życia z okrucieństw po tajfunie. Z policją polityczną, partyzantką napadającą wieś czy brutalną armią rządową. Z mieszkaniem na stercie importowanych z Zachodu śmieci. Z pracą w odzieżowym sweatshopie, montowni taniej elektroniki albo – żeby trzymać się tematyki kulinarnej – na

plantacji palmy olejowej, przy hodowli pangii czy tanich kretek do zachodnich dyskontów.

BARWNY I WIBRUJĄCY ENERGIA egzotyczny świat z programów kulinarnych to jeszcze jedna wersja wyobrażeń o odaliskach i wirujących derwiszach, szlachetnych dzikusach i buddyjskich mnichach. Koi i znieczula. Odsuwa poza granicę wyparcia poczucie winy Zachodu za to, jak drenuje on tamte światy: od kapitału intelektualnego, przez siłę roboczą, po eksport śmieci i śmierci w wojnach zastępczych. Staje się instrumentarium symbolicznym współczesnego kolonializmu. A ów ma nieco tylko subtelniejszą formę niż ten sprzed wieków. Tak samo jak niedgdyjsze elity Londynu czy Paryża, my też żyjemy w otoczeniu produktów kolonialnych. Tyle że kiedyś znamionowały one prestiż. Dziś są tanią alternatywą.

Czy jest ucieczka od uczestnictwa w tym procederze? Da się odwrócić to hegemoniczne spojrzenie bez wyrzucania telewizora za okno? Przecież lubimy te programy. I czasem się nawet czegoś z nich dowiadujemy.

Na skali dotkliwości programy kulinarne lokują się stosunkowo nisko w porównaniu z takimi dziełami popkultury jak „Azja Express” czy wyczyny Wojciecha Cejrowskiego, a krytykowanie ich w markowym ubraniu uszytym w Bangladeszu to hipokryzja pierwszej wody. Są tylko elementem całego kompleksu matni, w jaką wobec reszty świata uwikłał się Zachód.

Wypływać się z niej można pewnie najwyżej kawałek po kawałku, supeł po suple. Dzięki wyjątkom – takim choćby jak Fred Chesneau („Globe Cooker”), Rick Stein czy nasza Marta Dymek („Zielona rewolucja w Tajlandii”) – dla których napotykanie w podróży miejscowi są partnerami, a oni chcą się od nich uczyć i dowiadywać. Nieodżałowany Anthony Bourdain balansował często po granicznej, czerwonej linii, jak wtedy, gdy najpierw medytował na Polach Śmierci, żeby się potem z czystym sumieniem napchać i nadzwonić – ale on też ruszał w podróż, by słuchać i poznawać – i chyba nigdy nie ugotował żadnej „własnej wersji”.

Albo dzięki takim momentom otrzeźwienia jak ten z jednego z programów Yotama Ottolenghiego – kiedy Palestyńczyk z hummussii Al-Akarmawi w arabskiej dzielnicy jerozolimskiego Starego Miasta, zagadnięty o izraelsko-palestyński spór o hummus, spojrzał nań z politowaniem i zapytał: „Oni zabrali nam ziemię, a pan mnie pyta o potrawę?”.

© © MICHAŁ KUŹMIŃSKI

TP

„Tygodnik” poleca książkę dla głodnych... wiedzy

Kiedy ludzie zaczęli gotować? Czy nasi przodkowie byli padlinożercami? Jak wygląda gluten? Czy da się wyhodować sałatę w komosie? Jak przyczepić do patelni warstwę nieprzywierającą?

Na te i inne pytania odpowiedzi znajdują się w książce „Nauka w kuchni” Michała Kuźmińskiego, wieloletniego szefa działu Nauka i zastępcy redaktora naczelnego „TP”. Na temat tajników przyrządzania i przechowywania żywności oraz chemii gotowania rozmawia m.in. z antropologiem Robinem Dunbarem, materiałoznawcą Markiem Miodownikiem, naukowcami z Milenijnego Banku Nasion oraz z CERN czy botanikiem z NASA Rayem Wheelerem. W sposób zabawny, acz ścisły odpowiada na pytania, które często sobie sami w kuchni zadajemy: dlaczego zupa miso nie może się nie udać? Jak ciasto robi się elastyczne? Dlaczego lepiej się smaży na tłuszczu? Jak powstaje nalewka? Autor prowadzi przez fascynujące tajniki jedzenia i gotowania od czasów prehistorycznych po najdalszą przyszłość.

Nową książkę Michała Kuźmińskiego „Nauka w kuchni” – zamów w przedsprzedaży na: powszech.net/naukawkuchni



STANISŁAW

Mancewicz: Tyłem



W WĄSKICH KRĘGACH LUDZI ZAJMUJĄCYCH SIĘ żartowaniem od dość dawna panuje przekonanie, że żart, jako elementarne prawo i cecha człowieczeństwa, wymiera. Zaiste, można mieć pewność, że ludzkość żartuje dziś słabiej niż, dajmy na to, rozdrażniona

puma w pogoju. Pozartować można – i to też nie do woli – w katakumbach, w starannie dobranym gronie ludzi szalenie zaufanych, gibkich umysłowo, potrafiących zachować dyskrecję, bo publiczne żarty kończą się zawsze źle. Żartowanie przestało być zabawą bez kary, przestało być także zabawą, jest bowiem postrzegane powszechnie jako próba dźgnięcia bliźniego w serce, czyli *de facto* w jego umysłowość, co pokazuje skalę jej zdegenerowania. Nie tylko dlatego, że żart bywa zły, ale dlatego, że jest niezrozumiały. Niezrozumienie żartu jest dziś znakomitym powodem do bezwstydnego obrazy, czy jak kto woli, do odziania się w zawsze za ciasny, naelektryzowany golf godności. Godność, owa bliźniaczka egzaltacji i braku dystansu, stoi na warcie już każdej rozmowy, w tym o zdrowiu, jakże dziś powszechnej ścisłej diecie czytelniczej, i oczywiście o polityce.

Po tych krystalicznie oczywistych i znakomicie skomponowanych uwagach przejdziemy teraz do żartowania. Z polskiego parlamentu i rzecz jasna z rządu, które to ciała nie nadają się do niczego innego. Warto tu wtrącić, że gdy ktokolwiek, kto jest od jakiegokolwiek agencji bądź urzędu państwowego zależny, pozwoli sobie na najdrobniejszy z nich żarcik, jest wyrzucany z pracy w trybie natychmiastowym. I nie jest to żart, jest to bowiem praktyka powszechna, charakterystyczna dla powszechnych tu nadęć.

Oto polska polityka zagraniczna – weźmy coś śmiesznego, pierwszego z brzegu – od czasu wstąpienia Polski do NATO polega *de facto* na oglądaniu telewizora. Owszem, ktoś od czasu do czasu wstawał, by pójść do lodówki po piwo, a zdarzało się także,

że ten i ów mniej lub bardziej celnie komentował wyświetlane obrazy. Od lat wydawało się nam, że jest to dość niewinne hobby, zważywszy, że polska polityka zagraniczna to nie jest i nigdy nie była nasza mocna strona. Może z wyjątkiem stosunków z Cesarstwem Rzymskim i wyznaczeniem naonczas do dziś ważnej granicy pomiędzy masłem i oliwą czy jak kto woli: wódką i piwem a winem. Tego się trzymamy ku chwale ojczyzny, był to bowiem i jest podział świata słuszny, trwały, a ten słup graniczny stoi, nie to co groteskowy kijek wbity na plaży płytkiego akwenu.

Jako się rzekło, uważamy, że w polskich realiach politycznych oglądanie telewizora to raczej sukces. Już sama umiejętność włączenia go budzi nasz podziw, ale nie sądziliśmy, że tę prostą, wydawałoby się, czynność można modyfikować. Otóż, jak się okazuje – można. Można bowiem siedzieć do telewizora tyłem. Od jakiegoś czasu zastanawialiśmy się nad kompetencjami dzisiejszego ministra spraw zagranicznych. Czymże on mianowicie wybija się, że doznał łaski posiadania wizytówki z wydrukowaną godnością? Otóż ów siedzi tyłem do odbiornika, dodajmy – wyłączonego. Ujawnienie teraz, w tym miejscu i czasie, że jego praca polega na siedzeniu tyłem do zgaszonego telewizora, nic nie zmienia, nie jest to przecież żadna tajemnica dla kogokolwiek za granicą naszego imperium. To po prostu ciekawostka z kalendarza dla psychologów czy jakichś tam behawiorystów.

Idźmyż dalej, gdyż się ściemnia. Zawsze uważaliśmy, że im wcześniej człowiek się dowie, skąd się biorą dzieci, i że pieniądze nie rosną na drzewach, tym lepiej. Sami mamy o tym wszystkim pojęcie bardzo średnie, nad czym nieustannie bolejemy. Otóż także dobrze jest się orientować, na czym polega ustrój, w którym przyszło żyć. Dużo się dziś mówi – na ogół ze znanstwem godnym kwestii aktualniejszych – o czasach komunistycznych. Jednak ze świecą szukać (jest zima stulecia) znawcy tego czegoś, czego właśnie doświadczamy. Punktami odniesienia są niewątpliwie demokracja i parlamentaryzm, mamy jednak do czynienia z silnym skołtunieniem jednego i drugiego z cechami innych porządków, by nie rzec: bałaganów. Jak ugryźć zachowanie parlamentu, który uchwała prawa tylko po to, by je natychmiast odwołać? Nie mamy tu na myśli zdarzających się wszędzie, korygowanych pomyłek w stanowieniu prawa, ale regułę – dziś uchwalamy, jutro to odwołujemy, w przerwach pompujemy flaczejące ego. Jak to rozumieć? Tego się nie da zrozumieć, to można tylko wyśmiać albo się ulitować.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



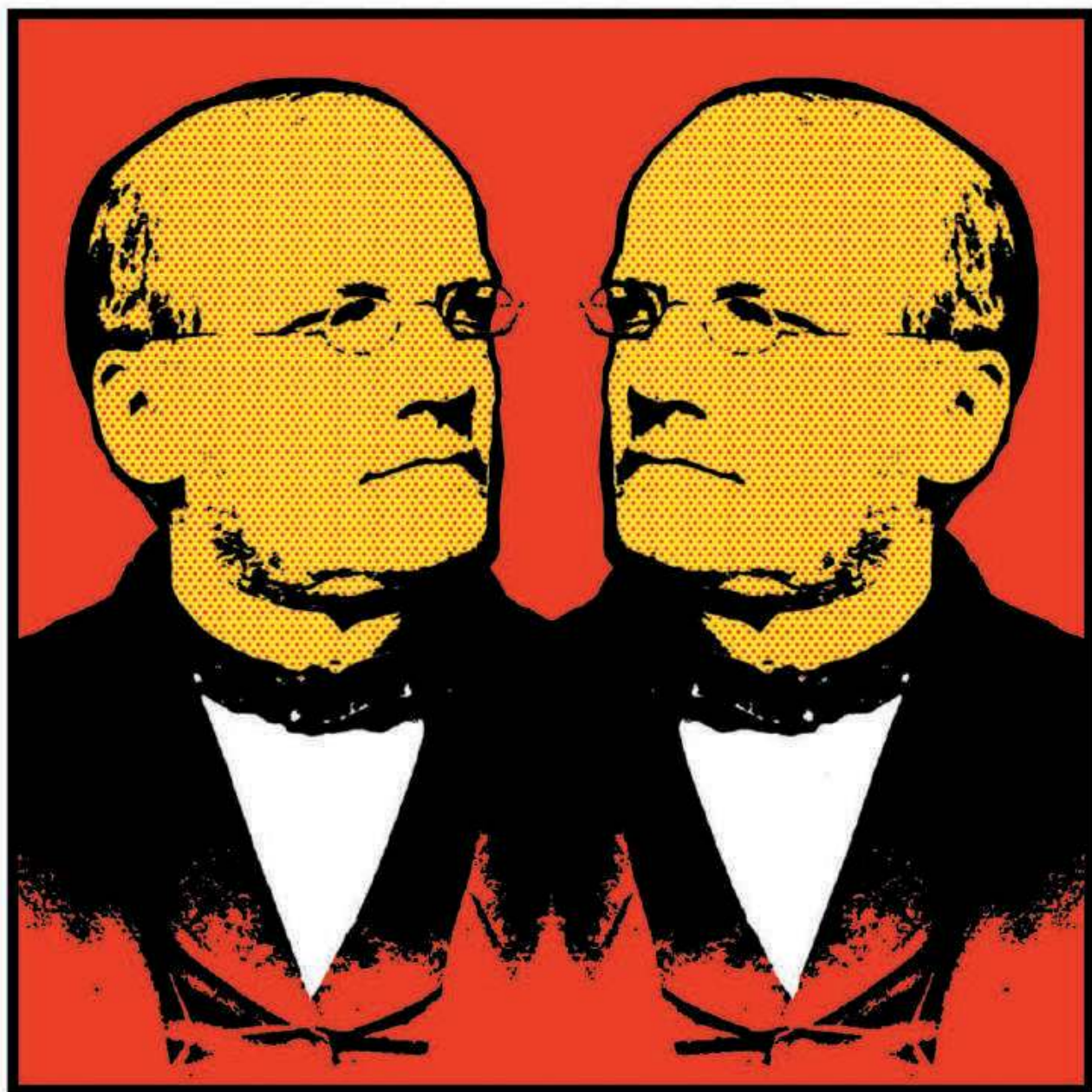
pamięć leczy rany

Najlepsze teksty o najtrudniejszej relacji



Wydanie specjalne „Polska Żydowska” już od 23 stycznia
w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą
oraz w e-wydaniu na powszech.net/polskazydowska

weź, czytaj!



VIVA MONIUSZKO!

27/12/2018 – 3/03/2019

teatr Wielki.pl

GALERIA
OPERA ●

MUZEUM
TEATRALNE 



Moniuszko
200.
2019 ROKIEM
STANISŁAWA MONIUSZKI

ORGANIZATOREM ROKU
MONIUSZKI JEST
Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego


TEATR WIELKI
OPERA
NARODOWA